199

Maj — 1859.

SPRAWOZDANIE

Z CZYNNOŚCI ODDZIAŁU ARCHEOLOGII I SZTUK PIĘKNYCH

w ces. król. Towarzystwie Naukowem Krakowskiem

w roku 185$\frac{8}{9}$.

Oddział archeologii i sztuk pięknych zajmował się w ubiegłym roku równie jak w poprzednich latach, poszukiwaniami naukowemi, do których mu podawały sposobność przedmioty archeologiczne, nadesłane tak przez samych członków Towarzystwa, jakoteż przez osoby za obrębem Towarzystwa będące a w przedmiotach tego rodzaju zamiłowane.

Okazana przez Członka Oddziału hr. Piotra Moszyńskiego trąba jak się zdaje ze słoniowéj kości, zwracała naprzód uwagę Oddziału; ozdoby na niéj i ich charakter, mianowicie zaś jaszczurka czyli salamandra na niéj wypukło wyrzeźbiona, każą ją odnieść do odległéj starożytności. Na pyszczku jaszczurki wyryta rzymskiemi liczbami data, czytaną była przez jednych jako rok 812 a przez drugich z większą pewnością jako rok 1312.

Z ciekawego tego zabytku zrobiono staraniem Oddziału gipsowy odlew, który rozpowszechni znajomość tego rzadkiego zabytku starodawnego. Członek Oddziału p. Karol Rogawski nadesłał wiadomość o trąbie z rogu bawolego opatrzonéj bogatemi srebrnemi skówkami, dzierganéj i cyzelowanéj roboty, w stylu pięknym 16go wieku. Z herbów na srebrnéj oprawie téj trąby będących, jakiemi są orzeł jagielloński, wąż Sforcyów, ogończyk i bonarowa i roku wyrytego 1534 domniemywa się szanowny sprawozdawca i bardzo słusznie że trąba ta była ofiarowaną górnikom wielickim, w których posiadaniu dotąd się znajduje, przez Seweryna Bonara który był żupnikiem wielickim od r. 1524 do 1549 a miał za żonę Kościelecką (herbu Ogończyk).

Członek p. Józef Mączyński przedstawił Oddziałowi piękne berełko srebrne z pozłacaną u góry koroną misternéj bardzo roboty. W jéj otworze jest monogram J. H. S. a we wnętrzu korony w okół napis: „*Judicate juste!*“; dolne zakończenie ma na sobie wyryty herb mieszczański i służyło za pieczątkę. Piękne to berełko pochodzące z 16 wieku, było oznaką godności Wójta krakowskiego, któréj używał przy uroczystych aktach urzędowych.

Tenże członek p. J. Mączyński okazał piękny zabytek po dawnym Magistracie Krakowskim. Jestto książka Juramentów wójta, ławników i pisarza prawa magdeburskiego, *in folio minori* z trzech kart pergaminowych złożona w ozdobnych okładkach. Oprócz rot wymienionych przysiąg, które okolają piękne malowane ozdoby, mieści się w téj książce malowane wyobrażenie Chrystusa Pana na krzyżu i herb Pipanów z napisem *Nicolaus Pipan 1640*, oraz herb Róża z głoskami w okół *J. S. B. D. B.*

Nareszcie zwrócił tenże Członek uwagę Oddziału na okazane przez siebie 4 pieczęcie: dwie mosiężne a dwie

żelazne jednéj formy. Lubo owe pieczęcie do różnych się czasów odnoszą, wszystkim jest wspólny napis *Sigillum juris supremi teutonici castri cracoviensis,* w pośrodku głowa z brodą, wąsami i długiemi włosy z koroną na czole, z któréj wychodzą rogi. Wyjaśnienie pytania: „dla czego sąd wspomniony podobnego używał godła?“ pozostawiono dalszym w téj mierze badaniom.

Członek Oddziału ks. Adam Jakubowski złożył relacyą o dziele pełnem zalet A. H. Kirkora: *Przechadzki po Wilnie*; a Członek p. Ant. Zyg. Helcel rozbierał bliżéj uwagi nadesłane przez Konstantego hr. Tyszkiewicza w sprawie dotyczącéj dzieła tego zasłużonego męża: *O okopiszczach na Litwie i Rusi litewskiéj.*

Członek p. Teofil Żebrawski złożył oddziałowi wypracowany przez siebie: *Spis cząstkowy rycin polskich, jako materyał do ogólnego ich katalogu.* Praca ta wielce pożyteczna dla trudniących się zbieraniem rycin przez polskich artystów zdziałanych, albo też polskich rzeczy dotyczących, przeznaczoną została do druku i znajduje się w tegorocznym Roczniku.

Z powodu wezwania Wysokiego ces. król. Ministerium Oświecenia do Towarzystwa za pośrednictwem Wys. c. k. Rządu krajowego uczynionego o wskazanie wzorów paleograficznych, w naszéj prowincyi znajdować się mogących, zwiedził Członek Oddziału hr. Jan Załuski tutejsze archiwum aktów grodzkich i ziemskich, i zwrócił uwagę na znajdujący się tam nie tylko pod względem paleograficznym ale i dziejowym ciekawy zabytek: są to *Acta judiciaria supremi subselii juris theutonici in arce cracoviensi, anno 1312 inchoata,* ale potem następuje wielka przerwa, gdyż najbliższa data okazuje już rok 1393. Snadź szczątki aktów wyższego sądu miejskiego magdeburskiego, praktykowanego na początku XIV stólecia, w Krakowie zlepione zostały, a jeden Volumen z aktami tegoż sądu z czasów króla Władysława Ja-

giełły. — Księga ta więc wskazuje ślad istnienia sądu wyższego magdeburskiego w Krakowie w roku 1312 a zatem za Władysława Łokietka, kiedy za świadectwem historyi sądy te dopiero za Kazimierza Wielkiego miały być ustanowione. Tekst téj księgi napiasanéj *in folio fracto* i idzie do r. 1416 włącznie.

Daléj zwracał tenże Członek uwagę na *Libri colloquiorum anno 1388 incepti*; są to tylko szczątki dawnych ksiąg. Od roku 1388 jednak idą już prawie po sobie *colloquia* nieprzerwanym szeregiem.

Oba te kodeksy będą jeszcze przedmiotem dalszych badań.

Od roku już 1850 to jest od chwili w któréj gwałtowny pożar znaczną część naszego miasta i cztery świątynie w gruzy zamienił, zajmował się Oddział archeologii i sztuk pięknych odnową lub podratowaniem pomników historycznych lub jako dzieło sztuki ważnych w kościołach i kruczgankach księży Dominikanów i Franciszkanów. Dzielnie się do tego przyczyniły ofiary w tym celu Towarzystwu naszemu powierzone, przez osoby umiejące oceniać ważność zabytków tego rodzaju. W tym roku zajęcie nowe, o którem zaraz będzie mowa, odwróciło Oddział nasz od restauracyi pomników. Ograniczono się w téj mierze na krytycznym rozbiorze napisu znajdującego się na grobowym pomniku Leszka Czarnego w kościele księży Dominikanów i niektóre pomyłki zaszłe w odświeżonym napisie, na zasadzie dawnych rysunków, według zdania Członków p. A. Z. Helcla i Teofila Żebrawskiego sprostowano.

Wizerunki Biskupów Krakowskich staraniem Oddziału archeologii i sztuk, jeszcze przed kilku laty odnowione z funduszu na restauracyą pomników przeznaczonego, w tym roku na kruczgankach Franciszkańskich na powrót zawieszono trzymając się w tem, o ile to się zro-

bić dało, porządku chronologicznego w jakim biskupi po sobie następowali. Obrazy te zaopatrzono podpisami.

Oddział archeologii zapytany o zdanie względem pytania mającego być przedmiotem rozprawy konkursowéj, którego szczęśliwe rozwiązanie ma być uwieńczone nagrodą na ten cel przez Wgo Wincentego Siemińskiego wyznaczoną, zadał do rozwiązania tezę następującą:

„Jakie są cechy dawnéj sztuki w Polsce?“

Główną czynnością jaką się Oddział nasz w tym roku zajmował, było urządzenie Wystawy starożytności.

Członek Oddziału p. Karol Rogawski na posiedzeniu Oddziału w dniu 20 lutego 1858 ponowił dawniejszy swój wniosek do komitetu Towarzystwa uczyniony, względem urządzenia Wystawy Starożytności. Oddział cały z żywem współczuciem przyjął ten wniosek i natychmiast przedsięwziął stanowcze kroki ku jego urzeczywistnieniu. W celu zajęcia się tym przedmiotem zamianował komisyą Wystawową powołując do niéj Członków: hr. Piotra Moszyńskiego, p. Ant. Zyg. Helcla, p. Pawła Popiela, p. Karola Kremera, p. Franciszka Paszkowskiego, p. Karola Rogawskiego, p. Józefa Łepkowskiego. — Rychło wystosowano odezwę do osób mających znakomite zbiory starożytności z zapytaniem: czyliby gotowi byli drogie te skarby przeszłości powierzyć Towarzystwu na wystawę. Z prawdziwą tu przychodzi przyjemnością wyznać, że prawie wszyscy, do których się z powyższą prożbą udano, pojmując korzyść naukową, jaka z takiéj Wystawy wyniknąć może, oświadczyli się z gotowością przysłania swoich zbiorów komisyi wystawowéj. Winniśmy wszakże przypisać tę gotowość obywatelskiéj usłudze Członka Towarzystwa Piotra hr. Moszyńskiego, który ze zwykłą sobie w rzeczach mających na celu dobro publiczne skwapliwością, okrom oddania na Wystawę znacznéj części własnego zbioru, przyjął oraz na siebie zaręczenie za całość przedmiotów

skądinąd nadesłanych nim takowe w lokalu Wystawy złożone zostaną. — Nadewszystko Jerzy książe Lubomirski nie tylko pierwszy swój bogaty zbiór na Wystawę ofiarował, ale zarazem oświadczył, że jeżeli jego pałac w Krakowie na pomieszczenie Wystawy przydać się może, chętnie go na ten cel ustępuje.

Mając już komisya pewność, że skoro odezwa jéj znajduje taki odgłos współczucia u posiadaczy zbiorów starożytności, Wystawa nie tylko będzie mogła przyjść do skutku, ale że będzie i świetną i uczącą, przedsięwzięła stósowne kroki względem pozyskania od Wysokich władz krajowych zezwolenia na otworzenie Wystawy, które też bez najmniejszéj zwłoki przez JW. Prezydenta Rządu Krajowego udzielonem zostało.

Dzień 15ty sierpnia przeznaczony był na otworzenie Wystawy, ale właśnie im więcéj się ten dzień zbliżał, tem nadsyłki przedmiotów na Wystawę stąwały się liczniejsze i bogatsze: tak iż chcąc te przedmioty w jakikolwiek systemat ułożyć, wypadło termin otwarcia Wystawy odroczyć; przyszło ono dopiero 11 września do skutku, w którym to dniu JW. Prezydent raczył odwiedzić pierwszy Wystawę a tem samem uroczyście ją otworzyć. — Mieściła się Wystawa z początku w trzech salach. W pierwszéj tak nazwanéj „*sali Światowida*“ mieściły się przedmioty odnoszące się do pogaństwa, życia domowego, i do miejskich zgromadzeń. Tu więc obok posągu Światowida i kamieni Mikorzyńskich widziałeś popielnice w okolicach Krakowa, w Wielkiéj Polsce i w innych stronach dawnéj Polski wykopane; tu kamienne śpiżowe i żelazne sprzęty, narzędzia i ozdoby dawały wyobrażenie o kulturze onych ludów pogańskich, które w tych tu krajach w zamierzchłych wiekach swą siedzibę miały. — W téj Sali znalazły pomieszczenie wszelkie oznaki cechowe jakoto chorągwie, buzdygany i regimentarze, owe olbrzymie Wilkomy i roztru-

chany, dawnych mieszczan, tu stały szklannice, tak zwane *apostoły*, naczynia i sprzęty srebrne, zegary, porcelany, a ściany okrywały piękne gobeliny.

W drugiéj, tak nazwanéj „*Sali rycerskiéj*“ obok przedmiotów do obrządku religijnego się odnoszących, jako to ołtarzów skrzydłowych, rzeźbionych, malowanych, ze słoniowéj kości wyrabianych, kielichów i naczyń świętych, mieściły się dawne obrazy na złotem tle, różne kamienne i drewniane rzeźby. W tejże sali mieściło się to wszystko co z rycerskiem rzemiosłem związek miało, tamże widziałeś już to bogactwem już to wspomnieniem uwagi godne, rzędy na konie, przyłbice, halabardy, miecze zwyczajne i płomieniste, tarcze, szable, karabele, ryngrafy, czapraki, daléj przedmioty do stroju należące jako to: pierścienie, zausznice, guzy, pasy, nareszcie laski marszałkowskie, buławy hetmańskie, trąby itp.

Trzecią salę zajmował wyłącznie zbiór książąt Lubomirskich. Sala ta stanowiła osobną całość, i prawie kompletną wystawę; obok wizerunków historycznych osób, obok kosztownych sprzętów, mnóstwo naczyń starożytnych, klejnotów familijnych, zbroi, a osobliwie też wielki dobór broni siecznéj i palnéj, dawały świadectwo nietylko o zamożności przodków ale o zamiłowaniu ich w sztukach nadobnych.

Najlepszym dowodem o ile badania przeszłości naszéj, tudzież o ile zajmowanie się przedmiotami starożytności wzbudzają współczucia w publiczności jest ta okoliczność, że nasza wystawa z każdym dniem się wzbogacała i sama z siebie się rozrastała. I tak gdy w dniu otwarcia liczyła tylko około 1300 numerów; przy jéj zamknięciu liczba przedmiotów na wystawie będących więcéj niż 3000 wynosiła. W grudniu komisya dla mnóstwa przedmiotów, osobliwie z Kórnika i Gołuchowa przez hrabiów Tytusa i Jana Działyńskiego nadesłanych, zmuszoną była utworzyć czwartą tak nazwaną *Salę Długosza*,

w któréj obok portretów Długosza, Hozyusza, Birkowskiego, Bzowskiego, Piotra Skargi, świetniał wizerunek Stefana Batorego, Władysława Jagiełły i Jana Kazimierza. Ustawiono tu rzędem liczny zbiór zbroi, kolczug, karacen; tu znalazło też pomieszczenie mnóstwo broni kolnéj i siecznéj, prawie wyłącznie z dwóch tych wyżéj wymienionych miejsc pochodzącéj; tu również stanął ołtarz z srebrnéj blachy kuty Matki Boskiéj Różańcowéj. Zbiór rycin i przywilejów na wystawę nadesłanych był tak liczny że dla nich otworzono osobną salę na dole. W niéj, obok rycin głównie ze zbioru ś. p. Gwalberta Pawlikowskiego pochodzących, niemniéj map na ścianach rozwieszonych, liczne ryciny złożone w tekach zajmowały uwagę lubowników. W téj sali umieszczono piękny zbiór pieczęci głównie od p. Mięczysława Pawlikowskiego nadesłany. Niemniéj zbiór przywilejów i dokumentów, z których część najciekawsza za szkłem rozłożoną była; inne pod zamknięciem trzymane, w szczególnych tylko razach znawcom pokazywane bywały. W szóstéj nareszcie sali mieściły się sprzęty starożytne mianowicie takie, które w innych salach wystawowych pomieszczenia znaleść nie mogły.

Dwa przeglądy wystawowe w języku polskim, a jeden w języku niemieckim, wyszły z druku staraniem prywatnem, niemniéj dokładny spis przedmiotów wszystkich, w rękopisie w 2ch egzemplarzach na salach złożony zwracały uwagę zwiedzających na przedmioty najciekawsze, a ostatni bliższych o każdym przedmiocie dostarczał wiadomości. Oprócz tego Członkowie oddziału archeologicznego oraz kustosz wystawy p. Adam Piwowarski byli niezmordowani w oprowadzaniu zwiedzających i w dawaniu potrzebnych objaśnień.

Mozolną była praca około spisania krytycznego katalogu przedmiotów na wystawie będących. Praca ta wy-

magająca specyalnych studyów, rozdzieloną została między kilku Członków.

Najprzód zajął się spisaniem i ocenieniem przedmiotów z czasów pogańskich pochodzących Członek p. Karol Rogawski, co uczyniło sztuk 440. Broń sieczną i kolną spisał Członek p. Józef Łepkowski sztuk 306. Broń palną jako to armatki, hakownice, samopały, rusznice, pistolety, spisali i ocenili Członek p. Lucyan Siemieński oraz p. Gustaw Czernicki sztuk 186.

Zbroje, kolczugi, karaceny, misiurki, szyszaki, hełmy opisał p. Gustaw Czernicki 75 sztuk.

Przybory wojskowe, siodła, rzędy, ładownice, łuki, strzały, kusze, tarcze, pawęże, opisał Członek p. Józef Głębocki sztuk 83.

Meble, szafki, pasy rycerskie i włościańskie złote i srebrne, pasy żupanowe złotolite i jedwabne, materye na żupany, opisał Członek p. Hippolit Seredyński sztuk 121.

Opisaniem sprzętów i naczyń srebrnych, jako to tac, mis, puharów, kubków, klejnotów, pierścieni, orderów, buzdyganów itp. zajął się Członek p. Karol Kremer sztuk 258. Zegary wszelkiego rodzaju opisał Członek Józef Mączyński sztuk 23. Opisanie konwi cechowych, wyrobów szklannych, porcelanowych i glinianych wziął na siebie Członek ks. Eugeniusz Janota sztuk 125. Członek hr. Jan Załuski uskutecznił opisanie gobelinów, dywdyków, makat, opon, sztuk 57.

Sprzęty i aparaty kościelne oraz inkunabuły, opisał Członek ks. Adam Jakubowski sztuk 53. Rzeźby, obrazy, emalie i inne przedmioty sztuki opisał Członek p. Franciszek Paszkowski sztuk 243.

Monety wszelkie, tak obce jak swojskie, medale, i medale tak zwane różańcowe ocenił i wyszczególnił w opisie Członek p. Teofil Żebrawski sztuk 313. Dawne pisma, dyplomata, dokumenta opisał Członek p. Żegota

Pauli. Z tych było pargaminowych sztuk 424; papierowych 214, razem 638 albo dzieląc je na rodzaje i wieki:

Ksiąg rękopisów z wieku XIV	sztuk	5
„ „ „ XV	„	1
„ „ z późniejszych	„	40
Dyplomatów z wieku . . XIII	„	15
„ „ . . XIV	„	30
„ „ . . XV	„	50
„ „ . . XVI i następnych		469
Autografów z wieku XIX	sztuk	28
Razem jak wyżéj		638

Tenże Członek p. Żegota Pauli spisał wszystkie ryciny, między któremi głównie się odznaczały ryciny

Falka w liczbie	262	sztuk.
Chodowieckiego	45	„
Polscy rytownicy lub ryciny dotyczące polskich rzeczy	192	„
Drzeworytów z wieku XVI	8	„
Różne rysunki	7	„
Mappy	5	„
Razem	519	„

W ogóle więc wystawa obejmowała 3437 numerów.

Katalog ten wystawy starożytności i zabytków sztuki w Krakowie według postanowienia Oddziału ma być ułożony zupełnie na wzór katalogu warszawskiéj wystawy, tak aby był niejako dalszym ciągiem jego. Ułatwi to niezmiernie dalsze poszukiwania i da dokładne wyobrażenie o całym zasobie przedmiotów archeologicznych w kraju przechowanych.

Zamiarem było komisyi wystawowéj utrzymać wystawę otwartą przez 3 miesiące. Natłok publiczności był jednak tak wielki, że widziała się spowodowaną uczynić zadosyć powszechnemu życzeniu i wystawę prze-

dłużyć. Odroczenie to zamknięcia wystawy stawało się z tego względu koniecznem, że się ona nieustannie i codziennie nowemi przybytkami wzbogacała. W dniu więc dopiero 8go stycznia 1859 r. wystawa zamkniętą została; trwała więc blisko 4 miesiące.

Nie będziemy się tu rozwodzili nad pożytkiem, jaki z téj wystawy wyniknął. W krótkości jedynie nadmienić nam wypada: że oprócz korzyści bezpośredniéj to jest poznania przedmiotów, odnoszących się do zwyczajów, do życia prywatnego i publicznego naszych przodków; oprócz sposobności jaką nam wystawa nastręczała porównania zabytków naszéj przeszłości z podobnemi zabytkami w innych krajach; oprócz nareszcie nauki jakąśmy nabyć mogli, widząc np. po raz pierwszy tak bogaty zbiór przedmiotów pogańskich prawie wszystkich na ziemi słowiańskiéj znalezionych; spoglądając na ten szereg rzędów, zbroi i przyrządów wojennych z różnych wieków, dawnego naszego rycerstwa; oprócz tych wszystkich korzyści nie poślednie zapewnie miejsce zajmie ta korzyść, jaką sama nie specyalna wielka publiczność z wystawy odniosła. Poznała ona że co się nikłem, nic nieznaczącem wydawało, czemu jedynie jakowąś wartość dla wspomnień rodzinnych przypisywano, stanąwszy na wystawie obok innych przedmiotów tegoż rodzaju nie zmalało, nieznikczemniało ale owszem urosło w potęgę i nabrało wartości.

Pewną możemy mieć nadzieję że od czasu wystawy przedmioty starożytności w większem niż dotąd będą zachowywane poszanowaniu, a z całą pewnością twierdzić możemy że żaden z przedmiotów, który był na wystawie naszéj, nie będzie już uronionym; ale jako święta pamiątka pozostanie w rodzinie albo powiększy zbiór jaki krajowy.

Nie możemy tu wymienić nazwisk wszystkich osób, którym za nadesłanie przedmiotów na wystawę czuła się wdzięczność należy. Ich nazwiska będą w katalogu wystawowym zamieszczone, tu na ogólnem a serdecznem podziękowaniu poprzestać musimy.

Jeżeli przyznać musimy że wszystkim Członkom oddziału archeologicznego i kilku członkom innych oddziałów, którzy pracę pierwszych podzielali za podjęte trudy przy urządzaniu, utrzymywaniu wystawy, przy czuwaniu nad całością przedmiotów nadesłanych, wdzięczność się należy, to zapewnie chętnie się wszyscy zgodzimy że największa wdzięczność należy się Członkowi p. Józefowi Łepkowskiemu, który przez sześć miesięcy wszystkie prawie korespondencye w przedmiocie wystawy przeprowadził, przedmioty odbierał, konsygnował, głównie się urządzeniem wystawy zajął, i z gorliwością i poświęceniem przez cały czas trwania wystawy obowiązki gospodarza pełnił.

Członkowie p. J. Łepkowski, tudzież p. Karol Rogawski, który podał pierwszą myśl do wystawy i silnie ją swoim zbiorem i pracą pełną poświęcenia wspierał, będą mieli najpiękniejszą nagrodę za swoją pracę i trudy w uznaniu publicznem i w tem przekonaniu że myśl ich ogólne pozyskała współczucie, i trudy ich tak pięknym skutkiem zostały uwieńczone.

Przejdźmy teraz do zdania liczby z dochodu i z kosztów jakie wystawa spowodowała.

Dochód z biletów które były czworakiego rodzaju to jest: 1. na całą wystawę: kosztowały 5 reńskich; 2. od zwykłego wstępu: 30 krajcarów; 3. od wstępu w sobotę 1 złoty reński; a 4. dla uczniów szkół tutejszych bi-

lety popołudniowe po 10 krajcarów, co wynosi razem . . . . 3,869 złr. m. k.

Naddatki które zwiedzający wystawę dobrowolnie do puszki składali, a które wyłącznie na Dom Towarzystwa przeznaczone są, wynosiły . . . . 87 złr. 24 kr.

Za sprzedane odezwy, *Przegląd Wystawy* skreślony przez Członka Oddziału p. Lucyana Siemieńskiego, niemniéj za *Wskazówkę do poszukiwań archeologicznych* zebrano . . . . 123 złr. 24 kr.

Razem więc cały dochód wyniósł . 4,079 złr. 48 kr.

Co do rozchodu wynosiły portorya, frachty, cła i korespondencye . . . . 92 złr. 45 kr.

Urządzenie i utrzymanie wystawy, w co wchodzi jeszcze koszt zrobienia form do odlewu i różnych rysunków, daléj opał, utrzymywanie ciągłéj warty policyjnéj, pomoc przy katalogowaniu, koszta expedycyi przedmiotów, z powrotem i ich pakowanie . . . . . . 1294 złr. 18½ kr.

Potrzeby kancelaryjne wszelkiego rodzaju, świece, olej kosztowały . . . 145 złr. 32½ kr.

Pensye kustosza i dozorujących, zasługi służby i remuneracye wyniosły . 987 złr. 16½ r.

Na zakupienie niektórych książek podręcznych i innych przedmiotów na wystawę potrzebnych wydano . . . . 100 złr. 1 kr.

Strata na przemianie pieniędzy wynosiła . . . . 1 złr. 33 kr.

Razem więc wynosił rozchód dotąd 2,621 złr. 16½kr.

Pozostaje więc *dochód czysty* w kwocie 1,458 złr. 31½kr. czyli mając na uwadze koszta które jeszcze ponieść wypadnie, okaże się czy-

sty dochód z wystawy mniéj więcéj w okrągłéj kwocie 1400 złotych reńskich monetą konwencyjną.

Kraków dnia 14go lutego 1859.

Karol Kremer m. p.
przewodniczący Oddziału archeologii i sztuk pięknych w c. k. Towarzystwie Naukowem krakowskiem.

ZAPISKI ORNITOLOGICZNE.

XII.

O JASKÓŁCE GRZEBIOŁCE (Brzegówce).

Pewnie mi czytelnicy przebaczą zmianę nazwy trzeciego gatunku jaskółki. Świat naukowy winien ją przyjąć a może mi przyklaśnie za wskrzeszenie nazwy zapomnianéj, a w całéj Polsce dawniéj używanéj i dziś jeszcze wieśniacy nazywają ją Grzebiołką lub Grzebieluchą i gdzie niegdzie Grzechołką. Ta ostatnia nazwa sprowadziła nie mało bałamuctwa w nomenklaturze, gdyż ją stósowali jedni do jerzyka inni do kukułki i t. d. Nikt dziś nie może z pewnością oznaczyć do którego ptaka należała dawna nazwa grzechołki, a zatem dla uniknienia nieporozumień nie powinna być używaną.

X. Krzysztof Kluk nazwał niemal wszystkie nasze ptaki po polsku, lecz że to był książkowy badacz i przy-

Patrz zeszyt kwietniowy.

rody nie badał, a mając otwarte skarby po bibliotekach, czerpał w zagranicznych dziełach swe wiadomości i co uznał za korzystne tłumaczył, zaś niezadając sobie wcale pracy do badania ojczystych autorów poprzedniczych, ani też niezwracając swéj uwagi ku wsiom i myślistwu krajowemu, aby poznać polskie nazwy, brał je jak mówię żywcem z obcych języków i dosłownie tłómaczył. On to wprowadził wiele nazw nie polskich i naszemu ludowi nie znanych, a że jego w większéj części przystępne dla ogółu dzieła dziwnie się rozpowszechniły po kraju, ztąd powstała ta w nauce obczyzna, którąbym wytępić pragnął, i dla téj przyczyny o X. Kluku się rozpisuję. Na poparcie co wyżéj powiedziałem przytoczę tu z łacińskiego dosłownie przełożone nazwy. O niektórych z tychże nikt dawniéj nie słyszał, mimo że te ptaki znanemi i nazwanemi w kraju były: *Biarmicus* — Brodaczek. *Palustris* — Błotniczka, *Caudatus* — Ogoniczek, *Peregrinus* — Cudzoziemka. *Riparia* — Brzegówka, *Tricolora* — Trzyfarbiczek! i t. d. Jedne nazwy brał z łacińskiego drugie z niemieckiego i tak pomału zacierały się w pamięci czysto polskie nazwy ptaków, o ile więc który z badaczy odkryje używane nazwy i przekona się iż rzeczywiście od dawna są w pamięci ludu wiejskiego przechowane, winien te nazwy do nomenklatury polskiéj podać a wyprzyć z obcych języków przepolszczone. *Ufer Schwalbe*, Brzegówka, *Hirondelle de rivage, Hirundo riparia,* wszyscy autorowie wywodzą tę nazwę od brzegu, a że brzegi dają przypuszczenie koryta, pobyt jéj umieszczają przy wodzie, bo brzeg zawsze myśl wody daje. Wprawdzie stara się nasza jaskółka o wysokie brzegi gliniaste, lub piaszczysto gliniaste, stara się równie, aby zamieszkać w bliskości wody, lecz brzeg, jaśniéj mówiąc, ściana ziemi jest dla niéj kwestyą egzystencyi, — bez tejże ściany gatunek by wyginął. Szukają zatem ptaszyny w podgórzach urwiska

gór z miękiem pokładem ziemi, opanowują ściany głębokich parowów, ściany gliniane sztucznie powstałe przy cegielniach a nawet szerokie wąwozy dróg publicznych i tam grzebią jamki w których znoszą jajka i wywodzą potomstwo, często bardzo w wielkiem oddaleniu od rzek, stawów, i jeziór. Kto zna szybkość lotu jaskółek, ich podziwienia godną ruchliwość i nieustającą czynność, pewnie dziwić się nie będzie, że o mile czasem od brzegów wody ściany zamieszkują. Grzebiołka już jako nazwa dawna i dotąd używana, już dla tego że tak doskonale oznacza życie téj jaskółki, jej całoroczny pobyt u nas przepędzony na grzebaniu dziur w ścianach, które podobne są w otworze do dziur raków w brzegach. W jednéj takiéj ścianie jest czasem kilkaset takich dziurek, gdyż równie innym pokrewnionym gatunkom żyje zawsze w licznem towarzystwie, które się młodszemi coraz więcéj mnoży, dopóki miejsce wystarcza w ścianie do grzebania dziur, jak tego zabraknie, część młodzieży na wygnańców skazana, broni się czas niejaki przy ojczystéj ścianie, nareszcie zebrawszy się w stadko złożone z kilkunastu par, leci szukać miejsca wygodnego do lęgowego umieszczenia.

Z trzech nam znajomych gatunków Grzebiołka najmniejsza, najdelikatniejsza i najpóźniéj w porze lęgowéj do nas przybywająca; ogółowi mało znana ta szara ruchliwa ptaszyna, jak ćma mignie przed okiem i już znikła z widnokręgu, tu znowu nad brzegiem lub ścianą stromą widzimy wirujące i uganiające Grzebiołki, lub też nad wodą odbywające wyścigi to z pustoty i wesołości, to za żerem wysilając lot do uchwycenia owadu jedna przed drugą, gdy tak widz ściga te cienie migające okiem i w oczach mu się mgli, niemogąc uchwycić każdego ruchu ptaszyny téj, zawsze zręcznego zawsze niepojęcie szybkiego i rozkosznie zachwycającego, w jednéj chwili jak czarodziejską rószczką wymiecione

z przed oczów jego znikają i chwil kilka żadna się niepokaże, zaiste zadziwić się musi i zapytać: czy rzeczywiście widział te ptaszki czyli też wyobraźnia wywołała mu przed oczy duszy te ruchliwe cienie; nawet badacz z wiedzą, iż do kryjówek się chowają, czy to dla odpoczynku, czy niosąc pisklętom pożywienie, czy z trwogi przed niebezpieczeństwem, doścignąć nie może tego szybkiego znikania, i sam nieraz siedząc pod ścianą pojąć nie mogłem jak taka znaczna ilość w te ciasne otwory blisko jedne drugich będące, tak szybko wcisnąć się może. Na poparcie mego zdania iż Grzebiołki częstokroć w znacznem oddaleniu od wody kolonie gnieżdżące zakładają, opowiem że w X. Poznańskiem w powiecie Babimostkim była gliniasta ściana do 20tu łokci wysoka, z któréj brano co roku wielką ilość gliny na cegłę, a wody znacznej jak to stawów, jezior i rzek na milę w okręgu nie było i tę ścianę od lat wielu zamiłowały tak, że mimo co roku powiększającéj się pracy przy gnieżdżeniu, przez to iż dla lepszéj gliny majster zbierał zawsze powierzchnię już przez zimowe wpływy polepszoną, one niewdzięcznéj siedziby przez kilka lat mego badania nieopuszczały. Ta kolonia wiele mi postrzeżeń dozwoliła zrobić i gdyby inni podobnie jak ja, byli w położeniu podziwiania téj ustawicznéj pracy i nam ludziom prawie nieznanéj wytrwałości, pewnieby byli z tego widoku skorzystali.

Aby dostatecznie podziwić i zrozumieć cały ogrom téj pracy, poznać trzeba rozmiary drobne téj na oko małéj i słabéj ptaszyny. Cała jéj długość rzadko kiedy przenosi pięć cali, szerokość do 12", dzióbek pięć linii długi, skok równie pięć linii wysoki, ksiuk czyli tylny palec najkrótszy, a wszystkie palce delikatne równie jak pazurki. Z temi to wątłemi siłami i słabemi narzędziami, grzebie przez lat kilka nory co roku zgłębiane, które

kilka stóp głębokości mają; wchód wązki że ledwie ptaszyna wcisnąć się może, ma kilkanaście cali długości, jak gdyby tą odległością od powietrza zewnętrznego chciały się zabezpieczyć od zimna i nieproszonych a niebezpiecznych gości, dopiero tam jak lisy, borsuki i bobaki wygrzebują sobie kociołki okrągłe do wygodnego gniazda. Pomoc wzajemna i solidarność wspólnéj pracy, jest i tu rozczulająca. I tak tym, które napotkały na twardszy pokład, inne pomagają, lub też gdy się zdarzy w kurytarzu do kopania kamyczek zawadzający, zaprzęgają się do niego jak najęci murzyni, po długich usiłowaniach, czasem cały dzień trwających z tryumfem eksportują twardą zawadę; jest to rozkoszna chwila, oczywista nagroda pracy, gdy już bryłka ta na brzegu leży, zrzucają bryłkę nogami i towarzyszą jéj trzepocząc skrzydełkami i szczebiocząc wesoło ku ziemi, robotniczki koło noru opuszczonego powirują nieco, świergocąc się pozdrawiają i każda do swéj roboty leci, bo niema u nich ani chwili wypoczynku.

Przylatują do nas nieco późniéj jak poprzednicze gatunki, wszakże kuryery awangardy spostrzegamy w końcu kwietnia lub na początku maja kiedy jeszcze nader przykre powietrze panuje, a że te ruchliwe i malutkie ptaszęta tak szybko przez świat świdrują i co chwila w nory swe się chronią, trudno bardzo powiedzieć czy te awangardy u nas zostają czy do głównego korpusu z raportem spieszą a czy na ich miejsce inne przybywają. Nieraz nad rzeczkami wschodniéj Galicyi, któremi jest tak obficie poprzerzynaną, w czasie ciągu Słomek spostrzegałem te jaskółki po 5 do 7miu, a zatem w połowie kwietnia, umyślnie drugiego i trzeciego dnia czatowałem w tych samych miejscach, i albo żadnéj nie zobaczyłem albo też większe lub mniejsze stadko od poprzedzającego latało, które mi jasno dowiodło że to inne Grzebiołki nadleciały. Te zjawiające się na wiosnę

ptaki są zajmujące w skrytem ich posłannictwie: jak one spieszą, jak ich droga wytknięta, jakie jasne rozkazy dostarczać muszą i jak je szybko i sumiennie wypełniają. Tu już słońce przygrzewa, owady z letargu zimowego się budzą, muszki hurmami nad wodą się kręcą, przecie to ponętnym być musi dla Grzebiołki, a one li tu i ówdzie jednę muszkę porwą dla zaspokojenia głodu i nabrania sił a daléj i daléj spieszą rozhukanym lotem. Gdy mi mignie ten cień i znowu zniknie a wiosna rozbudziła w duszy uśpioną poezyę zimnem smutnéj naszéj zimy, gdy odrodzony człowiek w swem rozczuleniu dla Stwórcy, *poetycznie dziecinnieje*, uśmiecha się do pierwszych z pod śniegu główki wychylających dzwoneczków białych z tym żółtym pyłkiem które je tak zdobią, podziwia i zerwać nieśmie, bo to próbka kwiecistéj przyrody, chciwie patrzy na pączki i pełnem sercem życzy rozwinięcia, kiedy się raduje z widoków tych listków niskich krzewów, które to pod włoskami obrosłe aby się od przymrozków chronić i patrzy na szerokie liście dzikich fijołków i poziomek rozsiadających się po ziemi, dumnych że matkę ziemię już przykrywają, kiedy każdy huczący owad nasze oko ku sobie zwraca i wzrok goni za szczęśliwie przezimowanym motylem który to jak cytrynka z skrzydełkami (*Papiliorami*), unosi się nad ziemią i uporczywie szuka miodowych kwiatków, bo go promienie słońca obudziły i łudzi się sztuczną wiosną biedaczek nieznajdzie jeszcze pożywienia, lecz zetknie się z samiczką i w głodowych uściskach popieszczą się chwilę pod słońcem, ona zniesie jaja i oboje zginą, a przyroda tem zniesieniem sama się opiekować będzie i w maju wyda gąsienice, zamieni w czerwcu w poczwarki, a w lipcu już wypuści tysiące tych po kwiatach tak mile kołyszących się cytrynek, — kiedy głosy najpierwéj nam przybywających śpiewaków, uderzą nasz słuch i podziwiamy to melodyjne przypominanie prze-

szłorocznych wyuczonych śpiewek i dumek, — a gromady ziarnojadów jeszcze na pary niepodzielonych, obsiędą drzewa z liści obnażone i wspólny śpiew zanucą, śpiew złożony z setnych głosów współubiegających się — o wtedy każdy ptak, każdy robaczek, każdy owad jest książką zajmującą do czytania, wtedy to przychodzą myśli zastanawiania się nad organizacyą całéj olbrzymiéj przyrody, nad tem życiem u każdego żyjątka innem, a taką ścisłą harmonią tworzącem, wtedy to ruch ptaka, zawsze z pewnem przeznaczeniem i celem wytkniętym wodzi wzrok badacza za sobą magnetycznie i im więcéj dążność ukrywa tem więcéj ciekawości wzbudza, — te pojawiające się i znowu znikające awangardy wielu gatunków mych lubych ptasząt, to pojedynczo, to jak gdyby rodzinami, to znowu churmą ukazujące się, od wielu bardzo lat uwagę moją na siebie zwracały; różnią się one wielce od nadciągających ptaków które mało kto w przylocie spostrzedz może, i li przybyte już i rozgoszczone widzi, te awangardy nie żerują, nie szukają lęgowych miejsc, nieodpoczywają i wcale nie w jednym kierunku lecą, są zatem ciekawe do badania.

Mimo że w kwietniu tu i owdzie Grzebiołka się ukaże, główna armia w maju dopiero nadciąga, przelatując nad rodzinnemi okolicami, zostawia tam należące oddziały, a daléj leci do dosyć wysokiéj północy. Grzebiołki pojawiają się najpierwéj nad wodami i każda kolonia spieszy do swéj ściany; starsze wyszukują dawne nory, wyczyszczają i wymiatają lub też powiększają, młodzież się kłóci o kryjówki niezamieszkałe a wszystkim parkom niewystarczające, dni ośm trwa zamięszanie, kłótnie i walki, po tygodniu jedne się ulokowały, inne sobie grzebią nory, a niektóre bywają wygonione dla braku miejsca. Jest to chwila zajmująca gdy Grzebiołki z całym zapałem jaki wzbudza tryb lęgowy, przystępują do pracy i z jaką podziwienia godną wytrwa-

łością uskuteczniają w proporcyi wątłych sił te olbrzymie dzieła. Aby czytelnika obznajmić z tą górniczą robotą, zacznę od pierwszéj przygotowawczéj pracy. Obleciawszy do koła kilkanaście razy samiec z samiczką ścianę przeznaczoną do wykucia dziury, siadają tu i owdzie, dzióbkiem probują i nóżkami ziemię i znów odlatują i kilka cali o podal siadają odbywając dalsze próby jak gdyby znały dokładnie naukę geologii i miernictwa; — o to bowiem chodzi żeby natrafić na najmiększy pokład a tak grzebać prosto, aby się z norem tuż obok będącéj towarzyszki nie spotkać, jéj i sobie łoża niepopsuć, a trzeba wiedzieć że w dogodnéj, przez długie lato używanéj ścianie, nory tak blisko są norów, że gdy odświeżone są gniazda na wiosnę i wchody otwarte, to ściana wygląda jak sito, i dziurka jest kolo dziurki każda zaś tak prosto kuta że się w głębi nigdzie nieschodzą jedna z drugą mimo że na końcu krużganku znajduje się obszerniejszy kociołek.

Nareszcie nasza parka wybrawszy miejsce, wymierzywszy dokładnie kierunek, przylepia się do ściany i ruchu żadnego spostrzedz nie można i gdyby nie bryłeczki sypiące się ustawicznie ku dołu niktby nie wiedział że tamte dwa malutkie ptaszki rozpoczęły olbrzymie dzieło górnicze i niezmordowanie pracują godziny całe; po chwili dla odpoczynku jedna się zerwie, stanie z rozpostartemi skrzydłami, zaszczebiocze wesoło do swych towarzyszek i znowu rusza do pracy, druga sama daléj kuje i woła na współpracowniczkę, za pożywieniem jedna lub druga poleci, czasem obydwie się zerwą jak na umówiony znak i lecą lotem, któremu oko towarzyszyć nie może, uderzają natarczywie w koła wirujących muszek i zadają straszliwą klęskę owadom, lub też w bliskości wody szyją nadziei zwierciadłem, łowią skrzydlate żyjątka w locie i na powierzchni ziemi, a nawet nurkują upatrzywszy pożywienie w wodzie, a to

z pośpiechem niedoopisania i z tym samym pośpiechem wracają do pracy, a tak wesołe i szczebioczące że aż miło na takie robotniczki spojrzyć. Po kilku godzinach już wklęsłość tak znaczna że połowa ptaka się w téjże ukrywa i wtedy jedna już tylko pracować może, druga zaś odpoczywa, żeruje i znowu w pracy pierwszą zastępuje. Przed wieczorem znaczna dziurka, bo na kilka cali wgłąb wykuta, słońce ma się ku zachodowi, towarzyszki starsze już w norach po całodziennéj pracy odpoczywają, a młodsze które dopiero mieszkanie wykuć sobie mają, niemal równie liczne jak tamte, latają przed ścianą szukając bezpiecznego schronienia, długo ich wabienie badacz słyszeć może, *szer szer* powtarzane szybko jak w niespokojności aż nareszcie wszystko się uspokoi, znalazłszy stosowny nocleg. Mam to przekonanie iż w czasie fabryki gościnność starszych, tak i rówienniczek ktore znalazły gotowe nory, jest tak wielka że do swych siedzib gotowych przyjmują gości na noc i znoszą niewygodne umieszczenie i opieram to na doświadczeniu że żadna parka na dworze nienocuje, ani też daléj nieodlatuje i piszczy pewnie dopóki ją inne niezaproszą.

Gdy ranek zawita, gromadka wylatuje, szuka skromnego pożywienia, bo w téj porze dnia rzadko owadów na świecie i wszystko staje do pracy. Nasza parka już się wgłąb schowała i oboje już razem w krużganku kopią, jedna dziobie i drapie, a nóżkami w tył odrzuca nakopaną ziemię jak gdyby podawała drugiéj a ta znowu równie ogonem obrócona do otworu nożętami taszczy bryłki, prochy i nareszcie nóżkami wierzgając wyrzuca nie potrzebny materyał; z początku budowy co chwila zoczyć można wystający ogonek cofającéj się grzebiołki, późniéj coraz rzadziéj, bo im głębiéj, tem trudniéj wynosić ziemię, a ku końcu ledwie co godzina uda się coś gliny wyrzucić, gdy dojdą robotniczki do wykucia

kotła téj ostatecznéj pracy, już się obrócić mogą, gonią się korytarzem, obracają w kociołku i znowu już dzióbkiem naprzód wylatują. Otóż ich dzieło ukończone, co głośnym szczebiotaniem światu głoszą. Wziąwszy w rękę tę ptaszynę pojąć nie można że tym małym i słabym dzióbkiem temi krótkiemi nóżkami, ozdobionemi delikatnemi pazurkami mogą wykuć w glinie lub piasku krużganek na kilkanaście cali i kociołek mający obszerności do 6 i 8 cali i to w kilka dni. Cóż dopiero powiedzieć o starszych mieszkaniach które jak to wiarogodni autorowie twierdzą, mają mieć do sześciu stóp głębokości, ja tego potwierdzić nie mogę z własnego doświadczenia, lecz skłonny jestem do uwierzenia, gdyż parka przez lat kilka ten sam nor zamieszkująca i co roku powiększająca go, może mieć kilka kotłów i długość 5 do 6ciu stóp. Dowodzi to że jedność i wytrwałość w pracy przy szczeréj chęci, mimo słabych narzędzi dokonać może prac podziwienia godnych.

Już więc fabryka skończona i można znosić jajka? Gdzież tam pani domu protestuje, ona elegantka i chociaż młoda i niedoświadczona żonka chce pokazać że się rozumie na urządzaniu domu, więc mimo nalegań małżonka, któryby już chętnie odpoczął i jest z mieszkania zupełnie zadowolnionym, ona przez dni parę gładzi ściany, wchodzi i wychodzi za sobą prowadząc samca aby otwór i korytarz były proporcyonalnie okrągłemi i wymiecionemi; — w téj skrzętnéj pracy prochu w pierze niemało się nasypie, więc idą do otworu potrzepią skrzydłami, ruszą całem pierzem, pobujają chwilkę i znowu lecą gładzić ściany aby się przed sąsiadkami niepowstydzić. Już wszystko gotowe, kociołek w kształcie pieca na chleb, na górze sklepiony, na dole okrągławy, tam noszą suche trawki i korzonki, nieco włosia, a niekiedy wełny kawałki, z tych to materyałów składa się gniazdo nieforemnie ułożone, w które w pierwszéj po-

łowie czerwca jaj znoszą 5 do 6ciu białych, z połyskiem, nader przezroczystą skorupą przez którą żółtko widzieć można, które samiczka sama wysiaduje, a samczyk jéj pożywienie donosi; lecz jak zimne słoty nastają, wtedy i ona za żerem wylatuje kilka razy na dzień niespuszczając się na samca który ledwie siebie wyżywić zdoła, a spokojna o cieplik dostateczny dla jaj w głębi ziemi ukrytych i na miękiéj poduszcze zostawionych. Podwóch tygodniach wykłuwają się pisklęta i cała kolonia na nowo ożywiona od rana do nocy ugania za owadami i donosi dzieciom, które po 2ch tygodniach pierzem okryte, ku otworom gniazd się pchają, żarłocznością parte niesłuchają rodziców którzy im w kotle siedzieć nakazały; miły to widok w lipcu tych wyzierających główek z norów i ożywiających smutne ściany sprawiające nam zawsze wrażenie opustoszenia i gniewu Bożego, który ziemię tu i owdzie porozdzierał i na pamiątkę nam te rozpadliny pozostawił. Niebawem starsze wylatują, pisklęta za tym przykładem i w kilku dniach z kilkudziesiąt jaskółek pomnożyło się ich tyle że kilkaset wiruje przed ścianą dzień cały a na noc spoczywa w kociołkach.

W czasie siedzenia na jajach samiczek nie jeden koło kolonii przejdzie i niespostrzeże gnieżdżących się grzebiółek, samczyki cicho wlatują i wylatują, samiczki najczęściéj wcale się niepokazują, a tak twardo siedzą że często hałas nawet je wypłoszyć nie zdoła; gdy człowiek na wierzchu ściany stanie i mocno nogą uderza w ziemię, wtedy spłoszone wylatują, toczą koła pełne zadziwienia, a oswoiwszy się z stojącym napastnikiem, pomału jedna za drugą siada przy otworze i jak mysz do środka włazi. Korytarz jest tak wązki że ręka ludzka nawet chłopca się niepomieści, a znowu tak długi że palcami kociołka dostać niemożna; aby zobaczyć architekturę budowaną przez grzebiółki, trzeba rozkopać powierzchnię, a przekonać się o głębokości łatwo, bo

dziura zawsze prosta i kijem koniec dotknąć można i wyciągnąć gniazdo, zakręciwszy rozłupany patyk. Zdarza się iż parka wykuje na kilkanaście cali korytarz, porzuci i znowu w innem miejscu kuje, co po dwakroć razy powtarza, zdaje mi się że powodem téj podwojonéj i potrojonéj pracy bywa twardy pokład lub kamyczki za ciężkie do wyprowadzenia i biedne robotniczki którym już tak straszliwie pilno razem siedzieć w ciepłym kociołku, czasem tydzień cały ukończenie pracy spóźnić muszą. Bywa też iż w ciepłéj porze i przy trwałéj pogodzie gdy samiec siebie i żonkę z łatwością wyżywi, a nie jest zagorzałym domatorem, czy z nudów, czy z przywyknięcia do pracy, czy w troskliwéj myśli dla wygodnego umieszczenia na rok przyszły swych dzieci, kuje sobie pomału korytarz osobny i dochodzi przez period siedzenia na jajach samiczki do kociołka, niezapominając bynajmniéj o obowiązkach. Nie czyni to dla siebie, gdyż tam nigdy nienocuje i nawet gdy są już lotne dzieci, wszystko razem się mieści w wygodnéj dziurze, jest to więc poświęcenie lub też nawyknięcie podobne do tego które nam codziennie biurokraci pensyonowani pokazują, idąc z całym przyborem do bióra i bez rozdrażnienia i zawstydzenia przy drzwiach przypomniawszy sobie zmianę położenia wracają do domu bez poprawy, drugiego dnia bowiem o téj saméj godzinie, tym samym krokiem wymierzonym, *śpieszą to niby* do dawnego bióra. Patrząc na tę akuratność podziwienia godną, ktoby myślał że śpieszą do pracy i porównałby ich do grzebiółek pracowitości, straszliwieby moje ptaszyny skrzywdził na reputacyi, bo grzebiółka każda sumiennie pracowita i żadnego roku się nieopuszcza, niepotrzebuje reorganizacyi, będąc od stworzenia świata tak mądrze uorganizowaną że jéj całe życie podziwiać należy, czego o wszystkich urzędnikach zaiste powiedzieć nie można.

I tu bywają nieszczęścia, niespodziane ciosy, często nader przykre przeprawy w życiu, często brzeg się urwie i zawali otwory, ceglarz zbierze łokieć gliny ze ściany i skryte rodzin życie pokaże, innym znowu woda gniazda zatopi, często i starych jak w porcie oblężonym trzyma, przykre zimno na głód wystawi rodziców i dzieci i różne przeróżne utrapienia mają te ptaszyny, a pomimo tych nieszczęść, pomimo że raz do roku tylko wywodzą pisklęta, mnożą się licznéj jak inne gatunki co każda kolonia jasno dowodzi, zdawałoby się że w przyrodzie niemają prześladowców i nieprzyjaciół. Dodać tu muszę do różnych przykrości jakie grzebiółki nawiedzają, to ilość nieskończona wszy, które trapią doskonałe ptaki i pisklęta, a te ostatnie często ofiarą ich zjadliwości się stają, w tych norach czasem tyle jest tego robactwa że się całe gniazdo rusza, oprócz tych co inne gatunki nawiedzają, mają sobie właściwą wesz i od nich nazwaną *Hippobosca hirundinis* która im niemiłosiernie dokucza, a że w pracy ustawicznéj i to *quasi* w kopalniach czasu niema myśleć o polowaniu na te goście, więc cierpieć muszą do czasu w którym z pisklętami na wolność wylecą i odpoczywając na trzcinie pierze do prawdziwéj czystości doprowadzą.

W tym gatunku jak i w poprzednich trafiają się wdowcy, kawalerowie którym się tego roku nieudało zdobyć samiczki; trafiają się, chociaż rzadko i tacy których przeszłoroczna samiczka złączyła się z innym, ci bezżenni z całą energią bronią zdobyte nory, wyczyszczają i porządkują czekając na samiczkę, ci znowu którym się nie dostało wygodne pomieszkanie, sami z rzadką wytrwałością wykuwają sobie przez ich pobyt u nas wygodne mieszkanie, w którem przesiadują i nocują pewnie w myśli że roku przyszłego da Bóg doczekać wprowadzą tam młodą grzebiółkę.

Twierdzą niektórzy autorowie zagraniczni, że grzebiółka ściele gniazdo często na skałach, w rozpadlinach starych murów, w dziupłach drzew, że zamieszkują niekiedy blisko wody stojące domy i że nawet się gnieżdzą w opuszczonych gniazdach poprzednich gatunków. W moim zawodzie ornitologicznym przez lat ośmnaście doświadczenie mnie nauczyło, że grzebiółki przeznaczeniem jest praca górnika i ta praca stała się dla téj ptaszyny koniecznością, co dowodzą jałowe ptaki, które bez gnieżdżenia grzebią przez cały czas lęgowy. Jeżeli przypadkowo zniesie jaja w inne miejsce, to wyjątkowo: przymuszoną jest do tego będąc albo oszukaną twardym pokładem ziemi, lub też natarczywością samca zniewolona z czasem się przerachować. Zdaje mi się zatem, że powyższe twierdzenie zagraniczych autorów jest powtarzanie jednych za drugiemi gabinetowych uczonych, bez naocznego przekonania się o rzeczywistości, że w innych krajach drugi podobny gatunek jaskółki skalnéj (*Hirundo rupestris*) mieszano z grzebiółką i tak bałamuctwo powstało w opisach gnieżdżenia; nareszcie przypuszczam, iż się to niekiedy zdarza, lecz to uważam za wyjątkowy przypadek przeciwny naturze tego ptaka, o którym można powiedzieć jak o gospodarzach *pracuj życie całe, grzebiąc w matce ziemi*. Zważywszy dwie dalekie podróże które corocznie ta ptaszyna odbyć musi, wykopać głębokie nory, wychować pisklęta, zaiste można ją stawiać za przykład ludziom.

Olejów, dnia 1go kwietnia 1859.

Kazimierz Wodzicki.

UZBROJENIE
RYCERSTWA POLSKIEGO.

Bolesław Chrobry staczając ciężkie boje, pojął przewagę należytego ustroju wojennego i wprowadził w gminowładztwie dotąd słowiańskiem, wojskowość jako osobny, a wkrótce i dziedziczny zawód. — Wedle swego boku utrzymywał licznych dworzan bitnych, li, wojence oddanych, którzy walczyli za rolników, a których rolnicy żywili. Zasłużonych z pomiędzy tego walecznych grona, mianował starszyzną wojenną w kraju, aby ochotnych zbierali ćwiczyli i na zawołanie z niemi do boju stawali.

Tak rozróżnił lud wojenny od ludu rolniczego i skotopasów. Na pamiątkę krwawych trudów przybierali sobie ci wojacy odznaki zaszczytne za zgodą braci, a czasem król sam nadawał im takowe na wzór zachodu.

Powoli odłączyło się pokolenie bitne od pokolenia spokojno pracowitego; krwawy trud i praca wzięła górę nad pracą domową i ani był, ktoby pozazdrościł lub

nieużyczył cześci tym, co zdrowie i życie nieśli w ofierze za pracujący lud, co w obronie jego gardła dawali. Lud pracujący doma, żywił ich żony i dzieci, pracą rąk i datkiem: był to okup od trudu i niebezpieczeństwa wojennego. Że to zaś męztwo i płochość dziedziczno idą, więc też i stan wojowników stał się dziedzicznym: syn brał miecz po ojcu aby rodzica pomścić lub daléj pełnić przyjęty obowiązek i poświęceniem zarabiać sobie na udzielany zysk i pracę braci doma zostających.

Oto początek szlachectwa polskiego! Herby polskie niewyśpiewane, niewywzdychane: ale wywalczone, własną krwią okupione.

Szlachta Bolesławowa walczyła konno i zbrojno, na wzór niemiecki; bo Niemcy napadając uczyli Polskę swego sposobu wojowania. Starosłowiańskie a raczéj celtyjskie młoty kamienne i brązowe *pierzchnie* służące za motyczkę w roli a za oręż i pocisk w boju, ustąpiły żelaznym mieczom i *rohatynom* na długich drzewcach; *proce* ustąpiły łukom i kuszom a przeciw kutéj zbroi niemieckiéj niepodołała pleciona tarcza ani łosiowa skóra. Chcąc Niemcom sprostać trzeba było uzbroić się na ich wzór i sposób, a walecznością ich prześcignąć.

Lecz zbroja, to rzecz drogocenna a nielada koń pod nią wytrzyma. Łatwy ztąd wniosek: iż kmieć chcący się wojennemu poświęcić rzemiosłu, musiał prócz odwagi mieć i mienie; bo każden sobie sam zbroję i konia sprawiał. Zbroja ta bywała ciężką. — Bolesław Śmiały, puścił się za łupiącemi Prusakami: „ale iż mu było przez rzekę Ossę a wezbrała była, niemało mu ludu potonęło, zwłaszcza z tych, którzy ciężką zbroję mieli na sobie. I dla tego drudzy pozdejmowali z siebie zbroje ciężkie, aby się przeprawili tem łacniéj . . . . A od tego czasu Polacy porzucili ciężkie zbroje staroświeckie a jęli się lżéj na koń ubierać“. — (Bielski).

I.

KOPIJNICY.

Roku 1382 do Polski przyniesion (mówi Bielski) herb Topacz; tak nazwany od Topacza, Raca jednego. „Ci Racowie (a jest to naród słowieński) za króla Ludwika, naprzód tu do nas służbę żołnierską z drzewem a z tarczą wnieśli: gdyż przedtem naszy z kuszą tylko jeździli, którą, hak mając u pasa, schyliwszy się na koniu a kuszę o nogę zawadziwszy dopinali. Rohatynę k'temu mieli, którą uwiązawszy u łęku przy koniu włóczyli, i przetoż ją włócznią zwali. Do tego miecz był u boku. A to była własna i starożytna broń polska, którą dopiero na ten czas naszy porzucili, do drzew się rzucili".

Za czasów Jagiełły tak samo zbroiła się szlachta.

Pod Grunwaldem r. 1409. „...Król był otoczony strażą ze sześćdziesiąt tylko kopij..."— „Pękały kopie, trzaskano mieczami i puklerzami: że był szczęk, zgiełk i hałas niesłychany...." Przed Kiekierzycem Dippoldem „...zasłaniał się Jagiełło swą kopią...."

Kiedy świeże chorągwie krzyżackie przez wielkiego mistrza przywołane, ku niektorym królewskim oddziałom się zwróciły.. „Wielu Polaków zaraz poznało: że to Niemcy. Ale drudzy mówili: że Litwa ze swemi *sulicami* t. j. kopiami zamaszystemi, i dla tego nie podskoczyli. Ruszył sam tylko Dobiesław z Oleśnicy a przeciw niemu wystąpił krzyżak co chorągiew nosił. W biegu podbiwszy w górę kopią, przez głowę zajął Dobiesława. Dobiesław puścił swoją kopią lecz krzyżak się uchylił. Dobiesław nawrócił ku swoim, krzyżak cisnął za niem i wtedy przez *kropierz* t. j. okrycie żelazne, ranił Dobiesławowi konia w udo i natychmiast także nawrócił....." (*Długosz — w Moraczewskim*).

W ciężkiéj więc zbroi, w przyłbicy na głowie, z długą kopią w prawéj a pawężą — t. j. tarczą czterograniastą nieco w podłuż wygiętą — w lewéj ręce, miecz prosty często oburączny u boku; siedziała wówczas szlachta na koniach okrytych kropierzami t. j. czaprakami w łuskę lub sieć stalową. W szyku bojowym ścieśnionym stali o łokieć koń od konia, w szyku nieścieśnionym o dwa łokcie. Zwracali się zaś: ku pawęży t. j. w lewo, lub: ku kopij, t. j. w prawo. (Sarnicki).

Zbroje lśniły od złota i srebra, na przyłbicach noszono bogate pątliki t. j. czuby od pereł i kamieni drogich.

ZBROJA ZA PIASTÓW.

Najdawniejszych piastowskich zbroi wzory brane od Niemców, więc i krój ich z niemiecka jak to widać z najstarszych nagrobków, pieczęci i monet. — Często zbroja kuta bywała w połączeniu z kolczą; mianowicie ręce i nogi bywały siatką zbrojne, jak to widziemy: na pieczęci Bolesława Wstydliwego; na posągu Kaźmierza Wielkiego; Jagiełły; Henryka pobożnego w Lignicy i innych.

Starodawne ryciny w kronikach, illustracyach pisma świętego, freski najdawniejsze i malowidła przedolejne; wszystko to zgodnie stwierdza to zdanie. A przecież trudno zaprzeczyć: że istotne zapatrywanie się na żywe wzory, było podstawą tych tworów. Rytownicy Gwagnina i Bielskiego, także studya jakieś miewali a niemi były starodawne wyobrażenia królów i ludzi znacznych. W dawnych zaś czasach potęgi dziejowéj, kiedy odmalowanie lub wyrzeźbienie oblicza i postaci ludzkiéj bardzo wielkim trudnościom podlegało; możniejsi tylko i sławni

dostępywali tego zaszczytu, a utwór malarza lub rytownika był raczéj pomnikiem dziejowym niżeli arcydziełem umnictwa.

Do najciekawszych tego rodzaju zabytków, a źródeł do piastowskiéj epoki należą prócz grobowców wspomnionych: Obrazy dziejowe na Skałce w Krakowie; dwa obrazy dziejowe przedstawiające ukaranie wiarołomnych żon za czasów Bolesława Śmiałego w zbiorze Miecz. Pawlikowskiego z Medyki; drzeworyt inauguracyi wszechnicy jagiellońskiéj; rękopism Szydłowieckich; z którego wzory zbierał ś. p. K. W. Kielisiński. W Warmbrunie w zamku hrabi Szafgocza Piastowicza mają być bardzo starożytne obrazy Piastów, tak samo w Toruniu niegdyś na ratuszu.

Z tego wszystkiego niewynika jednak: żeby Polacy za Piastów zupełnie jednako z Niemcami byli uzbrojeni. Budowa ciała zwierzęcego, stanowi przyrodę i krewkość zwierzęcia, boć trudno jagnięciu szarpać i gryść mięso a tygrysowi trawką się pasać. — W uzbrojeniu przeciwnie! Do wewnętrznéj przyrody i krewkości musi się stosować zbroja i broń inaczéj będzie zawadą nie pomocą.

Niemcy z przyrody powolniejsi a konie ich cięższe i nieobrotne.

Polacy prędcy, żywsi i zarówno z końmi swemi rzutniejsi, zwinniejsi. — Po dziś dzień, polski ułan a niemiecki dragon, jakaż to różnica krewkości w człeku i koniu??

Niemcy walczyli w zbroi od stóp do głów — gdyby raki — nawet oblicze całkiem zasłonięte. W ręku dzierżyli *lance* niewiele lżejsze od gospodarskiego pawęża na siano. Koń także był uzbrojon kropierzem.

Polacy radzi nie radzi musieli się podobnie zbroić. Ale cóż na to rzutna krewkość polska?? Niezawodnie gdzie mogła to sobie ulżyła. Ciężaru ulżyła już dla sa-

mego konia, który był mniejszy i słabszy; boć trudno przypuścić aby w całéj Polsce nikt swojskiego konia nie dosiadał tylko kupnego fryza lub meklenburga. Nieruchawości zaś pozbywała się jako mogła, boć nie dzierżyła ciężkiéj „*lancy*“ niemieckiéj, ale kuszę i rohatynę.

Rohatyna zaś był to oręż starosłowiański: gort ostry, na krótszym drzewcu osadzony, podobny do dzisiejszéj ułańskiéj piki, która jest właściwie czysto rohatyną. Nigdy ta broń w Polsce niewychodziła z użytku; bo jeżeli ją na chwilę kopia zastąpiła, to wzięła ją pancerya: petyhorce.

Do łowów była używaną, a zapamiętały łowca biskup krak. Paweł († 1292) „... gdy mu kto u sieci zwierza zepsował, tedy go rohatyną z gniewu przebił..“ (Bielski). Rohatyny długie Maxim. Fredro w swym porządku wojennym, zachwala dla kozackich (pancernych) chorągwi „.... bo rohatyny (zwłaszcza gdy dostatnia na łokci 5 albo półszosta) miasto kopii można zażyć do potrzeby, zwłaszcza gdy z prostéj jedliny w długości słusznéj wystrugana...“— „rohatyna o któréj się mówi dobra... bo dla lekkości tam i owdzie łatwo się z nią obrócić. W ciągnieniu zaś na sznurach z ramienia lewego może wisieć, żeby prawa wolna była dla władania. Długość rohatyny ma być pięć łokci, albo trochę więcéj według wczesności“.

Jużcić widać z tego, że rohatyna przy obrotności dobrą, zaś obrotność w pełnéj niemieckiéj zbroi niepodobna. Więc też i zbroja kuta stosownie odmienna, niejednostajna, częściami złączona z kolczugą; a ryciny w dziele: Icones regum Poloniae — mogą mieć obok fantastyczności, podstawę prawdy. Zbroje z czątek przyszywanych na skórze lub płótnie: Karaceny, że od najdawniejszych czasów na słowiańskiéj ziemi używane były; świadczą: *equites catafracti*, na kolumnie Trajana, gdzie tak Dekebala konni jako i pobratymcy ich sprzy-

mierzeni Rzymian całkowicie łuską uzbrojeni, rohatyny krótkie na siebie rzucają. — Czemużby w późniejszych wiekach Słowianie, czemużby Rusini i Polacy za Piastów nie mogli okrywać piersi stalową łuską? — czemużby Litwa od nich nie miała téj zbroi przejąć. Za Piastów kolczuga i karacena dla lepszéj ruchliwości, łączyła się z kutą zbroją niewykluczając całkowitéj kutéj zwłaszcza po owem przejęciu kopij od Raca Topacza. Jagiełło wjeżdżał do Krakowa wśród świetnego hufu szlachty polskiéj: „... Panowie i rycerstwo polskie od złota i srebra i zbroi świecąc się wszyscy....“ Litwa zaś Ruś i Tatarowie, stali „... z sajdaki wszystko oprawnemi i w szaciech ochędożnych...“

Złączenie Polski z Litwą zatrworzyło krzyżaków wiarołomnych, którym od dawna nie zakonne chrześciańskie myśli, ale drapieżne względem Polski usiłowania, głowę zajmowały. Widokami obfitego łupu nęceni, zbiegały się niemieckie rittery do „Grodu Maryi“ i przysiągłszy przed Matki Boskiéj posągiem, zagrabiały polskie krainy. W krwawych z niewdzięcznym zakonem zapasach, wydoskonaliło się uzbrojenie szlachty polskiéj, ale zarazem mocniéj się do krzyżackiego zbliżyć musiało. Boć nie jedna zbroja z zabitego i koń silny, wpadły w ręce i jako były, poszły w użytek; częste bywały zjazdy z krzyżakami i niemieckim cesarzem, więc i tam brali Polacy wzory widząc głośne i potężne rzeszy niemieckiéj rycerstwo. — Niemcami też osadzony Kraków, Gdańsk, Wrocław, Toruń i inne miasta kupieckie dostarczały częściéj zbroi i koni pod nią; a nawet miejscowi płatnerze, wedle swego niemieckiego sposobu kowali.

Sam król i brat jego Witołd, zaprawni w boju z Krzyżakami, od nich przejęli uzbrojenie i sposób wojowania. Za Jagiełłą wszędzie jeździł giermek z drzewcem czyli kopią jego, podobnie jak w Niemczech.

Mimo przewagi niemieckiego uzbrojenia, niewychodziła rohatyna z używania, mianowicie przeciwko Rusi i Tatarom, których nie trzeba było uderzeniem ciężkiego drzewca z koni zsadzać. — Zacny Melsztyński widząc, że go Witołd i Litwa pod Worsklą opuściła, rzucił się z rohatyną w pośrodek Tamerlana Tatar i zabit.

Za Jagiełłowiczów starli się Polacy z Turkami. Turcy zaś całkiem inaczéj wojowali, niźli zbroją okryty zachód.— Tatarzy także częste zapuszczali zagony a między niemi bywali Tatarzy-petyhorce, odziani kolczugą, dzisiejsi Czerkiesy, z któremi w ówczas Litwa graniczyła.

Ludy te wielki musiały wywrzeć wpływ na uzbrojenie Polaków. Ciężka zbroja pełna, drzewo niemieckie ciężkie z ochroną na rękę, kropierz na koniu a miecz potężny w dłoni, ogółem zbroja obliczona na krzyżackie zastępy niebyła stosowną na nieprzyjaciela, który szybkością nadrabiał.

Przeciw Tatarom najczęściéj bez wszelakiéj zbroi czynić przychodziło, bo wpadali bez wieści; a dworska czeladź i naprędce zgromadzone sąsiady, szły w pogoń za niemi.

Broń ognista także wprowadziła zmiany i wymagała jak największéj raźności konnicy.

Więc zbroja pełna t. j. od stóp do głów wychodziła z użycia, chociaż nie zupełnie. Jeszcze 1508 wspominają dzieje (Herberstejn) Pierzchlińskiego, który „aż za kolana w kirysową *zupełną* zbroję ubrany. . ." wpadłszy w Dniepr, nurkiem go przeszedł. — Moskwa wiele łożyła na pełną ciężką zbroję, a Nowogrodzanie znaczną kupią prowadzili fryzami niemieckiemi, i corocznie prócz innego, sto takich koni Litwie poborem dawali. (Bielski r. 1480). Witołd Pskowianom pięćdziesiąt frezów rocznéj daniny nałożył.

Na sejmie w Piotrkowie r. 1495 — „że się pospolite ruszenie niepodobało królowi i szlachcie, przetoż ze sta grzywien czynszu postąpili trzech konnych; jednego z kopią a dwu strzelców z kuszami, jako na on czas jeżdżono. A z miast piechotę wyprawowano, i wojsko było nie podlejsze. . .“ (Bielski).

Krzyżacy mieli także swe strzelce bez kopij, zwane rajtarami.

Jagiellonowie byli w bliskich stosunkach z Włochami, już to przez papieżów z przyczyny trwogi tureckiéj i szyzmy czeskiéj a potem niemieckiéj, już to przez Bonę Zygmunta Starego żonę, Włoszkę pełnéj krwie.— Włoskie obyczaje, włoska mowa i włoska dworszczyzna, przyjmowała się u dworu króla i panów, którzy dzieci swe do Włoch po naukę wysełali. Umnictwa włoskiego arcydzieła przychodziły w darze a między niemi i zbroja rzeźbiona: Benwenuta Celliniego szkoły. Włosi przeobrażając styl grecki i rzymski, kazili go nieraz, bo im chodziło o pole popisu. Przyłbice z tych czasów ogromem dostarczają pola rzeźbie, lecz ani uzbrajają ani naśladują hełmów greckich wojennych, które łączą piękno z użytkiem (n. p. posąg Achillesa). Bo też to była turniejowa zbroja.

Turnieje i gonitwy bywały częste, mianowicie przy koronacyach i weselnych godach.

W zjeździe wiedeńskim r. 1518, gonił Jan Tarło Toporczyk. — „Cesarz darował króla polskiego dwiema koniami ubranemi, z których jeden był we zbroi aż do kopyt. . . . Ludwikowi dał koń we zbroi i samemu zbroję pozłoconą. . .“

Na weselu Bony „. . . w gonitwach największy dank odniósł (tenże) Jan Tarło krajczy królewski, gdy z Kaźmierzem margrabią goniąc, zbił go z konia we zbroi zupełnéj na ziemię. . .“

Na weselu Izabelli (Zapolskiéj) 1539 królewicz Zygmunt August gonił na ostre z książęciem Ilią (Ostrogskim). „w gończéj zbroi“. Potem gonili Węgrowie za tarczami i dosyć mężnie, kilka par.

W Gdańsku kiedy król tam zjechał „ . . bywały igry na koniech, ciskania z koni piłkami glinianemi, wyjeżdżając jeden przeciwko drugiemu z puklerzami: w czem rączość koni była uznawana“. — A gdy król wyjechał oglądać owce książęce, i z moździerzów ogniste kule puszczano, „kniaź Wiśniowiecki jako pachole z szefelinem, za królem na koniu stał . . . .“ (Ł. Górnicki).

Na weselu Zygmunta Augusta 1553: „Zaczęto od igrzysk kopijników w gończych zbrojach sposobem włoskim. Na turniejach w zamku z spuszczonemi przyłbicami w gończych zbrojach, lecieli jedni na drugich. . . . . parami kruszyli kopie. . . . Nazajutrz Zygmunt Wolski i Stan. Kizgaiło Litwin w ciężkiéj zbroi, stoczyli bitwę. Wolski Kizgailę wraz z koniem obalił. Kizgaiło natarczywem uderzeniem kopię do rękojeści skruszył i sam przez głowę końską zeskoczył . . . .“ (Orzechowski Paneg. nupt. S. Aug.)

Według Górnickiego: „Były gonitwy na zamku gonił Wolski z Kizgaiłem w gończych na ostre i mężnie się potkali. . . . Był turniéj konny, w którym było par 24 za tarczami a z pierścionkami groty u kopij. . . . Potem były znowu w mieście na rynku gonitwy w kolczych zbrojach w dwór, gdzie było każdemu wolno przyjechać i gonić . . . A iż w zawartych hełmach gonili, miał każdy na hełmie znak jaki.“

Bywały więc: 1) Zbroje ciężkie czyli zupełne, t. j. od stóp do głów, z przyłbicami do spuszczania, zupełnie na wzór niemiecki. Do nich należały drzewa, albo kopie

ciężkie których przeznaczeniem było: przeciwnika z siodła wysadzić.

2) Zbroje letkie gończe, na sposób włoski, w zawartych hełmach.

3) Zbroje węgierskie z tarczami, z kopiami, lżejszemi od niemieckich.

4) W końcu zbroje kolcze czyli kolczugi.

Zbroja polska właściwa była pochodzenia słowiańsko-rzymskiego, jak ją on Topacz przywiózł. Napierśnik miał u spodu kilka pasów za siebie zachodzących dla zginania się na wzór rzymski (n. p. na kolumnie Trajana). Węgrzy przyszedłszy bez zbroi do Europy przyjęli ją od ludów słowiańskich podbitych.

Zbroja ciężka niemiecka z rycin i obrazów niemieckich dostatecznie światu znana. Przyłbica miała zawsze przyrząd do spuszczania na twarz. Koń był okryty kropierzem a na czole i karku miewał ochronę z blachy. Zgoła człek i koń w żelezie i ociężały. Na koronacyi Henryka Walezyusza jechało między innemi: „stu, w ciężkiéj zbroi od stóp do głów, lanca do ataku, pistolety w łęku . . . .“ — Czy nie Francuzi??

Włoska była zwykle daleko lżejsza, z cienkiéj dobréj stali, ozdobna i zwykle do kolan tylko, chociaż hełm zawarty. Hiszpanie od Włochów przejąwszy, wydoskonalili ją tak, że podobno równéj nie miała co do kroju, bezpieczeństwa i swobody w ruchach. W Polsce często była używaną i w niéj to leżą na grobowcach rycerze z czasów zygmuntowskich. Włoskie upadające umnictwo, ozdabiając rzeźbami, psuło nieraz krój i nadawało potworne postacie przyłbicom, i napierśnikom aby rzeźbie uzyskać pola. Taka jest znana przyłbica Zygmunta Augusta.

Poseł wenecki r. 1560 opisując owe 20 zbroi tego króla, wspomina o czterech które są przedziwnéj roboty, szczególnie jedną: na któréj misternie wyrznięte

figury srebrne przedstawiające zwycięztwo przodków jego nad Moskalami, ta jedna zbroja kosztowała 6,000 szkudów. Na innych inne zwycięztwa.

SKRZYDŁA.

Polacy nauczeni doświadczeniem pod Warną, doznali na sobie całéj klęski z płoszenia koni pochodzącéj i wymyślili: skrzydła.

Pierwszy pomysł zdobienia się skrzydłami i forgami ptactwa, jest niezawodnie stepowy gdzie trudno o inną ozdobę. Mongołów staroniemieckie kroniki przedstawiają z skrzydłami na tarczach. Turcy bardzo lubili pierzaste ozdoby: kity i forgi a jeszcze na Władysława IV koronacyi szła chorągiew królewska „strojno i świetno, skrzydlasto; z turska, z skrzydłami siedzieli“ (Grabowski Ojcz. Wsp.)

Na weselu Zygmunta Augusta już wspomina Orzechowski skrzydła jako ozdobę powszechniejszą: „Rycerstwo z kopiami w ręku, z czubami na hełmach, z wyniosłemi skrzydłami strusiemi na barkach. — . . . .postępowało 3ch giermków w zbrojach z tarczami, w bogatych sukniach z wznoszącemi się od barków srebrnemi skrzydłami. . . .“

Na koronacyi Henr. Walezyusza szedł oddział „w adamaszku zielonym, z orlem skrzydłem na tarczy i hełmie. . . .“ — „w odwodzie rota. . . przeszło 100 koni i jeźdźców. Konie miały po dwa skrzydła orle od przednich nóg do głowy — podobne skrzydło jedno na hełmie drugie na tarczy“ — „Inni. . . tarcze pokryte strusiemi pióry“

PRZYŁBICE.

Hełmy wysokie za Jagiellonów używane, zwano przyłbicami.

„...u Goździa (1531) wołoszyn ugodził w głowę kopią (Wereszczyńskiego), aż przyłbicę na nim kopią oberwał...“ „...na głowę przyłbicę porwawszy...“ (p. 17 Wereszczyński) — „...chorągwie w ubiorach szkarłatnych z przyłbicą na głowie...“ — „za temi z moskiewska.... z przyłbicą na głowie...“ (Grabowski koronacya Henryka Walezyusza i t. d. i t. d. Przyłbice w Polsce do boju używane, nie miewały ochrony na oblicza, chyba na turniejach lub wyjątkowo. W rycinach starych nigdzie śladu niema. Przeciwnie wszędzie krzyżacy w przyłbicach spuszczonych, Polacy zaś w otwartych tylko z daszkami.

Przyłbice ozdabiano piórami — „...paź (namiestnika chorągwi) niósł przyłbicę z pękiem białych piór pawich u jéj szczytu z osady srebrnéj lub innego metalu jakby z naczynia jakiego wystrzelujących...“ (koron. Henr. Walez.).

Wstręt do przyłbicy spuszczonéj, może pozostał w sposobie mówienia kronikarskim: „Duszno im było w boju...“

KROBIERZE — RZĘDY.

Podobnie jak ciężkie zbroje rzadzéj używane i właściwie tylko przeciw Niemcom chociaż nie wyłącznie.

Na Henr. Walez. koronacyi „...Niektóre konie były pokryte: siatką złotą lub srebrną, inne blachami sadzonemi drogiemi kamieniami, ale czapraki to jedwabne, to z złotogłowu i najdroższéj lamy, szyte kamieniami

lub ozdobione haftem..." — „...niektóre miały na głowie kity białe (pawie)... na krzyżu rozety z pereł lub rytowanego metalu, drogiemi kamieniami sadzonego..." Te pawie kity białe powtarzają się.

TARCZE.

Prócz staroświeckiéj „pawęży" używano jeszcze: albańskiéj. Była to tarcza powleczona cieniuchną blachą srebrną przytwierdzoną goździami, których główki wielkości orzecha, pozłociste tak: iż cała tarcza zdawała się być srebrną. Rozumie się, że były i pojedyncze żelazne lub stalowe, a podobną złoconą jeszcze po dziś dzień zachowała rodzina Wielogłowskich w Sądeczyźnie.

Turcy azyatyccy używali także okrągłych tarcz indyjskich, z bambusowéj trzciny plecionych.

ŻELE.

Żele t. j. małe kotły już za Jagiellonów były w używaniu konnicy polskiéj. Bijali w nie dobosi.

II.

HUSSARYA.

Stefan Batory zastał w Polsce wojsko bardzo konne i na dobrych koniach, dojrzałe w leciech i wzroście ludzi, (bo innych natenczas niepopisywano) — nie węgierskie giermki i parobki.

Ubiór wojenny na tych pachołkach i koniach, taki jakiego niekiedy Polakom i Litwie przeciw kuszom i łukom było potrzeba, a nie przeciw ognistéj strzelbie. Najprzód *siodła* tak wysokie że pół pachołka zakrywało, a bywało abo blachą okowane, abo do niego *zasiadacz* przywiązywano, co ważyło za 3 siodła teraźniejsze. Na pachołku zasie był *pancerz*, obrona, w któréj nietylko kijem ale i nahajką może rycerzowi dobić, a nadto *paiż*, albo tarcza ciężka, a pospolicie bywały na niéj skrzydła jakie, albo kity pawiego pierza przyprawione. *Szyszak* wysoki i szeroki jako pudło ze *skoffią* (?) i z kitą z pierza, albo z forkietem, co wszystko z wielkim ciężarem było, i w najmniejszy wiatr rycerza umordowało i konie usadniło. A do tego *kopie*, aby z drzewa tak wielkie i tak ciężkie z proporcem aż do *gałki*, że to ważyło więcéj niż teraźniejsze 2 kopije. I inszych rzeczy błazeńskich wspominać się niechce, które w zależeniu pola i w długim pokoju po staroświecku rycerstwo zatrzymało, jakoż rymatura polska cudzoziemcom bardzo się niepodobała.

Król zatem, mając iść pod Gdańsk, rozpuścił wojsko polskie, *przepisawszy im taki sposób wsiadania na koń* jakiego teraz (1612-13) *nasi ussarze zażywają*, — i z tak ubranem wojskiem hussarzy polskich, szedł pod Gdańsk najprzód, a potem do Moskwy. (Polyneutychia Andr. Lubieniecki).

Stefan Batory ustanowił gwardyę królewską, w któréj ustawach było: W każdéj chorągwi stokonnéj, niema rotmistrz mieć własnych ludzi nad 24, a 12 ludzi w chorągwi która się z 50 żołnierzy składa. Reszta ludzi w chorągwi, będą podzieleni między towarzyszów, z których każdy najwięcéj sześci mieć ma. Rotmistrze mają się starać o dzielne mocne konie, ludzie, ubiór węgierski, na nim mocne zbroje, przyłbice, rękawice żelazne, kopią, miecz który koncerzem zowią,

karabinki u siodeł zawieszone. Pióra zaś i inne ozdoby i dla trwogi nieprzyjaciela; podług upodobania każdego rotmistrza. — (Pamiętn. St. Batorego).

R. 1592, podczas wjazdu Zygmunta III. stała chorągiew i 50 husarzy w granatowéj barwie z orlemi skrzydłami z kopijami, z białemi i niebieskiemi kitami. Znowu 150 husarzy siedziało na tygrysich skórach zamiast czapraków. Daléj 150 husarzy w karmazynie z tygrysiemi skórami, z orlemi skrzydły w szyszakach i kitach pierza, a ośmiu z nich mieli na sobie białe tureckie kobierce zamiast skór tygrysich. Królewska chorągiew 50 w aksamit i atłas zielono i czerwono ubranych; od złota i ozdobnych orlich skrzydeł. (Nowakowski „Zrodła“).

W poczcie który z Zygmuntem III wyjechał na spotkanie kardynała Henr. Gaeto, posła od Klemensa VIII (r. 1596) szło między innemi: Najprzód 6 trębaczy, za niemi niesiono wielki sztandar jazdy, z kitajki karmazynowéj, na któréj orzeł srebrny był wyszyty. Za niemi chorąży konny z 12 kawalerami niosącemi piki, nierównie dłuższe od włoskich, z chorągiewkami czerwonemi. Mieli oni zbroje ryte, zakrzywiony pałasz u boku. Powierzchowni ubiór czarny aksamitny, bóty, ostrogi; z kutasem z piór zwieszonym z szyi końskiéj. Z tyłu przymocowane do kulbaki sterczało potężne skrzydło z ogromnych piór ptaszych zrobione, drugie podobne skrzydło przypięte było z tyłu do siodła. Drugi poczet od 12 rycerstwa z wodzem na czele. Przy długich kopijach powiewały chorągiewki z kitajki ponsowéj i żółtéj. Mieli na sobie zielone aksamitne płaszcze po brzegach haftowane złotem; srebrne młotki, u łęku kulbaki, zakrzywione bułaty u boku. Na ostatku chorągiew królewska o 50 rycerstwa ubranych czarno z proporcami czarnemi, na których wyszyte były złote węże. Ubiór

i zbroje czarne; długie kutasy powiewały się z obrotem wiatrów.

Według Beauplana: Hussarzy są z saméj majętnéj szlachty. Konie ich wyborne, tureckie lub natolskie najmniéj po 200 dukatów. Służą na pięć koni; w chorągwi od 100 husarzy niema jak 20 towarzyszy. Jadą oni w pierwszym szeregu, a 80 w cztery szeregi za niemi. Kopia ich ma 19 stóp długości; wydrążona jest wewnątrz aż do rękojeści. Przy samem żelezie chorągiewka biała i czerwona — niebieska i zielona — lub biała i czarna mogąca mieć długości 4—5 łokci. Kiedy ta jazda pędzi na nieprzyjaciela, chorągiewki kręcą się z szelestem w około i straszą nieprzyjacielskie konie. Reszta zbroi składa się: z puklerza (*napierśnika*), naramiennika, nagolennika i t. d. Niemają jak szablę u boku, długi pałasz pod lewem kolanem. Długi miecz kończaty, przywiązany do kolby (*kulbaki*?) do przebodzenia nieprzyjaciela już leżącego na ziemi. Miecz ten ma 5 stóp długości, z ciężką okrągłą rękojeścią by tem łatwiéj przebić pancerz. Pałasz służy do rąbania mięsa, szabla do ścinania się wręcz. Nadto mają młotki do 6 funtów ważyć mogące, ostre z długą rękojeścią dla rozbijania: bechterów, naramienników nieprzyjacielskich.

R. 1636 hrabia Ogerius poseł do Polski pisze w swym pamiętniku: We wsi pobliskiéj stała chorągiew huzarów. Jest ona złożona z saméj szlachty. Noszą kopije wydrążone, konopnem sznurkiem i klejem powleczone. Wetkniętą ona jest w małą pochew (*tulejkę*) przy strzemieniu. Mają u boku tarcze, w olstrach pistolety i długi miecz. Hełmy ich, puklerze i zbroja cała z najpiękniejszéj sali. Mają oni po 20—30 koni z których najcelniejszych używają do boju, innych dla pacholików i do wozów, których pod żywność potrzebują nie mało. Daléj pisze: Hussarzy, sama przedniejsza szlachta na pysznych koniach, w bogatych zbrojach; skóry lwów, ty-

grysów, lampartów spływają z karków; — noszą kopije niezmiernie długie z proporcami. Na barkach ich sterczą wyniosłe skrzydła. Munsztuki (*Czanki*) koni srebrne lub złote. Srebrne księżyce i kule zwieszają się z podgardla. Po lewéj stronie mają tarcze, po prawéj małe młotki: czekany. W natarciu pierwszy tylko szereg czynić może kopiami, tylne inną bronią rażą. Którzy niemają skór lamparcich, noszą kobierce; te dla okazałości i przykrycia broni służą. W końcu powtarza: Husarzy z wysokiemi kopiami, na zbroi skóry lamparcie z skrzydłami u barków dla postrachu nieprzyjaciół.

Pani Guebriant: Hussarzy, jest to jazda zbrojna; noszą na grzbiecie całkowite skóry lamparcie lub tygrysie nakształt płaszczów, mają kopie z chorągiewkami kitajkowemi różnych kolorów. Naczelnik każdéj chorągwi stał na jéj czele: miał z tyłu wielkie skrzydło z piór strusich, które wiatr miotał na jedną i drugą stronę.

Pod Wiedniem: husarskie kompanie były w lampartach, ich zaś oficerowie w burkach. (Diaryusz wied. okazyj.).

Jabłonowski w Dodecas ducum: Husarz, po staropolsku kopijnik, powinien siedzieć z kopią ośmiołokciową i z proporcem kitajkowem siedmiołokciowem. Kopia od wkopania w ziemie.

ODMIANY W ORĘŻU.

Max. Fredro 1670: Najprzód w husarzu, aby każdy towarzysz osobne miał za swój grosz obmyślone kopie, (pierwsze tylko przy zaciągu od rotmistrza wziąwszy) dla pocztu swego, oprócz tych co z niemi pod chorągwią siada; gdyż w jednéj potrzebie kopie skruszywszy dla drugiéj potyczki kopij nie bywa, z wielką ujmą siły

husarza naszego. Także powinien mięć z osobna w wozie tyle grotów ile na cztery poczty rachować się może; bo gdy za gęstemi utarczkami kopij niestanie, może lekkie młodociane jedliczki i sosienki w lesie wyciąwszy i wysuszywszy, miasto krótkiéj kopij lada grot przyprawiwszy zażyć. Co podczas moskiewskiéj wojny za Zygmunta króla z pożytkiem wojska naszego zażywano. — Kopia ma być na półdziewięta łokcia wzdłuż. Hussarskie drżewo od kopij czyli kopijnica malowana czerwoną i białą farbą bez pozłoty i bez grotu kosztowała gr. 15. (Pam: Niemcew. t. 3.)

Zwyczajem i regułą hussarskiemi: złożywszy kopią w pół ucha końskiego, następowali na nieprzyjaciół (Diar. wied. okaz.).

W aktach ratusznych krak. z czasów Stef. Batorego stoi między innemi zapłata: Węgrzynom co robią drzewca....

PETYHORCE.

O Pięcihorcach, Piatyhorcach, i Czerkiesach nad Donem i morzem Czarnem — wspominają chroniki w wieku 16ym dodając: że byli chrześcianami obrządku greckiego, z pochodzenia zaś Tatarami. Tarnowski hetman w opisie poselstwa swego do Carogrodu, wspomina o nich: iż Nohajcom przywożą sukna i płutna w zamian za bydło. Daléj wspomina że kilkuset strzelców Czyrkasów i Piecihorców szło z rusznicami przy działach carzyka tatarskiego. Petyhorce i Czerkiescy tatarzy są dzisiejszemi Mingrelcami i Czerkiesami, ongi daléj w równiach osiadłymi, nim ich Witołd a później kozactwo dońskie, głębiéj w góry nie wcisnęło. Między Tatarami litewskiemi byli zdaje się i Petyhorce. Czerkiesi,

osiadłszy dawne Greków kolonie, z przyjęciem chrześciaństwa przyjmowali wcześnie oświatę Europy a w krzyżowych wojnach kto wie czy nieodgrywali jakiéj roli ważnéj? Dzisiejsze uzbrojenie Czerkiesów i ogółem Kaukaskich ludów, nie są dzisiejszemi ale zabytkami przeszłości, owéj przeszłości kiedy kolczuga lub pancerz dostateczną od strzały i cięcia dawały ochronę. W Polsce bywały kolczugi często używane aż do Stefana Batorego, który się wielce gorszył twierdząc: że w nich batem pachołka zabić można. Za ostatnich Jagiellonów jeszcze, zawięzywało się nad Donem i Bohem Kozactwo złożone z ludu luźnego a bitnego, który żył łupem i rybołostwem. Tatarzy przezwali ich: Kazakami t. j. opryszkami. Kozacy brali wzory z wojska polskiego zarówno jak i od swych wrogów. Od Polaków wzięli tabory i broń ognistą służąc pieszo, w konnicy zaś swéj zaprowadzili rohatyny obok misiurki i kolczugi tatarskiéj.

Już na wjeździe Henryka Walezego postępowali za końmi podwodowemi: dobosze lub żele z turecka, daléj 4—6—8—12 trębaczy wszyscy w barwie swych chorągwi, które ciągnęły trójkami z kopią w dłoni lub bez niéj, każdy jednak w pancerzu lub kolczudze. Wielu było uzbrojonych w łuki i stanowili w każdéj chorągwi osobny oddział. Szło 300 w adamaszku, pod suknią kolczuga, przez ramię łańcuch złoty, w ręku kopia z proporcem białym. Inni na pancerzach tuniki z atłasu żółtego w pasy błękitne, tarcze pokryte strusiemi póry, podobnie rzędy i szarfy wiszące z karków końskich. Szło Dulskiego trzydzieści i sześć Kozaków w pancerzach pozłocistych.

Stefan Batory miał pod Gdańskiem: Temruka petyhorca Tatarzyna koni 70; a pod ów czas Sołgien petyhorzec w 300 koni wysłany przez księcia Ostrogskiego zadał Tatarom klęskę na Wołyniu.

Rohatyny kozackie były krótszemi od polskich drzew i kopij; misiurki, kolczugi, kołczan i sajdak także różne od muszkietów husarskich; wszystko obliczone na lekkość i zwrotność, przypadło szlachcie do serca a i kozackie, petyhorskie chorągwie weszły niebawem w zwyczaj; Temruk zaś Pietyhorzec-Tatarzyn nobilitowany na sejmie 1601.

Chorągwie te w wszystkich dyaryuszach jednostajnie zwane: kozacy *alias* pancerni (odróżniając zupełnie od kozaków: Niżowców — Zaporożców — Regestrowych i Lissowczyków.)

Podczas wjazdu Zygm. III. do Krakowa, stała chorągiew w pancerzach i żelaznych misiurkach, z łukami i rohatynami w czerwonych i żółtych butach. (*Ein Fahn in Panzerhembt und Eisenrundel mit Handbögen und Spiesz, roth und gelbe Sandeln.*)

R. 1596 kardynał Gaeto opisując swe przyjęcie mówi.... Za niemi prowadził wódz 12tu innych rycerzy, również z kopiami; — ubrani w koszule z siatki stalowéj z szerokiemi rękawami przetykanemi złotem. Zwieszały się im z barków tygrysie skóry, młotki srebrne u siodła, bułaty u boku. Marszałek w. koronny w aksamicie czarnym z długą laską w ręku.... Szła za nim chorągiew od 50 kopijników z chorągiewkami czerwonemi; niesiono w pośrodku białą chorągiew w pośród któréj był herb marszałka (Radwan). Rycerstwo to miało na barkach skóry lamparcie; wszyscy w pancerzach nabijanych złotem (??czy nie mylnie pancerz zamiast zbroi??) z bułatami u boku.

Le Vasseur Beauplan dokładnie opisuje pancernego: Na pancerzu zawieszony pałasz, na głowie misiurkę od któréj zwieszająca się siatka zakrywała kark i spadała na ramiona. Wisiał u pasa jeżli niemiał łuku: karabin, nóż, szydło, sześć łyżek srebrnych wchodzących jedna w drugą, w sztuccu z marmuru czerwonego, bogata hu-

stka, pistolet, wiaderko skórzane do picia, kańczuk, trzy łokcie jedwabnego postronka do wiązania jeńców. Wszystko to wisi na prawym boku naprzeciw szabli. Nadto róg do leczenia pysku koni. Przy siodle kubeł do pojenia koni, trzy pęta na konie, torbę skórzaną dla chowania ładunków, prochownicę, klucz do karabina itd.

W Dodekas *ducum*:... Pancerni — od pancerzy w których siadają — powinni mieć: Dzidy z proporcami, bandolet albo sajdak; hussarze: szyszaki, pancerni, misiurki na głowie...

Ogerius: Lekka jazda wywijała się w różne strony to lecąc w zawody, to nagle w tył stawając. Są oni dziwnie zwinni, noszą pancerze i muszkiety z tyłu. — Daléj mówi tenże opisując rodzaje wojska:.... Kozacy w siatkach żelaznych, mają miecze, strzelbę, albo strzały i łuki.

Pani Guebriant opisując wjazd królowéj M. Ludwiki do Gdańska wspomina: Kozaków księcia Janusza Radziwiłła, ubranych zielono, pancerzami okrytych, niektórych z toporkami innych wielu z proporcami czerwonenemi z herbem.

Chmielnicki miał także panceryą jak widać z rękopisu Pinnotego w magistracie krakowskim, przy opisie Bereteckiéj:... Wzięto dwóch setników pancernych kozackich, dobrych bardzo ale tak pijanych że i mówić nie mogli....

Fredro w Porządku wojennem 1670 mówi: W kozackim rynsztunku dojrzeć potrzeba aby (gdy nie może być pancerzów), lekkiéj zbrojki albo samego przedniego blachu, zażywano...., miasto zaś misiurki małego szyszaczka miąższo płótnem przeszywanego i pancerzem pokrytego... Trzeba przytem aby w pierwszym szeregu pod kozackiemi chorągwiami z długiemi rohatyny siadano, bo rohatyny (zwłaszcza gdy dostatnia na 5 łokci lub półszosta), miasto kopiéj można zażyć do potrzeby

zwłaszcza gdy z prostej jedliny w długości słusznéj wystrugana... — Daléj mówi: Lekki husarz albo petyhorzec ma być na dobrym koniu z drzewcem 7 łokciowym (bez proporca) w szyszaku z blachem przednim, albo w kaftanie dobrze przeszywanym i pancerzem powłoczonym i z karwaszami. Ostroga u nogi, bandolet na 4 piędzi, rurę mający, pistolet przynajmniéj jeden, ładownica tak spora jak u pieszego....

Karwasze, z węgierskiego: kar-was t. j. żelazo z ramienia; po polsku: narękawki.

W 17 wieku noszono na kolczudze: obojczyk, mianowicie używając szyszaczka zamiast misiurki. Obojczyk stał wówczas niejako za: półkirysie.

BROŃ — OZDOBY — RZĘDY

HUSSARYI I PANCERYI.

Hussarya i Pancerya — kwiat szlachty polskiéj — występywali czasami bardzo ozdobnie i kosztownie. Na koronacyi Henr. Walezego:... każda kompania za swemi naczelnikami w szeregu trójkami postępowała. Dzidy ich różnobarwne złocone i srebrzone. Przodem każdy jechał namiestnik właściciela chorągwi na pysznym koniu, w sutym stroju ze złocistym buzdyganem w dłoni....

O kropierzach siatkowych i blaszanych wysadzanych lub rytych, o czaprakach i kitach koni hussarskich mówiło się wyżéj przy hussaryi za Henryka Walezego.

Skóry lamparcie, tygrysie, rysie, pojawiały się w zadziwiającej mnogości, i należały do zwykłéj ozdoby i nakrycia zbroi i konia. Pani Guebriant nie mogła się w Gdańsku nadziwić, materyom perskim lub aksamitom najrzadszych barw, podbitych sobolami lub droższemi

często grzbietami rysiemi cenionemi podług ilości cętków. Pod takiemi kontuszami miała szlachta żupany lite złote lub srebrne igłą barwisto wyszywane. Czapki sobolowe lub marmurkami wykładane, z kitami czarnemi czaplemi albo piórem krogulczem. — Nagłówki końskie szeroko złote kamieniami nasadzane przy nagłówku, a czasem z obu stron szyi wielkie kity czarne z piór czaplich, (najmniejsze sto niektóre tysiąc dukatów płatne), przyozdobione szponami, złotemi lub drogiemi kamieniami. Kołczan tych, co strzał używali był ruszczykowy, rogi jego i środek haftem złotym lub srebrnym ozdobione. Guzy mieli wszyscy ogółem złote kamieniami okryte.

Rzędy hussarskie były zawsze i wszędzie najdroższemi, a często bardzo drogiemi. Najbardziéj poszukiwanemi były tureckie, często zdobyte a czasem kupne: złociste czętczate, kamieniami wysadzane.

Rządziki kozackie były tańsze, od srebra zwykle; między niemi ulubione: czerkieskie w pukle srebrne pstro-złociste, i białe w srebrne pukliki. Do rzędów należały koncerze z pochwami i olstry.

Ładownice bywały aksamitne, atłasowe haftowane, kordybanowe a czasami szczerolite, na sznurach, taśmach, lub rzemieniach.

Sajdak służył na łuk, a w łubiu (kołczan) noszono strzały. Bywało strzał 40. (*Acta Cap. Castr. Cracov.*)

LISSOWCZYKI.

Alexander Lissowski uczeń wojenny wielkiego Zamojskiego i Potockich, porucznik hussarskiéj roty Niewiarowskiego pod Kircholmem — pułkownik kozacki Ra-

dziwiłła Janusza pod Guzowem w 200 koni poszedł do Dmytra Samozwańca. Tam wnet pojął czego może dokazać drużyna śmiałków zwinnych i obrotnych chociaż bez zbroi i kolczugi, wojujących na sposób tatarski ale z polską odwagą, i nie dla łupu i jeńców. Przekonany o pożytku takiéj lekkiéj jazdy skoczył Lissowski nad Don i przywiódł kilkuset mołojców, których połączywszy z swemi otworzył pierwszy w polskiem wojsku pułk lekkiéj jazdy nieregularnéj niby tatarskiéj — i rozpoczął z niemi wojnę podjazdową, w samych podjazdach ćwicząc mołojców w obrotach i karności. Niebawem szedł o lepsze z Zborowskiego hussaryą i panceryą a wnet na odgłos sławy jego gromadzili się Dońce, Tatary aż z za Wołgi, Czerkiesy i Zaporozce, a pod Kremlinem stał Lissowski na czele 20,000 lekkiéj nieuzbrojonéj jazdy, z któremi wypadając na czaty zdobywali miasta i grody, stawali się postrachem Rosyi a celem zazdrości szlachty polskiéj. Lissowski pierwszy zaprowadził w Polsce lekką jazdę nieuzbrojoną tylko orężem a dzisiejsi ułani są tylko reformowanemi Lissowczyka kozakami. Dzisiejsi kozacy rosyjscy to istne Lissowczyki; bo Chmielnickiego Zaporozce piechotą, w taborach lub na czajkach wojowali. Zaporozce to była piechota — jańczary polskie. Konnicy mało mieli. Inaczéj Dońce ci konno wojowali z tatarska. A reformowali i doskonalili ustrój ich wszyscy hetmani z kolei od Chodkiewicza aż do księcia Poniatowskiego.

Lissowczyki byli tem Polsce czem Tatarzy Turkom — strażą i czatą obozową, chociaż na dalekie chadzali czaty, bo na Sybir po „Białe morze“ i do Francyi wpław przez Ren.

Zbroi niemieli a „żelaza tylko u koni pod nogami u siebie przy boku, a częściéj w ręku“. — Nosili szable, łuk i strzały, rohatynę, a u łęku wisiał młotek. Potykali się nacierając całym pędem, a jeżli trzeba było

zmyślając ucieczkę i rosypkę strzelając po za siebie w biegu, napowrót się ustrajając i znowu nacierając — zupełnie iak Tatarzy.

Podobnemi byli i Semeny Czarnieckiego.

RAJTARYA.

W całych Niemczech mianowicie zaś w Szwecyi wcześnie wprowadzano lud ognisty konny zwany Rajtarami. Jeździli oni w lekkich kutych zbrojach, w hełmach, a Szwedzi nawet w kapeluszach tylko. Nosili miecz u boku, muszkiet, a późniéj pistolety i bandolecik. Francuzi zwali ich *arquebusier* od przekręconego niemieckiego: *Hackenbüchse* t. j. hakownica z którą jeździli. Zrazu sprowadzano niemieckich rajtarów na żołd jako cudzoziemski authorament. Póżniéj, mianowicie w pospolitem ruszeniu z biedniejszéj szlachty nieuzbrojonéj tworzono chorągwie rajtarskie rejestrowe, które za przykładem Lissowczyków bez zbroi, ba! nawet bez rohatyny na szablę, tylko albo z bandoletu na cel brały i nieraz Szwedów płoszyły pojawiając się niespodzianie to tu to tam. Niektórzy nawet bandoletu nie miewali tylko łuk i strzały. Chorągwie takie zwano także: tatarskiemi tak jak petyhorców: kozackiemi. Odziewał się każden jako mógł a jeżeli barwa jaka była to chyba wedle województw jak się kędy ubierano.

Ogerius pisze: Rajtary czyli regestrowi. Mają miecz i rusznicę, są cali uzbrojeni.

Pod Kluszynem nacierała rajtarya na piechotę moskiewską i wystrzeliwszy z rusznic odwracała się dla nabijania a drudzy następywali strzelając.

DRAGONIA.

Dragon znaczy: smok — a dragoni przezwani tak od grzebienia na hełmie nakształt smoka. Jagiełło używał Wołochów do służby dragońskiéj, późniéj sprowadzano Niemców którzy n. p. pod Wejherem bardzo się odznaczali. Mieli barwę błękitną. Obok cudzoziemskiego autoramentu zaprowadzono późniéj znowu dragonią wołoską, mianowicie z sołtysów Rusi i Wołoszy goralskiéj. R. 1647 ustanawia Piotr Gembicki bisk. krak. — „Sołtysi (kresu muszyńskiego) służbę postanowioną za dragony odprawiać mają przy dworze naszym... którym płaca zwyczajna z skarbu iść ma: na miesiąc po złp. 10... jako obcych i cudzoziemców chowamy...“ — Oni to dobywali Napierskiego; ich to bili z początku mściwi kozacy a późniéj „3,000 zginęło przez zdradę dragonów, którzy: natione Roxolani, religione graeci, habitu germani będąc zaprzedali się nieprzyjacielowi 1634....“ Uzbrojenie ich było: karabin długi i toporek lub szabla. Koń z kulbaką swojską, górski podjezdek, barwa swojska górska niby z niemiecka. Biskup Gembicki Piotr puszczając Mochnaczkę Stefanowi Banickiemu zastrzega: „Powinności po dragańsku w własnem odzieniu... z rusznicą jeździć ma...“ Bili się zwyczajem dragońskiem, konno lub pieszo wedle potrzeby, a zwykle odważnie stawali. Jakoż r. 1624 Jan sołtys krynicki za waleczność na sejmie otrzymał szlachectwo.

Pod Gdańskiem wyprawił hetman „część Polaków z długiemi rusznicami na koniach między hussarzami.“

P. Guebriant wspomina: karabinierów w łosicach t. j. łosiowych kurtach i szkarłatowych sukniach.

Ogerius: Dragoni bez zbroi na małych koniach z muszkietami.

PIECHOTA.

Od czasów jak wojowanie konno przemogło, niemiała Polska piechoty własnéj, tylko Wołoszą się posługiwała. Wnet jednak poczuli Polacy potrzebę, a za Warneńczykiem była w Bulgaryi piechota która w bok Turkom zaszedłszy „z koni jęli zbadzać oszczepy i ci je naprzód przełomili“ — a miała to być piechota polska „bo po oszczepach łatwie znać... bo tak drabikowie nasi chadzali z oszczepy, a miecze przy boku mieli; pawęzy też miewali które spiąwszy bywali bezpieczni za niemi jako za murem ani ich jezda leda jaka przełomiła. Ale już dziś wszystko inaczéj, więc nie wiem jeźli tak lepiéj; lecz to baczę: że co pierwéj Węgrowie piechocie naszéj dank dawali, to my dziś węgierską chwalimy.“ (Bielski).

Węgierska piechota byli to „hajducy“ na wzór bułgarskich hajduków i po większéj części górale słowaccy lub ruscy. U Gdańska dzielnie walczyli i „siekierami złożywszy się wręcz się siekli — porzuciwszy ruśnice...“

Kardynał Gaeto pisze: „Szła chorągiew 300 hajduków Polaków i Węgrów w ubiorze niebieskim z czerwonemi czapkami, niosący jedni halabardy przy szablach, drudzy rusznice z lontami albo też obosieczne berdysze, ci co pod chorągwią królewską szli przed pierwszemi“. — Szła też piechota niemiecka z alabardami na ramieniu sztuczniemi rytemi — w czarnych płaszczach długich do kolan.“

Przy wjeździe Zygm. III stało trzy chorągwie razem i 500 hajduków gwardyi królewskiéj w błękitnéj barwie, chorągwie czerwone z białym krzyżem. Stało także 40 hajduków z oszczepami w bieli. Hajducy węgierscy biskupa warm. mówi p. Guebriant, mają: topory, szable, i karabiny gwintowe, z których kulą o 500 kroków zrę-

cznie bardzo strzelają. Mieli guzy lane z srebra z niezmiernemi klamrami. Straż armat poruczono piechocie. Tak 1654 pod Ciecierzynem przeciw Moskwie cztery chorągwie piechoty węgierskiéj armatę uwozili — ale porzucić musieli.

POLSKA PIECHOTA.

„Polska piechota przed Stef. Batorym była bardziéj do błaznów niż do rycerzów podobna, bo je ubierano w szaty szachowane z różnych barw sukna; każda karwatka i szarawara miała w sobie kilka farb rożnych. A broń ich miecz a barta, ruśnica bardzo rzadka. Ani sami wiedzieli jako szańce robić albo kosze, aż to dopiero pierwszy raz ujrzeli gdyśmy Landzkorony dobywali a potem pod Gdańskiem. A tak jako konnica konnicy węgierskiéj tak piechota piechocie jęli się we wszystkim stósować, które gdy król w ryzę wprawił, był niemi silny nieprzyjacielowi: Niemcom, Moskwie, Tatarom. Widząc król: że piechota polska wziąwszy ćwiczenie dobre, podołała dobrze piechocie wszystkiéj cudzoziemskiéj znalazł sposób piękny: że z koronnych ziem bez kosztu a prędko mogło się zebrać piechoty kilka tysięcy i postanowił z miast i wsi królewskich aby wysłańce (wybrańce) wysłano. A to na sejmie. (*Lubieniecki Polyneutychia*).

Stefan Batory 1577 ustanawia: Z 20 ułanów królewskich jeden człowiek śmielszy i dostateczniejszy od innych dobrowolnie się oświadczający, od téj chwili ma być wolny od wszelkich powinności naszych jako to: czynszu, poboru łanowego, powozów, podwód i inszych ciężarów. Drudzy 19 podatki zastępować i odprawować będą. Co ćwierć roku ma się stawić do lustracyi do po-

rucznika swego lub rotmistrza: z rusznicą dobrze narządzoną, szablą, siekierką i barwą, z inszemi pieszemi podobną jak rotmistrz naznaczy".

Przy wjeździe Zygm. III. było „...też 40 strzelców po polsku *(auf polnisch)* w czerwonéj barwie. Drabi zaś królewscy w czerwonym aksamicie z srebrnemi pozamonami.

Przy wjeździe posłów Zygm. III do Moskwy: „...było przy Carze (Dymitrze samozwańcu) sto piechoty Wdy Sendomirskiego w barwie czerwonej w żółtych ciżmach, wszyscy pod pióry prawemi białemi...; drugie sto starosty sanockiego w barwie błękitnéj z pętlicami blachowemi srebrnemi, nie małemi pod strusiemi pióry — wszystko chłopi urodziwi.

Do szturmu nad Arbacką bramą w Moskwie przed Bartłomiejem Nowodworskim, szła piechota z siekierami dla rąbania ostrokołów około grodka przy bramie zbudowanego; za nią dwie chorągwie piesze z muszkietami dla rażenia nieprzyjaciela w czasie wyrębu. Daléj 20 żołnierzy niosło petardy do wysadzania bramy, przy których szedł Nowodworski i więcéj 50 ochotników w kirysach. W posiłku postępowały chorągwie piesze Lermunta — węgierska i Butlera... Szturmujący nieśli z sobą drabiny... Moskale osadzili bramy piechotą z muszkietami, berdyszami..."

Ogerius wspomina: że pułk pieszy X. Konstantego Wiszniowieckiego był ubrany w jednostajne mundury; ludzie silni, okropnego wejźrzenia — okropne szramy po licach i łbach podgolonych.

Wjeżdżającego do Paryża po Maryą Ludwikę posła Opalińskiego, 30 piechoty szli: w żupanach czerwonych sukiennych, w katankach, w deliach na ramiona powrzucanych, po ośm guzów srebrnych. Za magierną nożenki srebrne; na lewem ramieniu muszkiet, a w prawéj ręce siekiera. Wszyscy wygoleni po polsku.

Berdysz-topor w półmiesiąc zaokrąglony czasem obosieczny, t. j. w dwa półokręgi czasem ogromny, w podłuż przeciągły mianowicie berdysze moskiewskie do ścinania się przy szturmie bardzo straszne.

Szczęsny Morawski.

DZIEWICE TRACHIŃSKIE.

(dalszy ciąg).

GONIEC.

W tem wszystkiem co ów człowiek doniósł ci obecnie,
ni słowa prawdy nie ma, bo albo bezecnie
zełgał, dawniéj lub teraz niegodziwie kłamie.

DEJANEJRA.

Co mówisz? myśli twoje tłumacz zrozumiale,
bo nad tem coś rzekł, próżno głowę sobie łamię.

GONIEC.

Słyszałem sam z ust męża tego doskonale
w obec nie mało świadków, że li dla dziewicy
ów zabił Eurytosa i dobył stolicy
Echalii i że Eros z bogów go jedyny
pokusił, aby sięgnąć po takie wawrzyny;

co tając teraz zmyśla coś o Lidyi, dalėj
o znoju pańszczyźnianym u jakiejś Omfali
i o zepchnionym na łeb w przepaści Ificie.
Nie — kiedy na rodzicu nie wymógł namową,
aby wydał zań córkę na skryte pożycie,
dla drobnėj winy wnet miał przyczynę gotową —
i najechał kraj *owėj*, w którym jak powiadał
poseł przedtem, Euryta stolicą zawładał,
zabił ojca jėj, króla, i rozburzył miasto.
Teraz, jak widzisz, w dworcu będzie wnet z powrotem,
dokąd nie bez zamiaru wysłał tę, niewiasto,
snadź jednak nie na służbę, nie myśl nawet o tem,
niepodobna — gdy ku niėj on miłością pała.
Dla tegom chciał, by jasna była ci rzecz cała;
a wszystko z własnych posła ust, pani, słyszałem,
ja sam i wielu innych. Przed ludu nie małem
zebraniem bowiem w Trachis poseł o tem prawił,
że łatwo go przekonać. Ja jeźlim zabawił
niemiłą ciebie wieścią, nie cieszę się, ale,
choć nieprzyjemną, mówię prawdę szczerą wcale.

DEJANEJRA.

Och! biada! jak nieszczęsne moje położenie!
Jakąż klęskę nieboga w dom niepostrzeżenie
przyjęłam! A więc ona nie jest bezimienną,
jak stwierdził poseł niby przysięgą sumienną?

GONIEC.

Zaprawdę, nie. Urody świetnėj i wejrzenia,
Jolą zwana niegdyś, z Euryta plemienia
pochodzi, choć ów o tem niby, kto ją rodził,
nie wiedział — snadź że tego dotąd nie dochodził!

PRZODOWNICA CHÓRU.

Niech zginą przed innymi ci źli mianowicie,
co nie powinni wcale a broją złe skrycie.

DEJANEJRA.

Cóż mi czynić obecnie, niewiasty, wypada?
bo wieścią tą strwożonéj potrzebna porada.

PRZODOWNICA CHÓRU.

Bież, badaj posła — niechaj wyzna wszystko żwawo,
jeźli na seryo zechcesz zająć się tą sprawą.

DEJANEJRA.

Pójdę, bo pójść za radą dorzeczną nie wadzi.

GONIEC.

My żali poczekamy? lub co czynić radziéj?

DEJANEJRA. (spostrzega Lichasa).

Zostań, bo mąż ten oto, by na zawołanie,
niezapozwany z grodu zaraz przy nas stanie.

(Lichas nadchodzi).

LICHAS.

Cóż Heraklowi, pani, — już na drodze bowiem
do niego jestem, widzisz — cóż od ciebie powiem?

DEJANEJRA.

Późnoś przybył, a w drogę spieszysz tak skwapliwie,
zanim rozmowę naszą odświeżym w pamięci?

LICHAS.

Chcesz-li mię pytać o co, powolny-m twéj chęci.

DEJANEJRA.

Czy w tem, coś doniósł, byłeś rzetelny prawdziwie?

LICHAS.

W miarę jak sam wiedziałem, Zeus wielki wie o tem.

DEJANEJRA.

Któż więc niewiasta, którąś przywiódł za powrotem?

LICHAS.

Z Eubei rodem, nie wiem wżdy z jakiego domu.

GONIEC.

Ty, patrz-no, komu myślisz tak sprawiać się, komu?

LICHAS.

A ty co chcesz? co znaczyć ma to nagabanie?

GONIEC

Odpowiedz, nuż masz zmysły wszystkie na pytanie.

LICHAS.

Jeżeli widziadłami czczemi się nie durzę,
toć sprawiam się małżonce Heraklesa, córze
Ojneja, Dejanejrze księżnie, pani mojéj.

GONIEC.

Téj właśnie, téj czekałem odpowiedzi twojéj.
Więc panią zwiesz ją swoją?

LICHAS.

Boć prawnie mną władnie.

GONIEC.

Jakiej ś więc winien uledz, skoro się pokaże,
żeś nieprawnie postąpił względem pani, karze?

LICHAS.

Jak to nieprawnie? Przecz mię podchwytujesz zdradnie?

GONIEC.

Nie ja, jeno ty w sprawie téj działasz zdradliwie.

LICHAS.

Odchodzę; żem cię dotąd słuchał, sam się dziwię.

GONIEC.

Nie, nie, wprzód śledztwo krótkie z ciebie co wybada.

LICHAS.

Mów, czego chcesz; snadź gęba twa milczeć nie rada.

GONIEC.

Brankę, którą do grodu wprowadziłeś, żali
przypominasz ją sobie jeszcze?

LICHAS.

Tak. Cóż daléj?

GONIEC.

Czy ty, nieobeznany niby z onéj dolą,
nie nazwałeś jéj córką Euryta, Jolą?

LICHAS.

Ja? w obec jakich ludzi? zkądże świadka stawisz,
co słyszał kiedy z moich ust to, co tam prawisz?

GONIEC.

W Trachis to ogłaszałeś a liczne zebranie
było ludu; poświadczą liczni więc mieszczanie.

LICHAS.

Hum! mówiłem, żem słyszał! lecz rzecz inna wcale,
przypuszczać co, a inna, wiedzieć doskonale.

GONIEC.

Przypuszczać? nibyś tego nie poprzysiągł słowa,
że żoną Heraklesa ma być branka owa?

LICHAS.

Co? żoną, ja mówiłem? Przewielcy bogowie,
kto ten człowiek, łaskawa pani niech mi powie.

GONIEC.

Ten, co z ust twoich słyszał, że zburzył gród cały
z miłości do téj, że to nie dzieło Omfali
Lidyjskiéj, jeno winne miłości zapały.

LICHAS.

Królowo! niechaj-że się ten człowiek oddali!
Przecz zdrów ma gadać z tym, co na umyśle chory!

DEJANEJRA.

Zaklinam cię na Zeusa, co przez Ojty bory
wyniosłe miece bliski, zrób wyznanie prawdy.
Bo najpierw nie powierzysz słowa złéj kobiecie,
ni takiéj, która nie wie, że na tym tu świecie
nie w jednéj rzeczy rozkosz ludzie czują zawdy.
Kto zatem Erosowi odpór dać się sili,
pięścią, niby zapaśnik — na tem się omyli.

Toć on bogami nawet, jako chce, tak władnie,
mną także; przecz podobnie jak mną, też nie inną?
Zaczem, że tą do serca słabość się zakradnie,
do męża gniew mogłabym chyba powziąść w szale —
albo do téj niewiasty, co stała się winną
tego, co jéj nie hańbi, ni mnie krzywdzi wcale.
Nie tak jest. Ty zaś jeźli fałsz mówisz z pouki
owego, wiedz, nadobnéj nie posiadłeś sztuki;
jeźli sam się tak kształcisz, doczekasz się losu,
że, gdzieś zacnym być zechciał, niecnym cię obniosą.
Więc powiedz czystą prawdę; bo haniebną plamą
na wolno urodzonym jest zakała kłamu.
Zataić to przedemną, tego chybisz celu;
z tych, którym ogłaszałeś, doniesie mi wielu.
Jeżeli się zaś boisz, niesłuszna twa trwoga;
nie usłyszeć, to właśnie boleść dla mnie sroga;
a wiedzieć, cóż w tem złego? Azaliż bez granic
w liczbie nie miał Herakles, jeden mąż, kochanic?
a żadna z onych złego nie słyszała słowa.
odemnie, ni zarzutu. To też teraz owa
nie usłyszy, chociażby mąż topniał z miłości;
bo pierwszy onéj widok już mię do litości
pobudził, że wdzięk ciała zniszczył wdzięk jéj doli
i że kraj swój wydała biedna mimo woli
na zagładę i brańshwo. Lecz ta sprawa niechaj
swoim trybem się toczy. Ty zaś mydło w oczy
puszczaj innym, mnie prawdę mówić nie zaniechaj!

PRZODOWNICA CHÓRU.

Usłuchaj zacnéj rady, a żalu nie będziesz
miał do pani i moją życzliwość posiędziesz.

LICHAS.

Widząc, władczyni droga, że o ułomności
ludzkiéj po ludzku sądzisz i bez zawziętości,

nie zataję nic, prawdę powiem oczywistą.
Wiedz więc, tak jest w istocie, jak ten mąż powiada.
Gwałtowna miłość sercem Heraklesa włada —
i dla *owéj* Echalią, ziemię jéj ojczystą
mnogie klęski i boju zniszczyła zagłada.
I tego — ta się jemu należy obrona —
nie kazał taić, ani też niechciał zapierać.
Ja z własnego popędu, z obawy, by łona
twojego tem bolesnem słowem nie rozdzierać,
przewiniłem, nuż w przewin to umieścisz rzędzie.
Teraz, gdy wszystko tobie wiadome, na względzie
miéj małżonka i siebie — i niech dozna owa
od ciebie uprzejmości, aby twoje słowa,
które jéj dotyczyły, sprawdziły się na niéj.
Bo ów zwycięzcą dotąd w każdéj sprawie, pani,
miłością opętany *owéj* uległ ninie.

DEJANEJRA.

Sama tyle rozsądku mam, że to uczynię;
nie zwiększę przyniesionéj w dom klęski ogromu,
wszczynając walkę z bóstwem. Lecz teraz do domu
pospieszmy! Z pozdrowieniem i winną podzięką
udasz się do małżonka, datek płacąc datkiem.
Bo nie godzi się z próżną tobie wrócić ręką,
przysłanemu do domu z tak wielkim dostatkiem!

(**Wchodzą do grodu**).

Śpiew chóru.

Strofa.

Świetne przemożna Kyprida
zwycięztwo zawsze odnosi.
Wżdy bogów dziejów nie głosi
śpiew mój, ni, jako Kronida

lub Hades, mocarz ciemności,
albo Pozejdon, co ziemię
wstrząsa, we wniki miłości
wpadli — nie, słuszniéj zaniemię!
Lecz tych, co silnemi członki
o rękę onéj małżonki
się dobijali — i w boju
kułakowym otoczeni
obłokiem pyłu się znoją,
tych włożę do moich pieni.

Antistrofa.

Potok gwałtowny, kształt byka
wziąwszy o wyniosłych rogach,
Acheloj z Ojniad, na nogach
czterech na plac się pomyka.
Z Teb Bakchosowych przybywa
Zeusa potomek, gach drugi:
łuk mu gnie w kabłąk cięciwa,
a sam potrząsa maczugi
i włóczni drzewem. — Na środku
zwarli się tedy by przodku
nie dać drugiemu, gdyż ręki
księżny ich podżega żądza;
a Kypris, darząca wdzięki
małżeństwu, sama rozsądza.

EPODOS.

Tam grzmoci pięść, tam warczy łuk
i zręczny splot obala nóg;
tu bodzie byk swych rogów kłem
i zgubny raz zadaje łbem;
jękliwy w to się mięsza ryk
buchaja i Herakla krzyk;

gdy tymczasem pięknéj twarzy
ona trwożna na z daleka
widnem wzgórzu siedząc czeka,
jakiego los męża zdarzy.
Nieświadoma-m wyrażonéj
W mowie doli; wżdy wyroku
żądza się skupiła w oku
u dziewicy wywalczonéj; —
i natychmiast od macierzy,
by sieroce jagnię, bieży.

(Dejanejra wraca).

DEJANEJRA.

Podczas gdy obcy jeszcze na samym wychodzie
z brankami dziewiczemi rozmawia się w grodzie,
ja przyjaciółki, wyszłam z komnaty tajemnie,
chcąc opisać wam podstęp uknuty przezemnie
i bóle moje, aby wam było mnie lito.
Bo owa nie dziewicą już, jeno kobietą,
którą, by żeglarz brzemię, wzięłam w dom w naddatku,
haniebną korzyść w miarę myśli moich statku.
Pod jedną odtąd kołdrą będziem czekać obie
uścisków! On, którego uczciłam nazwiskiem
wiernego i dobrego, po tak długiéj dobie
za straż pilną jakimże mię obdarzył zyskiem!
Wżdy gniewać się na niego nie umiem ja zgoła,
toć często już ulegał téj saméj chorobie;
lecz mieszkać wewspół z ową, któraż żona zdoła,
aby dzieliły z sobą jedno łoże obie?
Nadto widzę: jéj młodość w samem jest rozwiciu,
moja okwita. — *Owéj* kwiat rad uszczknąć okiem,
mężczyzna — a ucieka od *tej* szybkim krokiem.
To też myśl ta obecnie napełnia mię strachem,
by się nie nazywało, że moim w pożyciu
Herakles jest małżonkiem, młodszéj zasię gachem.

Wszakże, jak rzekłam, gniewem spłonąć białogłowie
rozsądnéj się nie godzi; lecz co oswobodzi
mię od cierpień, wam, drogie, w dalszéj powiem mowie.
Posiadam z dawien dawna dar niegdyś mi dany
od potworu, w śpiżowym krużu zachowany,
który jeszcze dziewicą będąc w chwili zgonu
kosmopiersiego Nessa jam wydarła łonu.
On to na ręku ludzi przez Ewenu nurty
przeprawiając za myto, bez pomocy nawy
i żagli, ni też wiosłem pchając statek z burty —
i mnie też, kiedym w skutek ojcowskiéj odprawy
wyszła za Heraklesem z rodzinnego grodu,
na plecach swych przenosząc już w połowie brodu
bezczelną dotknął ręką. Krzyknęłam strworzona —
a syn Zeusa niezwłocznie zwróciwszy się rzuca
pocisk lotny, co piersi przeszył mu i płuca.
Otenczas potwór do mnie tak rzecze, gdy kona:
„Sędziwego Ojneja córo, że ostatnią
„przeniósłem cię, z przewozu zysk weźmiesz nie mały —
„a nie myśl, abym ciebie chciał zagarnąć w matnią.
„Bo gdy z trzewów dobędziesz moich krwi stężałéj,
„kędy jad swój zanurzył potwór żmii Lerny
„wraz z pociskiem, na umysł Herakla gotowy
„posiędziesz urok, że ci nie będzie niewierny
„ani więcéj pokocha innéj białogłowy“.
Pomna na to obecnie, bo od jego zgonu
miałam krew tę starannie w komnacie zamknioną,
tę odzież nią zbroczyłam w skutek słów rozwagi,
które przerzekł przed śmiercią. Oto, już się stało!
Wżdy nie znam i znać niechcę zuchwałéj przewagi
i gardzę z gruntu serca niewiastą zbyt śmiałą.
Lęcz nuż czary i urok miłość przezwyciężą
i przygaszą zapały do dziewicy w mężu,
niech się spełni czyn, chyba że w tem przedsięwzięciu
widzisz płochość — bo wtenczas zaniecham go z chęcią.

PRZODOWNICA CHÓRU.

Bylebyś w skutku czynu miała zaufanie,
wcale nie zły twój zamiar, takie moje zdanie.

DEJANEJRA.

Tak, ufam w skuteczności, bo w nią ślepo wierzę,
lecz doświadczenia nie mam dotychczas w téj mierze.

PRZODOWNICA CHÓRU.

Kto działa, winien wiedzieć; bo wiedzieć rzekomo
bez dowodu, nie daje pewności nikomu.

DEJANEJRA.

Natychmiast się dowiemy. Oto wnet krok chyży.
Lichasa, śpieszącego z grodu, do nas zbliży.
Ty tylko mnie nie zdradzaj; bo na tego życie
zły czyn nie ściągnie hańby, kto go spełni skrycie.
(Lichas przybywa).

LICHAS.

Cóż czynić mam? rozkazów twoich, pani, czekam.
Już i tak zbyt powolny — odjazd mój odwlekam!

DEJANEJRA.

Myślałam o tem samem właśnie też w tym czasie,
gdy ty z brankami w grodzie bawiłeś, Lichasie.
Zaniesiesz ot mężowi płaszcza tkankę cienką
w podarku, którą własną wyrobiłam ręką.
A dawszy ją oświadczysz, aby przed nim na się
nikt z śmiertelników nie kładł owego odzienia
i aby nie ujrzało wprzód słońca promienia
ani świętych ołtarzy lub ogniska żaru,
aż sam je bogom w obec ludu zgromadzenia
pokaże w dniu, gdzie byków zbłaga ich ofiarą.

Tak bowiem ślubowałam, gdy doniosą o tem
lub ujrzę sama, że mąż w ojczyznie z powrotem,
tym płaszczem go ozdobić, jak zasłużył sobie,
by bogom cny ofiarnik w cnéj ciała ozdobie
się ukazał. — To dasz mu: znak tu wyciśniony;
skoro spojrzy na pieczęć, pozna, że od żony.
Teraz idź — i to prawo zechciéj mieć na pieczy,
posłem będąc w nie swoje się nie mieszać rzeczy;
i pamiętaj, że jego wdzięczność wespół z moją
złożona, tobie zysk twój niechybnie podwoją.

LICHAS.

Jeżli w ogóle zręcznie Hermesą urzędu
dopełniam, w twojéj sprawie nie popełnię błędu.
Szkatułę, jaką teraz jest, taką odbierze
i słowa twoje, pani, dopowiem mu szczerze.

DEJANEJRA.

Już idź — jaki ład w grodzie, tobie też wiadomo.

LICHAS.

Toć jak najlepszym ładem idą rzeczy w domu.

DEJANEJRA.

Wiesz nadto, boś sam widział, co branki dotycze,
po przyjęciu uprzejmem jak jéj dobrze życzę.

LICHAS.

Że aż z radości nadtem serce drżało moje.

DEJANEJRA.

Cóżbyś mógł nad to donieść? Ach! bo ja się boję,
abyś się nie wygadał, jak tęsknię, nim o tem
dowiem się, czym też jego tęsknoty przedmiotem!

(Dejanejra, i Lichas odchodzą).

Śpiew chóru.

Strofa 1.

Wy, co śród cieplic skalistych przy morzu
albo na Ojty osiedliście wzgórzu
lub ląd w około jeziora Melidy
i złotostrzałéj, czystéj Artemidy
brzegi dzierżycie, kędy sejmy w Pyle
Hellenów sławy pozyskały tyle.

Antistrofa 1.

Wnet dźwięcznogłosa fletnia do was wróci,
nie skarg niestrojnym tonem was zasmuci,
lecz, niby lira, zabrzmi boskie pienie.
Bo syn Alkmeny, Zeusowe nasienie,
niosąc łup, cnoty wszelakiéj dowody,
do swéj ojczystéj powraca zagrody.

Strofa 2.

Dwanaście miesięcy już w mieście nie gości
po morzach się pławiąc nas bez wiadomości
zostawił i wierną małżonkę. Ach! ona
w gorących łez tonąc powodzi, stęskniona
schnie biedna! Wżdy Ares zaniechał już srogiéj
wściekłości i zsyła bez trosków dzień błogi.

Antistrofa 2.

Niech przyjdzie! niech przyjdzie! niech już nie zawita
do portów po drodze łódź w wiosła obfita,
aż w mieście tem stanie! Niech z wyspy ustąpi,
gdzie ofiar ognisku on kapłan nie skąpi!
Niech czarów urokiem spętany, stęskniony,
jak potwór obiecał, powraca do żony!

(**Dejanejra wraca**).

DEJANEJRA.

Ach! lękam się, niewiasty, żali nie zbyt śmiele
postąpiłam w niedawno dokonanem dziele.

PRZODOWNICA CHÓRU.

Co tobie, Dejanejro? co, córo Ojneja?

DEJANEJRA.

Nie wiem; lecz drżę, że może zawieść mię nadzieja,
że, chcąc dobrego, mogę zdawać się zbrodniarką.

PRZODOWNICA CHÓRU.

Ażaż w skutek danego mężowi podarku?

DEJANEJRA.

Niestety! Och! nikomu tego nie pochwalę,
rączo brać się do czynu niejasnego wcale.

PRZODOWNICA CHÓRU.

Poucz, nuż słyszeć wolno, zkąd twe niepokoje?

DEJANEJRA.

Zaszło tu coś takiego, że, gdy powieść moję
opowiem, nie pojmiecie dziwnych zjawisk p łnéj.
Bieluchny bowiem kosmyk przedniéj owczéj wełny,
którym odzież odświętną potarłam niedawno,
znikł, żadną w domu siłą nie pożarty jawną;
nie, sam się trawiąc sczeznął i rozpadł się w pyle.
Lecz chcąc wyjaśnić wszystko, nie dosyć rzec tyle,
szerzéj się rozwieść trzeba nad onem zjawiskiem.
Żadnych z przykazów, które Kentaur dał, pociskiem
przeszyty, gdy mu szarpie bok zajadła strzała,
nie zapomniałam, owszem, święcie-m zachowała,
by niezatarte pismo na tafli spiżowéj.

I postąpiłam sobie według jego mowy,
co cieczy téj kazała strzedz w izbie, z daleka
od ognia i gdzie słońca nie dosięga spieka,
ażbym do namaszczenia pożądała płynu.
Posłuszna temu teraz, gdy trza było czynu,
wyskubawszy kosm wełny z trzodnéj owcy, szaty
krwią Nessa napoiłam w ukryciu komnaty;
i zwinąwszy nietknięty od słońca promienia
dar złożyłam, jak wiecie, do skrzyni sklepienia.
Za powrotem do grodu, cóż widzę! słów zgoła
nie mam na to — rozumem człek pojąć nie zdoła!
Bo przypadkiem przezemnie wełny kosm, którego
użyłam do maszczenia, na blask słonecznego
promienia wyrzucony, gdy się w nim rozgrzewa,
rozpada się i znika przy ziemi bez śladu,
kształtem najpodobniejszy do trocin rozpadu,
co z przetartego piłą wciąż się pruszą drzewa.
Tak więc na ziemi śnieżna wełna rozsypana,
a z ziemi gruzłowata w górę pryska piana,
sina, jak tłusty napój, co z jagód w jesieni
Bakchowéj winorośli na ziemię się pieni.
Nie wiedząc co tu czynić, na próżno się biedzę
a jednakże czyn straszny dokonany, widzę.
Zkąd bo też albo za co w przedśmiertnéj godzinie
na tę tak był łaskawy zwierz, dla któréj ginie?
Nie tego, co go zabił, chcąc życia pozbawić,
mnie zmamił; ja zaś, gdy już nie można naprawić
złego ach! wiem za późno o podarku cenie.
Jam sama, ach niestety! jeźli przywidzenie
mnie nie zwodzi, mężowi życie odebrała!
Bo wiem, wiem o tem, że i boskiego Chejrona
śmiertelnie ugodziła jadowita strzała
i że potwór wszelaki od jéj ciosu kona!
Jakżeby więc zatruta krew, co z Nessa ciała
stoczyła się, małżonka zabić też nie miała!

Tak sądzę — lecz wiem oraz, że, gdy ów polęże,
mnie jeden i ten sam cios wespół z nim dosięże;
bo żyć w sromotnéj hańbie, téj nie zniesie doli
ta, co, że zacnéj duszy jest, pokazać woli!

PRZODOWNICA CHÓRU.

Powinny wzniecać trwogę w sercu groźne czyny;
wżdy przed końcem nadziei nie trać bez przyczyny.

DEJANEJRA.

Kto niecne przedsiębierze dzieła, temu ducha
nie pokrzepi darząca ufnością otucha!

PRZODOWNICA CHÓRU.

Przygana lekka tego czeka, co pobłądzi
bez rozmysłu; téj każdy godnym cię osądzi.

DEJANEJRA.

Kto nieszczęścia nie doznał i w życiu domowem
nie przeznał klęsk, ten takiem odezwie się słowem.

PRZODOWNICA CHÓRU.

Z pożytkiem tobie będzie, nie mówić już o tem,
chyba że chcesz ze synem dzielić się kłopotem,
co wybiegł śledzić ojca i — ot jest z powrotem.

(Hyllos nadchodzi).

Z. Węclewski.

LISTY O TEGOROCZNÉJ
WYSTAWIE SZTUK PIĘKNYCH
W PARYŻU.

I.

Patryarcha malarzy Apelles powiedział przed wiekami że nie trzeba sądzić obrazów z błędów ale z zalet jakie zawierają. Ta rada pogańskiego mistrza, chociaż interesowana, jak wszystkie rady — jest sprawiedliwą, i powinnaby być regułą dla chrześciańskich krytyków wyrokujących o dziełach sztuki. Na nieszczęście tak nie jest: każden z nich szuka przedewszystkiem błędów — każdemu jakoś łatwiéj ganić niż chwalić — każden mniemałby iż ubliża sobie, gdyby rzuciwszy okiem na obraz, owo pole uprawione wszystkiemi siłami ducha artysty, wypieszczone nadziejami od których spełnienia

może cała przyszłość młodego malarza zależy — gdyby mówię nie wynalazł na nim ze dwóch przynajmniéj wad kapitalnych, niweczących wszystkie poprzednio przez grzeczność wymienione zalety.

Co do mnie, przyjąwszy, może lekkomyślnie, trudne zadanie opisywania Ci tegoroczném Wystawy Paryzkiéj — zdanie greka za przykazanie sobie biorę, i mówić tylko będę o rzeczach pięknych, a to dla trzech powodów:

najprzód, że nie będąc krytykiem, nie lubię mówić o rzeczach brzydkich;

powtóre, niechcąc udawać znawcy, nie potrzebuję zastanawiać się nad tarciem farb i mięszaniem kolorów — nad ilością pruskiego kwasu lub palonéj kości;

po trzecie, iż do wszelkich dyssekcyi czuję nieprzełamany wstręt — wiedząc ze smutnego doświadczenia, że nawet w przekrojonéj perle podły krzemień znajdę.

Wyspowiadawszy się z góry, i ostrzegłszy amatorów brzydoty iż tu dla siebie strawy nie napotkają — śmiało już patrzę na Wystawę jak na świat, po wierzchu — i wziąwszy cię pod rękę, wchodzę do Salonu kierując się jak beduin w pustyni — po najjaśniejszych gwiazdach.

Będziemy się ślizgać w téj naszéj przechadzce, jak łódka po wód krysztale nie mącąc błota ustanego na dnie; będziemy latać jak motyle w ogrodzie, omijając pokrzywy, a na najpiękniejszych odpoczywających kwiatach. W ten sposób i mnie co piszę i tobie co czytasz, ten spacer będzie miły — a czy ta nasza przechadzka bez mikroskopu bez skalpela i bez cyrkla, podoba się czy nie, chirurgom sztuki pięknéj — fraszka o nich; my patrzmy oczyma greka: jak Apelles szukajmy tylko piękna — wszakże Plato nazwał je *splendorem prawdy.*

II.

Wystawę malarstwa i rzeźby urządzono, jak temu dwa lata, w pałacu Przemysłowym na Polach Elizejskich, i otworzono pietnastego kwietnia. Obszerniejsza i piękniejsza niż lat poprzednich, składa się ona z 3045 obrazów — 472 posągów — 159 rycin, i 209 litografij.

Jak w 1857 roku, otwarcie poprzedziły liczne narzekania i skargi na surowość i niesprawiedliwość sędziów. Mówiono że podeszły Areopag złożony z samych Akademików, nieraz przez lenistwo, dla tego żeby nie kiwnąć dającą przyzwolenie ręką, odrzucał najlepsze dzieła. Mówiono także, iż jakaś nadzwyczajna drażliwość opanowała tego roku członków Instytutu, w przedmiocie toalety malowanych osób — że nie mogąc znieść formy ludzkiego ciała, sędziowie, jak niewinne Józefy, odwracali oczy od wszelkich, choćby najpowabniejszych Putyfar — i bez apelacyi wypychali je za drzwi; że skromniejsi od niewiast, odrzucili *Śpiącą Ewę* pani O' Connell dla tego że niemiała kołnierzyka, jak również *Poranną Gwiazdę* pana Chaplain, bo wstała bez szlafroka. Mówiono, że w obec tylu krzywd i niesprawiedliwości, wypada pomyśleć o zemście — i otworzyć obok Wystawy Oficyalnéj, Wystawę nieprzyjętych obrazów. Mówiono także....

Ale nie skończyłbym chcąc tu powtarzać wszystkie zarzuty miotane gniewnemi usty artystów na siedzących na cenzurowanym sędziów. Powiem więc tylko, że w tych inwektywach jest połowa prawdy; że procedura oceniania dzieł sztuki zależąca od złéj lub dobréj strawności dostojnych sędziów— od ich złego lub dobrego humoru— od słońca, deszczu, wiatru, zimna, ciepła i tysiąca intryg, jest dokuczliwą i niesprawiedliwą.

We Francyi, gdzie wszystkie ustawy tak budująco ku sprawiedliwości się prostują, czasby pomyśleć o przemienieniu trybunału sztuk pięknych; nie słusznie bowiem, ażeby kilkunastu starców wziętych z jednéj gałęzi Instytutu, decydowało o talencie, losie i przyszłości tysięców młodych Artystów. Przypuściwszy nawet że sądzą sumiennie, czy podobna żeby zawsze ciż sami ludzie mogli w ciągu dni kilku, ocenić tysiące obrazów które się przed ich oczyma przesuną?

Nie ulega kwestyi że potrzeba zrobić wybór pomiędzy przysłanemi na Wystawę dziełami, żeby nie wpuścić do Salonu ubliżających sztuce utworów; trybunał więc potrzebny; ale dla czegożby członkowie jego nie mieli być wzięci z wielkiego grona Artystów mających nagrody z poprzednich expozycyi?

Jakże postępują we Francyi kiedy chcą zebrać grono przysięgłych mających orzekać w kwestyach dotyczących honoru, fortuny, wolności lub życia obywateli? Oto, spisują listę ogólną znakomitszych obywateli, i wyciągają na los imiona osób mających składać przysięgły Areopag przez ciąg jednorocznych sądów.

Czemużby taż sama liberalna procedura niemiała być zastosowana do sztuki? Ułożyć ogromną listę malarzy nagrodzonych na poprzednich wystawach, i z niéj wybierać na los nazwiska tych którzy mają tego dnia sądzić.

Tym sposobem uniknionoby wpływu stronnictw, szkół i przesądów — oszczędzonoby przysięgłym ogromnéj fatygi wynikającéj ze zbyt długich posiedzień — a mianowicie, położonoby raz na zawsze koniec wszelkiem skargom. Zapewne wiele dzieł miernych by przeszło — ale cóż to szkodzi? Nie lepiéj że uwolnić stu winnych, niż skazać jednego niewinnego?

Powyższy projekt do prawa z rozmaitemi podawany odmianami, kilkanaście razy w ciągu miesiąca ukazywał

się w Paryzkich dziennikach. Wszyscy tutejsi krytycy domagają się jednozgodnie w interesie sztuki, téj reformy która już stała się konieczną. Tylko niesprawiedliwi jéj sobie nie życzą.— Komu wiadomo ile kosztuje artystę stworzenie choćby najdrobniejszego dzieła — ile doń przywiązuje wagi — ile ono budzi w nim nadziei, marzeń, złudzeń zrodzonych w cieniu pracowni i wykołysanych pochwalną piosnką przyjaciół — ten musi mieć sympatyą i wyrozumienie dla tych dzieci zapału i nadziei. Daj Boże żeby jak najrychléj równouprawnienie w obec szczęścia znalazły.

III.

Wchodząc do ogrodu, najpierwéj uderzają kwiaty okazałe, barwne, kołyszące się pysznie na wysmukłéj łodydze; nie w nich jednak cała zaleta kląbu — i nie z nich zwykle woń jego płynie; po rabatach i trawnikach, pod liśćmi, pod darnią, pełno jest kwiateczków wdzięcznych, nieustępujących pięknością przesławnym różom i rododendronom, a sto razy od nich wonniejszym: pod liśćmi kwitną fijołki i konwalije.

Z expozycyą rzecz się ma jak z ogrodem: jednakie tu i tam efekta — ta tylko różnica, że tam natura a tu sztuka dzieła swoje wystawia. Oglądając ją, będę miał powinne względy dla piękności i sławy, dla róż i rododendronów — ale nie pominę i tych niepysznych, dla tego że nieznanemi podpisane nazwiskami.

Szkoła Francuzka dzieli się na szkół wiele, co nadaje jéj przyjemną rozmaitość któréj u żadnego innego nie

napotkasz narodu. Choć wszystkie jednoczą się gustem wytwornym, każda z nich ma swoją cechę odrębną — każda zachowuje swoją indywidualność, choć innemu rodzajowi piękna hołduje.

Dwaj mistrze, jak dwa najdroższe kamienie, brylant i rubin, błyszczą na czole artystycznego dyademu Francyi. Ingres, mistrz spokojny, jak gwiazda stała, ślepy na piękności natury — widzi tylko arcydzieła sztuki greckiéj. Ztąd marmurowy jest, i krwi w żyłach niema. Dzieła jego w sztuce są tem czem dyamenty w mineralogii, czem w ogrodzie białe lilije *candidy*: królewskie, poważne, imponujące, nieskazitelne — ale martwe, bo bez kolorowe.

Delacroix, antipoda Ingra — mistrz patrzący słońcu oko w oko — odpowiada w mineralogii rubinowi; w botanice uosobieniem jego jest *Cactus superbus*, który gdzieś w zwrotnikowym pasie wybujały, co rok okrywa się kwiatami — a jak zakwitnie, przysiągłbyś że krzak ogniem płonie.

Mistrz ten tropikowy, rażący nieraz do szarzyzny przywykły wzrok ludzi północnych — stoi na czele licznéj szkoły, ma mnóstwo naśladowców — ale niema następcy, bo nikomu tajemnicy swojéj niewydał. Czy przez zazdrość? Broń Boże! Delacroix choć z wielu miar do Michała Anioła podobny, niema w sobie zawiści która szarpała twórcę *Sądu Ostatecznego*. Szlachetny i uczony, mógłby zasiąść w Akademii Nauk, tak jak w Akademii Sztuk pięknych któréj jest członkiem — ale udzielać geniuszu swego nie umie — bo geniusz to jedyny nie podzielny dar nieba. Czy mistrz natchniony wie jakiemi środkami dochodzi do efektów? Czy poeta może dawać lekcye poezyi? Delacroix do geniuszu swego jak Mazepa do dzikiego przykrępowany rumaka, pędzi bez tchu, bez pamięci, bez zmysłów — i dopiero stanąwszy u mety, ocuca się hetmanem.

Trzecim mistrzem z kolei jest Decamps, co jak Rousseau w ośmnastym wieku Naturę, odkrył w dziewietnastym Wschód — i ukazał go zdumionemu oku ziomków. Ale Rousseau znał tylko naturę Alpejską i czuł ją więcéj jako góral niż artysta — kiedy Decamps, jedna z najpotężniejszych organizacyj malarskich jakie pojawiły się na świecie, panuje w swoich państwach absolutnie, jak sułtan. Rzec można śmiało, przed nim, te wspaniałe, ukochane przez słońce kraje, nie istniały dla sztuki. On dopiero, jakby z nieba zesłany dla odwołania barbarzyńskiego ukazu którym Machomet wygnał malarstwo ze Wschodu, przybył z paletą, i sam jeden wszystkich malarzy Wschodowi zastąpił.

Prócz tych trzech głównych, jest mnóstwo innych szkół estetycznych w Paryżu. Diaz, w którym Murilla pokutuje dusza, ma także licznych naśladowców. Czem Alfred de Musset był w poezyi, tem on jest w malarstwie: świetność kolorów, nie wysłowiona gracya formy rzucanéj od niechcenia — błyskawicowe światła — kapryśne kontury — ma on wszystko co kocha młodzieniec, o czem marzy późniéj człowiek, zamknąwszy oczy, ażeby swobodnie wywoływać wspomnienia, i drogie złudzenia młodości...

Meissonnier, którego talent zwiększa się w miarę jak się ramy zmniejszają — którego godłem *maxime miranda in minimis*, a grzechem zbytek doskonałości — ciągnie za sobą długi ogon maluczkich Flamandów, wyznawców Van der-Meulen'a.

Flandrin, Cognet i Chaplin uczą prześliczne malować portrety — ostatni mianowicie cudownie maluje kobiety. Nikt lubieżniéj od niego nie umie otulać je tumanami gazy — zaciemniać, żeby mocniéj świeciły.— Nikt szczodrzéj nie szafuje na nie, łamliwych atłasów, koronek misternych — pereł i dyamentów. Do szkoły Chapelin'a radby się wpisać każdy młody.

Szkoła Delarocha dalėj w dziejowe zapuszcza się śledztwa, ceniąc najwyżéj królewskie męczeństwa.

Couture i Gerôme, w stary Rzym zapatrzeni, także stworzyli szkołę.

Hebert i Hamon ukochali grecką przezroczystą prostotę.

Müller nowoczesnym przywodzi historykom.

Winterhalter, zwykły portrecista dam bogatych, z tysiącem uczni wydaje olejny żurnal mód, w którym zawsze znajdziesz śmietankowe czoła i poziomkowe jagody modnych bohaterek, oraz próbki najnowszych lyońskich materyi.

Troyon, Corrot, Palizzi, Rousseau i Rosa Bonheur z bratem Augustem, jako bogowie łąk, pól, lasów i zwierząt, przodują szkole peizażystów.

Szkołą wojskową dowodzi Ivon który hetmańską buławę z sędziwych rąk Verneta odziedziczył. Pod rozkazami jego, walczą Pils, Barrias, Beaucé, Couverchel, Bellangé i setnie innych malarzy. Jestto szkoła dzielna: znać że ci artyści malują bitwy upojeni prochem, jak żołnierze.

IV.

Nie artystycznie to może, ale naturalnie i najstosowniéj w téj chwili, rozpocząć przegląd wystawy od obrazu na którym Ivon, z ruskiem nazwiskiem Francuz rodowity, przedstawił *Pierwszy Atak na Małachowę*. Ogromny ten widok, od którego jak od ostrzonego głazem miecza, wciąż lecą skry wojennego zapału Armii Francuzkiéj — przykuwał na miejscu tłumy — i jako jaskrawe odbicie

obrazów oczyma duszy widzianych, oślepiał na inne piękności sztuki, a kazał tylko uwielbiać sztukę *krzyżową*.

Dla Artysty zakochanego w olbrzymich konturach i muskulaturze Michała Anioła, przepyszny to przedmiot ta bitwa potężna przedstawiająca setki nowych Achillesów dziś Zuawami zwanych, walczących na ostre z nieprzyjacielem, pasujących się z nim pojedynczo w zażartym boju godnym Homerowych opisów.

Przeszedłszy pierwsze okopy Małachowy, dywizya jenerała Mac Mahon zatrzymaną została w pochodzie przez faszynowe barykady z ziemi i chrustu; trudniejsze do zdobycia niż kamienne mury. W tym sztucznym wąwozie płynęła rzeka rosyjskich bagnetów. Po krwawych wysileniach Francuzi wyparli z tego łożyska czerń morderczą, i zajęli ów szlak na cztery metry szeroki który był szyją łączącą redutę z miastem. Zdobycie tego wąwozu wydało Francuzom Sebastopol.

Otóż, obraz Ivona przedstawia walkę w tych Chersońskich Termopylach. Pośród dymu wystrzałów i płonących płotów, wznosi się już na zlanym krwią francuzką wzgórku, zwycięzka chorągiew dwudziestego pułku liniowego. Ale zwycięzcy nie mogą dostać kroku. Odparta kolumna Rosyan, jak stugłówny smok płowy, powraca i pcha się na błękitne mundury... oba wojska zwarły się i rozpoczęły rzeź na bagnety. Francuzi i Rosyanie jak ścięte kłosy zalegają pole; wodzowie wszędzie dają przykład męstwa, wszędzie pierwsze ponoszą ciosy: dwóch pułkowników Francuzkich pada na raz — szala zwycięstwa to na tę, to na tę stronę się przechyla— aż przybycie brygady Wimpffen'a stanowczo rozstrzyga los bitwy. Tyraliery Algierskie pod komendą pułkownika Rose, jak lawina runąwszy z góry, worami piasku i własnem ciałem, zawalają fatalny wyłom. Jeden z ich szeregu, sierżant Mustafa, dla dodania swoim odwagi, pod

najsroższym ogniem stanąwszy na okopie, gra na piszczałce pieśni narodowe. W mgnieniu oka fatalne opłotki wypełniają się aż po brzegi trupami — znika wąwoz — a moskale przestawszy łamać zaporę co chwila powiększaną trupami — cofnęli się do północnéj fortecy zostawiając Francuzom zwycięstwo, Małachowę, Sebastopol i sławę.

Ten to bohaterski ustęp z francuzkiéj epopei, z historycznymi szczegółami i skrupulatną prawdą, uwiecznił Ivon swym wymownym pędzlem. Wzgórze na którem ta tytaniczna odbywa się bitwa, stopami dotyka błękitnego morza a głowę opiera o brunatne mury warowni. Pole walki wolne od zadymienia które wojennym malarzom zwykło połowę roboty oszczędzać — zarówno pod względem kompozycyi jak dokładności znakomite, może, co rzadko bywa, zadowolnić i żołnierza i artystę; pierwszy znajdzie tu znane twarze, znany szyk, porachuje ludzi i guziki — drugiemu, te pozy, gesta i ruchy, twarze tych żołnierzy spiekłe od słońca, ochładzane znojem, rozjaśniane połyskami mieczów, w pamięci utkwią na zawsze!

Akademiccy sędziowie przyznali temu obrazowi medal wartości 4,000 franków, przeznaczony Artyście który się odznaczy dziełem *d'un mérite éclatant*.

Sceny z wojny Krymskiéj znać najwięcéj zajmowały przez ubiegłe dwa lata francuzkich artystów; liczba ich jest przeważna w tegorocznym Salonie: każda prawie ściana posiada kilka obrazów bitew lub wojennych epizodów z przed ostatniéj kampanii.

Prócz opisanego obrazu Ivon dał drugi, przedstawiający mniéj ważną rozprawę w okopach Małachowy. Tak w tym jak w poprzednim obrazie Ivona wszystkie osoby są historyczne; lista umieszczona u spodu, wedle raportów wymienia nazwiska pułków i odznaczających się w walce ludzi.

Z główniejszych płócien wojennych uderzyły mnie: *Wylądowanie w Krymie Armii Francuzkiéj*, Barrias'a; dwie *Potyczki pod Kanghil* pp. Beaucé i Couverchel'a; pierwszego, *Jenerał Canrobert oglądający szańce Rosyjskie pod Sebastopolem*; Scena w okopie Sebastopolskim Bellangégo; tegoż epizod ze zdobycia Małachowéj; rozległy widok obozu pod Bałakławą, itd. itd. itd.

Żaden jednak z tych widoków nie może się równać z wyżéj opisaną bitwą Ivona. Po niéj, w honorowym Salonie którego jest ozdobą, mógłem już tylko patrzyć na obraz Benouvilla przedstawiający Joannę D'Arc. Głowa moja zmęczona widokiem srogiéj zawieruchy, jak słonecznik do słońca obracała się do tego obrazu.— Tylekroć razy malowana Dziewica Orleańska, zdaniem mojem w panu Benouville znalazła pierwszego godnego siebie malarza. Jest w tym obrazie coś nadzwyczajnego, choć układ nader prosty:

Wśród pola, na kamiennym złomie, jak sybilla na trójnogu, siedzi Joanna, sama jedna; wrzeciono wypadło jéj z ręki, włos się najeżył... oczy jakiś przestrach duchowy nad miarę otwiera — wszystkie rysy połamane tajemnem przerażeniem.... zdaje się miotana trwogą niezmierną którą budzi w człowieku nadzwyczajne zjawisko. Dziewica słyszy „głosy"... a zimny oddech mówiących duchów śmiertelnym przejmuje ją dreszczem. Czarne chmury wichrem nad głową jéj pędzone, jak mętne potoki odbijają wewnętrzne wizye pasterki. Anioł utworzony z obłoku, trzyma nad nią miecz — drugi chełm — trzeci zbroję.... w głębi widać płomienie podpalonéj przez Anglików wioski: Głos tylko przez nią słyszany woła z burzliwego nieba, powtarzając owe słowa które badana późniéj *czarownica* niewiernym powtarzała kapłanom: „Joanno dziewico, córko Boża, idź do Francyi, idź do Francyi. Spiesz się, spiesz!".

W chwili natchnienia, prorocze jasnowidzenie, zda się odemknęło zasłonę przeszłości przed pasterką z Domremy; z oczu jéj czytasz, że widzi walkę, widzi zwycięztwo, sakrę Reimską — i stos Rueński. Ofiarę z życia złożyła, ale ciało opiera się duszy, i ziemski przestrach mąci entuziazm na Archanielskiem jéj obliczu.

Jaki artystyczny chirurg, znalazłby pewnie mnóstwo wad w ciele tego obrazu — ale poeta przed nim uklęknie — bo ma niepokalaną duszę. Pod względem idealnym jest on pewnie najwyższym z wystawionych: uderza jak rewelacya, podnosi ducha do wysokości téj wielkiéj ofiary — daje pojąć czem była Orleańska Dziewica. — Wbrew przyjętemu zwyczajowi, artysta nie dał Joannie owéj fizyonomii owczéj, którą malarze poniewierali tę gwiazdę dziejów Francyi do tego stopnia, że się już nań spojrzeć niechce; tu z rysów Joanny wyziera niewinność, ale niewinność zbrojna, bohatyrska, potężna, taka, że można przed nią paść na kolana i zawołać z głębi duszy: Boska rycerko, ratuj!!

V.

Jest dwa rodzaje wielkich malarzy. Jedni z wysoka, spokojnie zapatrują się na dzieje ludzkości i oddają pędzlem syntezę historyi — drudzy żyją, działają, cierpią ze społecznością, i są jéj uczuć idealnem zwierciadłem. Pierwsi myślą i tworzą w cichości, zdaleka od ludzi; Muza ich jest tajemniczą Egeryą — przedmiotem kontemplacyi Bóg i na jego podobieństwo stworzony człowiek. Ale ponieważ żaden śmiertelnik widziany z bli-

ska, nie jest doskonały, ci kochankowie doskonałości ilekroć ludzi malować mają, potrzebują przedzielić się od swych wzorów długą anfiladą wieków; w téj dopiero perspektywie dojrzaną legiendę chwytają, przenoszą na płótno, i tu ją unieśmiertelniają.

Do rzędu takich malarzy należy Ingres.

Drudzy, czynni członkowie swego narodu, obłóczą w ciało wielkie myśli jawiące się w ich świecie; malują bohaterskie nieszczęścia lub wzniosłe tryumfy — to, co boleśnie lub radośnie uderzyło serca milionów. Oni to pocieszają zwyciężonych, stawiają pomniki męczennikom — pierwszym dodają odwagi do jutrzejszéj walki, drugim szukają i znajdują mścicieli.

Takim malarzem jest Delacroix.

Lat temu trzydzieści kiedy Grecya walczyła o swoją niepodległość, kiedy wielkie duchy przodków pokutujące w tym kraju, natchnęły Byronowi *Giaura* — tę apoteozę wolności którą głową przypieczętował — kiedy Mickiewicz tymże duchem owiany odtworzył dla nas ten szczytny poemat, a Słowacki pisał *Grób Agamemnona* — wtedy Delacloix odmalował *Rzeź w Scio*, a obraz jego zawieszony w Muzeum Luxemburga, świadczy że się niedał wyprzedzić żadnemu ze swych genialnych braci.

Późniéj kiedy słońce lipcowe zaświeciło nad Francyą, kiedy poeci francuzcy śpieweli hymny zwycięzkie, a lud *Marseillezę* i psalmy umarłych — Delacroix stworzył nowe arcydzieło: *Wolność* walczącą na barykadzie na czele paryzkiego ludu.

Późniéj, zawiedziony w nadziejach, wymalował *Łódź Danta* miotaną pożogą na piekielnem jeziorze — bolesne arcydzieło utworzone z goryczy, trwogi i rozpaczy — utopione we łzach i przez szatany szarpane...

Późniéj, malował inne obrazy których pierwszą zaletą jest zawsze kolor, światło, ruch — słowem życie. Szekspir, Goethe, Byron, Walter-Scott i średniowieczne le-

giendy dostarczały coraz to nowych tematów zuchwałemu artyście który zrzucił jarzmo szkoły, i tylko własnego słuchał geniuszu. Nigdy żaden malarz nie oddał silniéj, gwałtowniéj, niepokojów i aspiracyi swojéj epoki; Delacroix podzielał wszystkie jéj pragnienia, wszystkie zachwyty i rozpacze — duch XIX wieku wcielił się w niego, i dotąd w nim żyje. W najmniejszym z jego obrazów znajdziesz odbłysk tego płomienia który nas kiedyś palił... dziś, niestety zgasły u wielu, a u niego zawsze płonący, doczekał się zwycięztwa.

Nie mała to pociecha dożyć uznania potężnych a dumnych mistrzów, którzy nigdy koncesyami nie wyłudzali poklasków tłumu, i gardząc przelotną popularnością, uparcie szli ową twardą, górzystą i cierniową drogą otoczoną przepaściami, ale prowadzącą do szczytu na którym prawdziwa promienieje chwała. Takie mezkie organizacye w każdym zawodzie szybko tworzą sobie spółczesną potomność. Z razu składa się ona z kilku uczni i małego grona wybranych — z czasem zagarnia całą publiczność. Mistrz głuchy na krzyki krytyków a tylko własnych słuchający natchnień zwykle przed skonem swój tryumf ogląda.

Takie było życie Eugeniusza Delacroix. Przez dwadzieścia lat brzmiał w koło niego chór obelg, sarkazmów, przycinków — dokuczliwy hałas gwałtownych dyskussyi — on mimo to, szedł sobie swoją drogą — a kiedy kurzawa walki opadła, ów szaleniec zapamiętały ukazał się opromieniony aureolą nieśmiertelnéj sławy.

Jednolitość najwięcéj uderza w dziełach Delacroix; nosi on w sobie kompletny mikrokosm: ma swoje niebo i ziemię dla drzew swoich — osoby do tła dobrane — draperye dla figur swoich — konie dla swoich jeźdźców— bronie dla wojowników— morza dla okrętów— architekturę zastosowaną do wewnętrznych obrazów. — Twórczość jego nie zależy od kreacyi zewnętrznéj; bie-

rze on z niéj co mu trzeba, ale nic nie kopijuje. Ztąd owa harmonia któréj tajemnicy zrazu trudno dociec, a któréj daremnie szukają jego naśladowcy.

Sprobuj wyjąć jaką figurę z obrazu Delacroix, i w inne zamknąć ją okolenie: natychmiast wyda się dziwna, nie podobna — bo została wyrwaną ze swojéj właściwéj atmosfery bez któréj żyć nie może.

Uwielbiany koloryt Delacroix też same ma warunki: nie zaleca się czystością ponsu, zieleni, szafiru, ani żadnéj farby, — ale doborową gammą odcieni które się wspierają i podnoszą wzajemnie; te świetne kolory nie są piękne same przez się — blask ich wynika z ich sharmonizowania i kontrastu; zgaś jeden sztrych — a harmonia przepadnie, tak jak runie sklepienie skoro zeń główny kamień wysuniesz.

Prócz sztuki kolorytu, Delacroix posiada drugi ogromny przymiot: dar oddawania ruchu. Osoby jego biegają, gestykulują, skaczą — ramy ledwie je powstrzymują; nad konturem tych figur faluje ciągle linia światła, jakby drżenie wibrującéj atmosfery — żadnéj z nich stała linia do dna nie przytwierdza — zda się że każda z tych postaci mogła by się odwrócić — żadna z nich niedba czy ładna czy brzydka — każda, jak dobry aktor, jedynie swoją rolą zajęta.

Jedną z wielkich zasług Delacroix stanowi także sposób dramatyczny w jaki pojmuje malarstwo religijne. Nie ubliżając świętości, mięsza doń ludzkie żywioły; odstępując od maniery byzantyńskiéj, nie przestaje być poważny — tak umie złagodzić w porę zbyt krzyczące dla świętego przedmiotu kolory.

Ażeby należycie ocenić talent Delacroix trzeba widzieć jego roboty muralne — roboty które wykonał w Ratuszu, po kościołach lub w ogromnych ramach galeryowych obrazów. W salonie zawsze mu za ciasno. Tego roku trudniéj niż kiedy poznać go w ośmiu małych

szkicach które dał na Wystawę. *Wejście na Kalwaryą* jest tylko mikroskopicznem cieniem kompozycyi która ma być wykonana w kościele Świętego Sulpicyusza; *Chrystus złożony w grobie,* ledwie daje pojęcie o wielkim fresku tego układu; *Święty Sebastyan* także do kościoła przeznaczony, do Salonu przyszedł w kameowych rozmiarach.

Prócz tych trzech obrazów świętych jest *Owidiusz wygnany* u Scytów; *Herminija* i *Pasterze* (ustęp z Jerozolimy Wyzwolonéj Tassa, pieśń VII); *Rebeka porwana przez Templaryusza* (Scena z *Ivanhoe* Walter-Scotta); *Hamlet* i *Brzegi rzeki Sebou.* We wszystkich prawie tych obrazach Delacroix znika.

Jak powiedziałem, dramatyczny jego rysunek potrzebuje szerokiego pola; ciasne ramy ciężą na figurach jego jak kamienne belki na kariatydach; żenowane w ruchach, nie mogące się swobodnie wyciągnąć — kręcą się, łamią jak na mękach, i wymykają wszelkiéj analizie. Pomijam więc *Chrystusa na Kalwaryi, Sebastyana, Herminią, Rebekę, Hamleta, Brzegi Sebu* i dopiero przy dwóch ostatnich obrazkach się zatrzymuję.

Chrystus złożony w grobie, czyni wrażenie. Po schodach wiodących do pieczary, czteréj uczniowie schodzą niosąc ciało Ukrzyżowanego, które w ręku ich opada bezwładnie jako rzecz martwa. Święta niewiasta idzie naprzód i odwraca się z troskliwym niepokojem, jakby chciała ostrzegać niosących o każdem zepsutem schodzie. Za ciałem piąty uczeń niesie aromata; w głębi widać jakby cień Maryi mdlejącéj pomiędzy dwoma apostołami na skraju światła wpadającego przez drzwi sklepione. Smutek, przenikliwy jak wilgotne powietrze groty, zalewa ten mały obrazek oświecony czerwonym odbłyskiem pochodni i odległym promieniem światła dziennego. Jestto *nocturno* kolorysty, które łatwo możnaby wyrazić muzyką.

Roztoczone na kilkonasto-łokciowym murze małe płótno przedstawiające *Owidyusza na wygnaniu*, utworzyłoby fresk śliczny. Tak nawet jak jest widoczek ten podobać się może, gdyż z poza niego przeziera obraz. Owidiusz, zniewieściały poeta *Miłości*, w znużonéj pozie, tęskny leży na murawie; Scyta na klęczkach podaje mu owoce; człowiek ten innéj rasy widocznie zachwyca dzikiego jak zjawisko. Dwie kobiety stoją opodal jedna wlepiła oczy w nieznajomego — druga doi klacz gniadą, chcąc jéj mlekiem uraczyć przybysza. Inni przechodzący patrzą na niego ciekawie. Znać że szanują wygnańca przybyłego z Rzymu — z owego Rzymu dalekiego a jasnego jak słońce. Dziki peizaż służy za tło téj scenie; drzewa, łąka, jezioro, wszystko tu jeszcze tchnie chaosem, jakby wczoraj wieczorem stworzone.

Oto wszystko co można powiedzieć dobrego o wystawionych ośmiu szkicach Delacroix. Wyznaję iż wolałbym żeby był niewchodził do Salonu w negliżu — bo podobne zaniedbanie może nie jednemu przybyszowi dać mylne o nim pojęcie. Ale, na szczęście szereg obrazów wystawionych na Expozycyi Powszechnéj 1855, tak wysoko talent jego postawił, a piękność ich tak obecna jeszcze pamięci tysiąców co je oglądali — że długo jeszcze sam urok tego imienia próżne nawet ramy wypełni, i każdy powie że jeżeli Delacroix nie jest tą razą doskonały, to dla tego tylko że nim być niechciał.

VI.

Krytycy poważnymi zwani, posuwając uszanowanie sztuki aż do przesady, w coraz bujniejszym wzroście

potocznego malarstwa, widzą niemylny dowód jego upadku. Zdanie tych pessymistów nie wydaje mi się tak słuszne jak to twierdzą ich chóry, czy stada owiec Panurga, co powtarzają oklepane ogólniki owych znawców, zaczynające się mniéj więcéj z tego tonu: „Przed dwoma wiekami sztuka powiedziała swoje ostatnie słowo. Usiłowania *chaotycznych* umysłów uwieńczone rozczarowaniem, sto razy stwierdziły powyższe aksyoma. Zkąd ta luka w dziejach ludzkości? Leży ona w naturalnym porządku rzeczy — przyczyna jéj następująca“.

Dotąd doszedłszy, poważny obrońca doktryn tradycyonalnych, skrobie się w głowę, i jeżeli nie znalazł nikogo kto by mu ową *przyczynę* powiedział — wykręca się jak może, byle tylko retorycznie dowieść założenia mającego znawstwa jego dowodzić; poczem, ukamienowawszy sofizmatami sztukę nowoczesną, zwykle godzi się z *potocznością*, i zaczyna chwalić to, co dopiero z zasady potępił.

Czasby już porzucić to *requiem* odśpiewywane co dwa lata nad każdą wystawą, żywą, tryskającą rumieńcem zdrowia i młodości. Czasby nie zaczynać chrzcin od pogrzebu — bo doprawdy, te nowo narodzone wcale do grobu się nie kwalifikują.

We wszystkich epokach w których sztuka była zdrowa, silna, natchniona, mniéj okazywano niż teraz pogardy dla malarstwa dziś zwanego *epizodyczném*, *anegdotycznem*, lub *potocznem*. *Loże* Rafaela mogą dostarczyć licznych dowodów na poparcie tego twierdzenia. Czemże jest, naprzykład jego *Noe budujący Arkę*, jeżeli nie obrazem rodzajowym? Akcya tam bardzo prosta— imiona osób składających grupę, nie znane — a jednak przez dokładność formy i myśl ożywczą, obraz dochodzi do znaczenia poetycznego nieskończonéj piękności. Ów człowiek piłujący drzewo, w oczach widza przeobraża się w ludzkość walczącą z żywiołami, i ów widok potoczny

zmienia się w epopeę. Podniosłość tedy sztuki, widocznie nie zależy od przedmiotu. Rzecz prosta że w szesnastym wieku Rafael natchnienia swoje czerpał w Biblii i historyi świętéj; gdyby był żył jak my, w drugiéj połowie dziewietnastego wieku, był by pewnie jak dzisiejsi artyści malował naturę, obyczaje, ludzi, ich cnoty i zbrodnie — słowem, to, co teraz świat zajmuje, jest mu wzorem lub przestrogą. Czyż wzorów cnoty koniecznie trzeba szukać w książkach, lub legiendach? Dzięki Bogu, częściéj napotkać je można w życiu niż w kłamanych wedle czyjegoś interesu kartach historyi — i dla tego to, owe z życia wyjęte sceny pogardliwie *potocznemi* zwane, nieraz wyższe zawierają myśli niż owe wysławiane.

Jakiż obraz historyczny może natchnąć czystsze podniety jak obrazek Knausa przedstawiający *Złote Wesele*. Jakiż obrządek wyższy jest od tego Jubileuszu dochowanéj wiary? jakie świadectwo nieomylniejszym dowodem zacności człowieka nad tę przysięgę miłości powtórzoną w pięćdziesiąt lat po ślubie.

Tę solenną w dziejach rodziny chwilę, zda się przez pryzmat też widzianą, uchwycił niemiecki artysta, i odmalował tak, jak się w sercu odbiła. To wystarcza ażeby wiedzieć że obrazek jest wyborny, bez żadnéj skazy — tchnący czuciem i prawdą, równie dobrze narysowany jak pomyślany. Tło jego stanowi jedną z owych zielonych ustroni wiejskich, wywatowanych mchem, wysłanych murawą jak aksamitem — z rzadka zasianych drzewami o niebotycznych gałęziach, co poruszane wiatrem, jak wachlarze ogród chłodzą. Ściana chaty horyzont tego świata kończy; w głębi, pomiędzy kląbem starych lip pachnących, sterczy wieżyczka drewnianego kościoła.

Wesele, jak to zwykle na wsi bywa, otoczone zgrają dzieci, zebrało się przed domem; u stóp najgrubszego

drzewa na pniu chropowatym, zasiadł skrzypek z basetlistą. Państwo młodzi siwi jak para gołębi, poważnie otwierają bal wiejski pod ruchomym dachem zielonych gałęzi. Wiejska kapela wybija takt siedemdziesiąt letniéj parze, która obawiając się żeby nogi nie odmówiły posłuszeństwa, z pewną obawą do walca się zabiera. Pan młody zawiędły starzec ze szlachetnem obliczem, trzyma się prosto jak trzcina; ona, rumiana babula z mirtem na głowie, w pracowitem życiu zakonserwowała się jak wiśnia w spirytusie.

Śmiejące twarze otaczają tańczących i ścigają ich oczyma: każda głowa ma właściwy wyraz, odrębny charakter — każda inaczéj patrzy na tenże sam przedmiot, chociaż wszyscy zarówno nim zajęci: stary bakałarz ujrzawszy w tańcu sędziwych małżonków, widocznie zapomniał oraki, i stanął jak wryty; stary kmotr nalaną szlankę u ust zatrzymuje — młoda matka rumiana, odwraca modre oczy od wiszącego u piersi niemowlęcia i patrzy zaciekawiona jak się też starym taniec powiedzie; młodzieniec wysmukłych kształtów, jak topola Epiru, górując głową nad tłumem, zda się promieniami jasnego oka podpierać staruszków — cały zajęty nimi, roztargnioną ręką wstrzymuje na swem ramieniu zawieszoną dziewczynę co niecierpliwie wydziera się do tańca.— Dzieci wszędzie jak maku — a każde z właściwem sobie gestem, wyrazem i figurą dostarcza przedmiotu do godzinnéj kontemplacyi. Wszystko to może być oglądane przez mikroskop, tak jest wykończone, i delikatne, choć nie słabowite. Nikt by tu nie wynalazł jednéj wady w rysunku, jednéj dysharmonii w gamie kolorów — ja przynajmniéj nic nie znalazłem, i admiracyi mojéj nie taję.

Pan Knaus z Wiesbaden, uczeń szkoły Flamandzkiéj, wyższy jest od niéj, jeżeli nie jako wykonawca, to jako poeta. Każda z przedstawionych przez niego figur jest

typem prawdziwym, ale nieco uidealizowanym. Artysta inaczéj prawdy pojmować nie powinien.— Patryarchalny ten obraz jak magnes do siebie przyciąga — docisnąć się dość nie można; sama nawet zazdrość klęka przed doskonałością: nie tylko cudzoziemcy nic równego nie przysłali na wystawę, ale nawet bezstronnie rzec można, między tysiącami francuzkich obrazów, niema żadnego któryby był lepszy od *Złotego Wesela* Knausa.

VII.

Inny jest powab obrazów Heberta. Od tych wieje palące syroko namiętności, i świeci promień włoskiego słońca. Hebert ulubiony malarz młodzieży, dziwnie mówiące umie malować oczy — dziwnie lube rysować postacie..„

Malaria jego, obraz z którego cała zadumana dusza artysty wygląda, jeden z najpiękniejszych w galeryi Luxemburskiej — miała w swoim czasie tak wielkie powodzenie, iż ledwie nie zgubiła swego twórcy: była wielka obawa że Hebert zostanie na wieki „*Autorem Malaryi*“. W Paryżu dość lubią pozbywać się człowieka chwaląc *wyłącznie* jedno jego dzieło. Skutkiem reakcyi która za każdym tryumfem w ślad bieży, obrazy Heberta na późniejszych Wystawach były źle przyjęte; zarzucano im, poniekąd słusznie, brak kolorytu. Artysta zbyt był przejął się manierą z którą Szkoła Ingra na ratunek rysunkowi przybiegła. Konspiracya ta przeciw kolorystom, stworzyła mnóstwo obrazów martwych któ-

rych harmonijność szara, niemal odzwyczaiła oczy od maniery światło-ciemnéj, z któréj Corregio i Rembrandt tak czarujące otrzymywali efekta.

Hebert długo niewolniczo trzymał się przykazań Ingra — przesadzał go nawet — i na jego obrazach wybladłych już można było napisać: „tu leży artysta“, kiedy niespodzianie zmartwychwstał i ukazał nam się znów świeży na Polach Elizejskich.

Dwa obrazy jego wystawione tego roku żywą obudzają sympatyę. Ci nawet którzy zawsze i wszędzie domagają się od artysty *idei*, to jest pewnego rodzaju programu filozoficznego lub mistycznego — będą musieli w brew przyjętéj zasadzie przyznać, że *Cervarolle* są jednem z najznakomitszych obrazów tegorocznego salonu. A jednak nie ma tam przedmiotu: żadnéj historyi, żadnéj powiastki, żadnéj nawet anegdoty — nic skomplikowanego, nic literackiego ani dowcipnego: Włoskie góralki idą do studni po wodę — więcéj nic — i to wystarcza żeby się godzinę przed tem płótnem zatrzymać. Zkąd to pochodzi? Ztądże te postacie ruszają się w czystéj sferze sztuki, jak owe pompejańskie tanecznice na swem tle czarnem. Nikt nie jest mniéj dramatyczny jak Hebert: nigdy on nie przedstawia żadnéj katastrofy, nigdy nie ucieka się do głupiéj sentymentalności która tak silnie ogół porusza — zawsze jeden bierze przedmiot, piękność — i pokazuje się iż tu wystarcza: sztuka malarska nie wymaga więcéj.

Kobiety z Cervara (pasmo gór ciągnące się pomiędzy Rzymem a jeziorem Fucino) przedstawiają oczom prześliczny w typ w półdzikiéj rassy. Po starych zużytych schodach kamiennych, stąpa dziewczyna z mosiężnym dzbanem na głowie: podobna wysmukłéj kolumnie dźwigającéj swój kapitel, ma już powagę niewiasty, choć formy jéj prawie dziecinne. W kraju gdzie w parę dni

kwiat się w owoc zmienia, kobiety dojrzewają prędko. Smutna i majestatyczna powaga gorącego klimatu, w piętnastu latach wypala swoje piętno na twarzach dziewic: płomienne powietrze południa nadaje im niewysłowiony wyraz cierpienia, który znać zawsze, mimo opalenia które im skórę złoci. Niemniéj nie przypomina śmiejącéj, obudzonéj, żwawéj piękności północy, jak ta nadobność mdlejąca — niby martwa.... a jednak ileż tam ognia pod tą marmurową maską! Oczy jak tajemnicze czarne kwiaty otwierają się pod arkadą mocno narysowanéj brwi i chłoną światło; nozdrza z trudnością wciągają płomienne powietrze — wszystko to zatajone— usta tylko do których purpurowe życie uciekło, zdradzają tlejący wewnątrz pożar...

Hebert celuje w oddawaniu włoskich twarzy w których życie zda się uśpione skutkiem zbytku czucia; lepiéj niż ktokolwiek umie on wyrażać tę melancholią gorąca, ten spleen słońca, ten smutek sfinksa, który tyle wyrazu nadaje południowym głowom. Formę ciała dziewczyny odgadnąć można pod fałdami wązkiéj spódnicy spadającéj jak draperya Fidyasza — piersi oddychają swobodnie pod fioletową sznurówką z pod któréj spada biały fartuszek.

Obok niéj, trochę wyżéj, stoi główna figura obrazu, mała dziewczynka po mistrzowsku odmalowana. Jestto produkt tejże energicznéj rasy — tylko, jeszcze w zielonym pączku. Prosta jak kołek, dzika jak myszka, ledwie osłoniona łachmanami, trzyma w ręku jabłko nagryzione białymi zębami które w otwartych jéj ustach błyszczą jak perły. Wzrok jéj nie ruchomy, niby nie myślący, przypomina wejrzenie dzikiego zwierza w spoczynku. O czem tak duma? Za młoda jeszcze żeby myślała o kochanku — ale kiedyś będzie z niéj śliczna żona bandyty.

Rysunek czysty, kolor trzeźwy, wykonanie nie zdradzające mozołu, choć wyborne — oto zalety materyalne tego obrazu; o moralnéj jego wartości słowa niemogą dać pojęcia: któż opisze zawarte w nim czucie — tę tak zwaną po włosku vaghezza, która go zalewa, cały powab téj ślicznéj malatury w któréj *potoczność* historycznéj wielkości dosięga.

Rosa Nera obrazek mniejszych rozmiarów tegoż mistrza, także włoszki u studni przedstawia. Zgromadzenie niewieście ugrupowane artystycznie, odgrywa scenę podobną téj którą Goethe w Fauście napomyka. *Rosa Nera* prześliczna brunetka, po stracie kochanka pogrążona w boleści, jak Małgorzata, zamiast spółczucia, od towarzyszek obelg doznaje. Gdzie zwróci oko rozpaczą w czarny ścięte dyament, wszędzie napotyka uśmiechy i skośne spojrzenia: jedna na swym dzbanie oparta, wlepia w opuszczoną żmijowy wzrok tryumfującéj rywalki — druga, w czerwonych pończochach, znać potentatka, przygniata ją uśmiechem pogardy — inne zdają się śledzić ciekawie, jak głęboko to serce pękło? Dwie baby pod murem siedzące, jak owe niemki u studni, komunikują sobie pod sekretem tę wiadomość, że Rosa jé i pije za dwoje. Dumna postawa Nery paraliżuje złe języki; przepyszna poza nadaje jéj ubogim szatom wspaniałość królewskiéj purpury. Cały ten obrazek pełen namiętności skrytych, skrzy się jak zarzewie lekko popiołem przysypane — i wybornie odbija na zimno wilgotnem tle studni.

VIII.

Przed piętnastu laty utworzyła się w Paryżu szkoła grecko-francuzka, która uderzona starożytną pięknością Herkulańskich i Pompejańskich wykopalisk, ukochała ideał Helleński. Naczelnikiem téj szkoły jest Gérôme. Archaiczne dążności okazał już w dawniejszych obrazach swoich jak *Młode Greki*, *Wnętrze Starożytne*, i *Wiek Augusta*, ogromnéj kompozycyi którą admirowano na Wystawie Powszechnéj.

Niektórzy krytycy paryzcy powstają na to bałwochwalstwo Gérôma; mówią że za ideał wziął sobie starożytną urnę. Co do mnie, wyznaję szczerze, że ideał Gérôma bardzo mi się podoba, i daremnie oglądałem się, szukając piękniejszego.

Gérôme posiada dar rzadki którego nie da najsilniejsza praca: dar stylu. Nie szuka on go jak inni, ma go sobie dany od natury; nie potrafiłby nakreślić linii powszedniéj. Formy pod jego ołówkiem rodzą się wybrane i rzadkie; choć nie naśladuje ślepo Etrusków i Eginów, do tych samych efektów co oni dochodzi, dla tego iż też same ukochał piękności. Gérôme jestto Ateńczyk urodzony w Paryżu we dwa tysiące lat póżniéj.

Poznany z trzech swoich obrazów na Wystawie Powszechnéj, tego roku wystawił nową trójcę: *Śmierć Cezara*, *Gladiatory w Cyrku*, i *le Roi Candaule*.

Pierwszy z wymienionych obrazów, dużych rozmiarów, z dala przyciąga swą tajemniczą zgrozą. Choć nakryta, schowana, krew sączy się z tego płótna. Widok to jednak nie przyprawiony wcale wedle mody piątego aktu melodramy; przeciwnie, prosty jak widzenie Greka. W sali kolumnami przedzielonéj, pośród posągów gasnących w wieczornym mroku, obok wywróconego krzesła,

na mozaikowéj posadzce leży uwinięty w togę trup... po białéj draperyi, po ukoronowanem laurami czole, poznajesz że to ten co był Cezarem. Pan świata leży tam gdzie skonał, samotny jak nędzarz. Zabójcy i senatorowie uciekli — nikt nie pomyślał podnosić trupa — wszyscy rozbiegli się głosić straszliwą wieść po mieście. W izbie został trup, zmrok i cisza... tylko ze dworu zdaje się dolatywać szum wezbranego ludu.

Pojęcie téj sceny dowodzi wytrawnego sądu artysty: mniéj dojrzałego uwiodłaby pewnie chęć malowania walki, zgiełku, gestów mordercy i mordowanego — efekt mimo to byłby daleko mniejszy.

Obraz przedstawiający Gladiatorów, nosi tytuł: „*Ave Caesar! morituri te salutant!*“ Tutaj Gérôme miał pole rozwinąć swój talent, pokazać niezwykłą znajomość starożytnego świata. Restauracya cyrku udała mu się wybornie: tyle tu szczegółów, tyle drobiazgów charakterystycznych, zaniedbanych przez historyą i dziś zatartych w pamięci — iż najprzód nasuwa się pytanie przez jakie okienko malarz zajrzał do starożytnego świata? — Zkąd on wie że to tak było? Dopiero długo, długo patrząc, przypominasz, że o tych wszystkich szczegółach wspominały i tobie płasko-rzeźby, medale, szkła, pomniki i poeci których niektóre strofy przychodzą ci do głowy.

Prawy bok wielkiego amfiteatru ogrodzonego czerwoną barierą i zakończony łukiem tryumfalnym przez który wprowadzają żywe, a wyprowadzają umarłe — zajmuje wykwintna loża Cezarów, na frontonie napisano *Vitellius*. W głębi widać jego samego: głowa Cezara w laurach przypomina wielkanocną szynkę, potrójny podbródek przywodzi na myśl półmiski pawich mózgów które codzień połykał; przy nim widać dumne oblicze małżonki; za nimi stoją dworacy. Obok loży Cesarskiéj Westalki w białych draperyach gotowe podnieść palec

dający śmierć lub życie; na schodach podnoszących się w półkole tłum różnobarwny: im wyżéj tem jaskrawszy, im niżéj tem bledszy, u dołu szary. Nad amfiteatrem rozpięto *Velarium*, w dzikie zwierzęta malowaną zasłonę chroniącą głowy widzów od słonecznego żaru.

Idący walczyć Gladiatorowie zatrzymują się pod lożą Cezara i witają go zwykłem pozdrowieniem: „*Morituri te salutant Caesar!*“ Dziwaczne i rozmaite ich uzbrojenie nie mało musiało kosztować poszukiwań; jedni mają na głowach hełmy z przyłbicą otwartą, innych cała twarz żelazną maską zakryta; stalowe *cnemidy* chronią silne ich nogi; szeroki pas bawoli gęsto blachą nabijany, ściska ich w pasie i broni serce jak kirys; na biodra spada krótka tunika wraz z siecią, którą przeciwnik na przeciwnika zarzucał; lewe ramie broni puklerz lekki; w prawéj ręce zakutéj w stalową rękawicę, błyszczy mordercza klinga trójnoża.

Twarze nie zakryte przyłbicą, nie więcéj myślące jak żelazne oblicza ich towarzyszy, tchną dziką rezygnacyą i bestyalską odwagą. Po teatralnych ich pozach, znać że za chlubę sobie mają zasłużyć na oklaski Cezara i zabawiając go, skonać.

Dwóch zabitych Gladiatorów leży w Arenie: jeden jak lew złapany w sieć zdradliwą, nie mógł ujść fatalnego ostrza — drugi musiał się bronić zacięcie, i zyskiwać oklaski, bo padł w klasycznéj pozie dobrze znanéj rzeźbiarzom. — Niewolnik, hak nań jak wędę zarzuca, i ciągnąc za powróz wlecze trupa do *Spolarium*. Dwóch drabów przebranych za Merkurego i Plutusa boga śmierci, jakoby na urągowisko czekają u bramy umarłych ażeby oddać człowieczéj formie pogrzebne honory. Wesoły, brylantowy promień słońca każący wątpić o nadziemskiéj sprawiedliwości — przedarłszy zasłonę pada prosto na poranione okrutnie ciała Gladiatorów.

Obraz ten, a raczéj ta dosłownie przetłumaczona karta Suetona z komentarzami erudycyi, wywiera magiczny urok na Paryżanów, mimo swojéj ogłady i form aksamitnych, chowających w gruncie rzymską miłość okrutnych widowisk, które tak dzikie serca, jak odrętwiałe cywilizacyą nerwy, równie przyjemnie galwanizują.

Król Candaule Gérôma, jest bardzo bliski doskonałości. Trudno policzyć wszystkie jego zalety. Treść obrazu artysta wziął z Herodota. Candaule był królem Lydyi i mężem bardzo ładnéj kobiety; zachwycony jéj pięknością, pewnego dnia, przez próżność, dozwolił powiernikowi swojemu Gygesowi przypatrzyć się ukradkiem królowéj. W chwili kiedy piękna Lydyjka zdejmowała tunikę, Gyges zachwycony nie mógł powstrzymać krzyku podziwienia. Królowa oburzona głupotą swego męża, kazała Gygesowi żeby go zabił — po czem została żoną mordercy.

Zapewne postępek to trochę niedelikatny, ale trudno nie przyznać, że ten głupi król na swój los zasłużył. — Gérôme odmalował scenę podglądania. Candaule leży na łożu z kości słoniowéj i puszy się że ktoś przecie skarby jego ogląda. Królowa zrzuciła ubiór i usłyszawszy krzyk, spostrzegła przyczajonego przy drzwiach Gygesa. Cała ta historya oddana jest z niezwyczajną finezyą.

IX.

Malarz wdzięków niewieścich, Baudry wystawił *Toilette de Venus.* Gotowalnia bóstw mitologicznych nie jest

skomplikowana ani sekretna; to też Venus pana Baudry ubiera się w lesie: nieśmiertelnemu ciału bogini miłości, żywionemu ambrozyą, pojonemu nektarem, wiecznie świecącemu białością marmuru — nie potrzeba ani różu, ani bielidła, ani cold-cream, ani ryżowéj mąki, ani perłowego pudru, ani antinoniny, ani starożytnéj oliwy, ani octu Bully, ani lawendowéj esencyi, ani fiołkowéj pomady, ani kościanych i bukszpanowych grzebieni — ani wszystkich tych złotych, stalowych i żelaznych sprzętów, słoików, słoiczków i butelek, które gotowalnią ładnéj paryżanki czynią podobną do aptekarskiéj szafki, lub chirurgicznéj szkatułki. Czysta krynica zastąpi Wenerze wszystkie te pięknidła, a słońce jednem gorącem wejrzeniem pozostałe na białych jéj ramionach krople wysuszy.

Tak sądzi pan Baudry. Bogini jego wyszedłszy ze strumienia, niedbałą ręką skręca włosy co „czaszce ciężą swą jedwabną wagą". Miłość trzyma przed nią stalowe zwierciadło — ona nawet w nie niepatrzy, tak pewna swojej piękności. Obok, w otwartem pudełku, leżą złote dyademy, naszyjniki i bransolety; czy je włoży? zapewne nie — bo żaden klejnot nie wart miejsca któreby zasłonił. Wie ona że nie znajdzie bogatszéj ozdoby jak prześliczny kontur swéj boskiéj formy pieszczony przez osuwającą się draperyą. W jakimże jeżeli nie w tym stroju otrzymała na górze Ida jabłko piękności?

Pan Baudry dał swéj Wenerze wielkość pół-naturalną, którą prawie zawsze używał Poussin, jako najłatwiéj dającą się objąć oku; twarz bogini kreśli profil na pół zgubiony, bardzo czysty i delikatny, łączący w sobie finezyą odrodzenia ze starożytną poprawnością. Sposób malowania pana Baudry wysoko wyszukany, zwykłego oka nie wabi — ale znawcy delektują się nad nim, i każdy jego obrazek pokazują sobie kiwając głowami, jak smakosze najlepszy kąsek rzadkiéj potrawy.

Pośród powszechnéj miękkości, siła obrazów Mazerollego podwójnie uderza. Jego *Neron próbujący truciznę na niewolniku*, zwraca oczy jeszcze na schodach będącego przychodnia. Scena odbywa się w podziemiach. Trzy osoby składają gruppę: niewolnik, monarcha i jego nadworna trucicielka Locusta. Niewolnik przykuty za nogi, leży na podłodze — zadana trucizna z szybkością płomienia ogarnia cały jego organizm: z oczyma zaszłemi krwią, ze spienionemi usty, zwichniętemi bolem stawami, nieszczęsny tacza się po wilgotnych kamieniach. W téj postawie malarz z anatomiczną prawdą oddał straszny paroxyzm wścieklizny.

Neron siedzi przy konającym, i nachylony nad nim, okiem znawcy śledzi wszystkie jego ruchy. Szkoda tylko że rzeźnicza powierzchowność monarchy nie zgadza się wcale z historycznym portretem rzymskiego okrutnika. Neron nie miał ani tych atletycznych kształtów, ani tego srogiego wyrazu — nie nosił nigdy tak niegustownéj draperyi która zdaje się gdzieś w rzezalni ufarbowana. Byłto młodzieniec jasno-włosy, krótko-widzący, nerwowy — trochę otyły, na cienkich nogach i nie pewnego chodu. Wizerunek jego odmalowany przez dziejopisów, przypomina bardzo tegoczesnych elegantów: miał ich ruchy, bezczelność, gusta sportmańskie, miłość kulisy — wszystko, nawet lornetkę. Tylko że jego lornetka był to ogromny rubin, przez który w podróży lubił oglądać peisaże.

Locusta zato trafnie oddana, przedstawia typ czarownicy czystéj rasy; twarz jéj jak trupia czaszka, patrzy wygasłemi oczyma bez najmniejszego wzruszenia na tarzającego się w mękach człowieka.

Jako antiteza tego srogiego widoku, przyjemnie uderzył mnie niedaleko zawieszony obraz pani Browne. Pod niebytność Rosy Bonheur która tego roku nic nie dała na wystawę — pani Browne sztandar sztuki nie-

wieściéj dźwiga. Prócz kilku dobrych portretów, nieznana ta malarka wystawiła piękny obrazek żeńskiego pomysłu a męzkiego wykonania. Przedstawia Siostrę Miłosierdzia trzymającą na kolanach uwinięte w kołdry chore dziecię; druga zakonnica na drugim planie, przygotowuje cierpiącéj siostrze lekarstwo. Scena ta jest z przedziwnem czuciem oddana: twarz zakonnicy trzymającéj dziecko wyraża anielską troskliwość; znać że chrześciańskie miłosierdzie dało jéj poznać wszystkie cierpienia i radości macierzyństwa.

Müller, znany twórca *Appelu pod gilotynę*, wystawił *Wygnanie Irlandek katolickich w r. 1655.* Następujący ustęp z dzieła pana de Beaumont „*Irlandya*“, dał malarzowi kanwę obrazu. „Chodziło o to żeby w Irlandyi protestanci zajęli miejsce katolików. Postanowiono tedy skazać ich na wygnanie. Bogaci wynosili się sami — ale trudno było zmusić do emigracyi ubogich. Ponieważ dobrowolnie nie opuszczali swych sadyb, poczęto rugować ich gwałtem. Pewnego dnia wywieziono naraz tysiąc dziewczyn irlandzkich. Porwano je z rąk matek, zawieziono do Jamaiki i tam sprzedano jak niewolnice.“ Obraz Müllera przedstawia grupę dziewic nad morzem około łodzi która ma je wieść na wygnanie. Są tu ładne twarze i piękne pozy — ale całość powszednia, a obraz obstalunkiem trąci.

Curzon malarz zakochany w Italii, dał pomiędzy innymi śliczny obrazek przedstawiający *Kobiety z Mola di Gaëte*, zajęte robotą domową. Wnętrze izby gdzie siedzą Włoszki, wesoły i malowniczy przedstawia widok: ściany wybielone wapnem pokrywa poetycznymi sploty bluszcz zielony; na stole leży tamburyno, gitara i kobza; na pierwszem miejscu zawieszona *Madona* uśmiecha się do tego szczęśliwego zakątka.

We środku pokoju stoi mała dziewczynka w koszulce, i na tłuściuchnych rączkach trzyma wyciągnięty motek

czerwonéj wełny, którą starsza jéj siostra siedząc na ławce, zwija. Szesnastoletnia dziewczyna ma włosy rude, owego odcienia tak cenionego na Wschodzie, co różowy w cieniu, w świetle jaśnieje jak złoto i harmonijnie stapia się z białością ciała. Profil ukoronowany tą rumiano-złotą czuprynką, czysty i delikatny, wydaje się wycięty z mlecznéj żyły agatu.

Ubiór panienki niezmiernie jest wytworny. Spodniczka z różowego jedwabiu, pali się jak świeżo rozkwitła centifolia; gorsecik z ponsowego aksamitu bramowany złotą lamówką, ściska jéj subtelne kształty, a jasne kokardki odkrywają białe ręce schowane w przeźroczystym rękawie.

Młoda kobieta haftująca na krosienkach, niemniéj pięknie ubrana. Mnogie rzędy korali zdobią jéj posągową szyję; bogaty spencer z purpurowego aksamitu, podobny do tureckiego dolmana, roztwiera się z przodu, i odsłania niebieski aksamitny złotem haftowany napierśnik. Błękitna, suto haftowana spódnica z czerwonym lampasem, spada na prześliczne nogi bose, których końce widać leżące na drewnianéj ławeczce. Hafciarka przerywa robotę, i patrzy na małą córeczkę w koszulce która już staje się w domu użyteczną.

Dla dopełnienia rodziny, artysta odmalował też babkę; jestto imponującéj piękności matrona: fijołkową chustką odziana, stoi koło wnucząt i poważnie przędzie nić na wrzecionie.

Żaden mężczyzna nie oszpeca swą przytomnością téj ślicznéj sceny rodzinnéj, pełnéj czarujących kobiet, ptaszków, kwiatów, eleganckich rupieci i walających się po podłodze sandrylionskich trzewiczków...

Do rzędu tegoż rodzaju obrazów należy *Zraniony Amor* pana Bouguereau. Przeniesiony na czerwoną glinę ozdobiłby przedziwnie jaką etruską wazę.

Kupidynek ukłóty w nóżkę, nie wiedzieć żądłem pszczoły, czy kolcem róży, przybiega z płaczem do matki. Rana nie jest niebezpieczna — ale kupidynek grymaśny i niecierpliwy jak wszystkie rozpieszczone dzieci — głęboko nią jest dotknięty. Venus przyjmuje go i pociesza z litością w oczach a uśmiechem na ustach — bo choć kocha synka, myśli sobie że jego złote strzałki zadają sto razy boleśniejsze i trudniejsze do wyleczenia rany. Ciałko Amora wijącego się na macierzyńskiem łonie, prześlicznie jest narysowane. Venus pozbawiona swéj marmurowéj oziębłości typowéj, ma wiele wdzięku. Złośliwy uśmieszek podnosi końce jéj ustek i wygniata dwa dołeczki w jagodach. Bogini jest tu zarazem kobietą — co wcale nie ubliża jéj wdziękom.

Amor na wizycie, Hamona, mistrza fraszek greckich, zatrzymuje i śmiać się każe. Amor, jak wiadomo, nie dumny, stuka różowym paluszkiem do spruchniałych drzwi staréj chaty. Drzwi zapewne zaraz się otworzą, bo z po za nich przez wyłamaną deskę, wyziera świeża twarzyczka dziewczęcia — a w piętnastu latach zawsze jest się w domu dla miłości. Kij żebraczy i miseczka na któréj leżą miedziaki, są godłem nędzy mieszkającéj w chacie. — Hamon nader bogaty w allegoryczne pomysły, czasem ciemny bywa. Tą razą, prosto myśl swoją wyraził, rozumie ją każdy i odchodzi zachwycony kupidynkiem przyczajonym u drzwi biednéj dziewczyny.

X.

Clesinger, zięć pani Sand, rzeźbiarz z powołania jak rzeźbiarze odrodzenia, chce być także malarzem. Udaje mu się to do pewnego stopnia ale nie zawsze. Tą razą, prócz kilku ładnych posągów, wystawił ogromny obraz przedstawiający Ewę uśpioną na kwiatach pod drzewem pokusy. Ogromne kształty niewieście otoczone pierścieniami niespokojnego węża, dość właściwe dają pojęcie o przedpotopowych kobietach, kochankach olbrzymów biblijnych. Matka ludzkości gigantycznych rozmiarów, przypomina nieco *Noc* Michała Anioła; ale tylko do pasa — głowa i górne części ciała zupełnie chybione.

Wejście Hussytów do koncylium w Bâle, pan Poisat oddał bardzo dramatycznie. We środku izby na podniesieniu, siedzi Papież. Przed nim, kaznodzieja koncylium gestykulując, każe. Ławki ustawione w amfiteatr przepełnia rój biskupów żywo rozprawiających pomiędzy sobą. Promień światła padający z pobliskiego okna oświeca dostojników rzymskiego kościoła.

Hussyci tymczasem wchodzą do sali wielkiemi drzwiami. Na ich czele, jakby Don Quichot herezyi, stąpa ogromna figura zbrojna; za nim w długiéj todze i ciężkim birecie, idzie stary teolog z napęczniałą argumentami głową. Za teologiem cały szereg znaczących ukazuje się twarzy. Niespodziana inwazya czeskich sekciarzy, widocznie obrusza poważne zgromadzenie. Prałaci patrzą na nich z podełba... wyraz niechęci i trwogi wyryty na obliczu każdego — rzekłbyś że słyszą już ów bęben z ludzkiej skóry, co miał prowadzić do boju wojsko Prokopa.

Obraz ten zdradza niepospolitego artystę; pan Poisat ma instynkt i poczucie epoki które stanowią główne zalety malarza historyi.

Religijne obrazy Lazerge'a bardzo są rozsądne i budujące — ale mimo to, miałem wielką ochotę odwrócić je malowidłem do ściany. *Marya odsłaniająca całun Chrystusa*, wylewa nad nim dwie łzy — poprawnie narysowane: twarz jéj powszednia boleścią skrzywiona, nie wyraża nic: rzekłbyś, oklepany frazes pomiędzy dwoma wykrzyknikami. *Zaparcie się świętego Piotra*, scena nocna, nie lepiéj się udała artyście: figury tu chude, światło twarde, cienie grube. Zdaje się że Lazerges wziął dosłownie tytuł odźwiernego, nadany książęciu apostołów. Piotr jego z powszednią twarzą nawet nie na klucznika ale na portiera niebios wygląda.

Malarstwo religijne w ogóle nader smutnie choć licznie było reprezentowane na tegorocznéj wystawie. Sala przeznaczona obrazom świętym, wyłuszczała się nieobecnością talentu i nieobecnością widzów.

Brak natchnienia i brak sympatyi do tego rodzaju obrazów, a obok tego zadziwiająca ich mnogość, dowodzą jasno, że religijne malarstwo jest dziś we Francyi prostą spekulacyą. Mnóstwo podrzędnych malarzy przedstawia przedmioty z pisma świętego, bo jest pewność spieniężenia tego towaru, jeżeli nie w Paryżu, to na prowincyi. Że innéj pobudki w téj pracy niema, znać to aż nadto wyraźnie po wystawionych płodach. Znać, że artyści co malowali te świętości, nieznają wcale pisma świętego, i mało się o nie troszczą. Niektóre z tych płócien mają może pewną artystyczną wartość, ale im zupełnie zbywa na tem co czyni obraz arcydziełem; zbywa im na natchnieniu, na wierze co przenosi góry, a sztuce nadaje namaszczenie poruszające tłumy i zachwycające wiernych.

Malarze teraz zakochani w przyrodzie, cudom natury najczystsze swe natchnienia święcą. Peizaże, są dziś chwałą szkoły francuzkiéj; tam istnieje widoczny postęp sztuki — tam ona żyje najpełniej.

Pomiędzy mnóstwem wystawionych krajobrazów, niema jednego któryby nie przemawiał do duszy; każde drzewko, każda łąka, każda rzeczka lub kawałek błękitnego nieba, tak wypieszczony, z tak głębokim oddany wyrazem, że patrząc nań, człek czuje wielkość Stwórcy a małość swoją — czuje, że tam lekarstwo na jego rany — i radby wsiąknąć w ten obraz, ażeby skołataną mrówczemi zabiegami głowę, utulić w téj ciszy i zapomnieć o świecie...

Ogromny krajobraz pana Palizzi przedstawiający Normandzkie pastwisko, do najznakomitszych peizaży został policzony. Ta żyzna niwa zielona, ten horyzont płaski, daleki, ta spokojna, płodna natura, te tłuste ospałe woły — wszystko to prawdziwe, zbyt prawdziwe może. Naga, nie podniesiona niczem prawda, razi tu nieco oko poety, ale trudno winić malarza że nie idealizował, nie pstrzył, nie muskał, kiedy tak, a nie inaczéj jest w istocie. Słusznie powiedział Alfred de Musset:

„*Tout est nu sur la terre hormis l'hypocrisie,*
„*Les tombeaux, les enfants, et les divinités.*“

Palizzi wziął sobie za wzór Pawła Potter, którego nazwano Rafaelem zwierząt. W Paryżu zapewnie niedługo sam ten przydomek otrzyma, bo obraz jego *Traite de Veaux* zyskał najgłośniejsze uznanie, choć zdaniem mojem, są pomiędzy wystawionymi peizażami piękniejsze. Naprzeciwko zaraz, wisi Troyona „*Retour à la ferme*“ który o pierwszeństwo z nim walczy — i podobno wychodzi zwycięzko.

Ostatni promień zachodzącego słońca ślicznie tam złoci wracające do domu trzody. Dwie krowy idące przodem mogą zachwycić rolnika — artyście, drzewa drżące w podmuchu wieczornym, szepcą do ucha wieczorną modlitwę układającéj się do snu natury.

Cztery peizaże Daubignego, wydają się jak okna otwarte na rozległe widoki. *Wschód księżyca* fantastycznością swoją czaruje. Podnoszący się miesiąc jak wielka lampa alabastrowa przyćmiona mgłą, srebrzy trzodę owiec którą pasterz pędzi do zagrody; tu i owdzie na grobli woda błyszczy pod promieniem księżyca; owieczki w gromadkę zbite, idą śpiesznie drogą nad stawem. Staw ten dziki, zarosły zielem, upływający strugą zastawioną upustem — przypomniał mi ów staw litewski, który Adam tak cudnie odmalował w jednéj strofie *Pana Tadeusza:*

„Woda warstami spada, a na każdéj warście
„Połyskują się blasku miesięcznego garście,
„Światło w rowie na drobne drzazgi się roztrąca,
„Chwyta je i w głąb niesie toń uciekająca,
„A z góry znów garściami spada blask miesiąca.
„Myślałbyś że u stawu siedzi Świtezianka,
„Jedną ręką zdrój leje z bezdennego dzbanka,
„A drugą ręką w wodę dla zabawki miota
„Brane z fartuszka garście zaklętego złota.“

Obraz pana Blin „*Po burzy*“, jest arcydziełem. Niema żywéj duszy w tym peizażu, ani człowieka ani zwierzęcia — nic tylko droga wiodąca przez pole — a mimo to, napatrzyć mu się niemożna. Ziemia wstrząśniona burzą, drży jeszcze strachem piorunów, i płacze kroplami wylanego deszczu; kałuże wykopane ściekiem wody, popsuły drogę na nic — koleje wyrżnięte na łokieć — co krok leży kamień grożący kościom podró-

żnego; patrząc na nią, przypomniały mi się nasze polskie drogi i zagadka, którą złośliwe Francuzy wróciwszy z Polski skomponowały na nasze groble i mosty:

Pytanie: „Co znajdujesz w Polsce przebywszy rzekę?“
Odpowiedź: „Most.“ —

Fromantin wróciwszy z Algieryi dokompletował zajmującą książkę swoją pięcioma widokami Wschodu, pomiędzy którymi pierwsze zajmuje miejsce *Brzeg Oazy podczas Sirocco.* Znać w tym widoku wielki talent obserwacyi. — Bellel dał także widoki Wschodu. Armia francuzka otworzyła artystom ogromne pole w tym malowniczym kraju. Dzięki im, niezadługo Europa znać będzie Algieryą jak Szwajcaryą lub Włochy — poznajomi się ze Wschodem i przyswoi go sobie. Francuzcy malarze przeczyniają się nie mało do téj spojni Zachodu ze Wschodem, którą przepowiadali poeci, a którą realizują francuzcy żołnierze klejąc krwią swoją, dwie świata połowy.

W natłoku krajobrazów zwrócił jeszcze uwagę moją obraz Corota. Jestto widok bez dalekiéj perspektywy. Światło słoneczne padając z góry na drzewa, ziemię jakby dukatami zasiewa; na pierwszym planie siedzi oparta o drzewo kobieta i czyta książkę; druga opodal nad brzegiem sadzawki pokrytéj wielkim liściem i srebrnym kwieciem pachnącéj nenufary, ubiera się, zapewne po kąpieli. Jestto widoczek delicyjny.

J'en passe — et des meilleurs, jak powiada Gomez da Silva, ażeby pomówić o obrazach Polaków.

XI.

Nie łatwo było odszukać kilku obrazów które rodacy nasi do tego niezmiernego oceanu malatur dorzucili. Po długich poszukiwaniach odbytych w dwunastu salach, odkryłem wreszcie w dziesiątéj, trzy portrety pędzla Rodakowskiego. Dwa przedstawiają dwie młode kobiety, siostrę i bratowę malarza — trzeci, pana Rogiera Raczyńskiego.

Siostra, w ubiorze panny młodéj, z mirtem na głowie i książką do nabożeństwa w ręku — w koronkowym kwefie i białéj sukni na któréj pięknie odbija seledynowa futrem bramowana aksamitna mantyla — musiała pozować bratu powróciwszy z kościoła. Tak przynajmniéj wywnioskowałem z jéj śmiejącéj i swobodnéj twarzy — i ze śmiałego wyrazu oczu, które powszechnie dopiero po ślubie się podnoszą i ożywiają światłem które twarz siostry malarza opromienia. — Idąca i wracająca od ołtarza kobieta, to dwie zupełnie różne istoty: jedna z nich niewolnica, druga królowa. Ale która?? Różnie o tem mówią prorocy.

„Gdy na dziewczynę zawołają żono,
„Już ją żywcem pogrzebiono"

powiada Mickiewicz. Znać tak było na Litwie przed laty, kiedy pisał *Dziady*. Teraz na świecie wprost odwrotnie się dzieje: panna młoda idzie do ślubu niewolnicą a wraca panią. Czy to lepiéj czy gorzéj? To pytanie drugie. Walter-Scott nasz, Kraszewski w *Historyi Kołka* powiada że to szczęście nasze. — Ktoby chciał wiedzieć dla czego, tego odsyłam po odpowiedź do téj arcy-przedziwnéj powieści — sam zaś, ponieważ

a psychiczno-narodowa kwestya niema nic wspólnego z wystawą — porzucam ją, dodając tylko, ażeby wytłómaczyć się z wniosku — iż swobodna wesołość rozlana na twarzy panny młodéj idącéj za mąż nie za czasów Mickiewicza ale Kraszewskiego — nie na Litwie ale w Galicyi — była mi dowodem iż ją widzę powracającą z kościoła.

Portret bratowéj, jasnéj blondynki któréj profil przypomina nieco królewskie rysy Franciszka Igo — odznacza się świetnością kolorów.

O wykonaniu tych portretów mówić zbyteczna; są one na wysokości poprzednich. Teofil Gautier pisząc w swem sprawozdaniu z 1853, o portrecie matki pana Rodakowskiego, i oddając mu należne pochwały, powiedział że to portret wyborny — ale że zmarszczki łatwiéj malować niż gładkie lica — dla tego, czeka aż malarz młodą kobietę wymaluje ażeby o talencie jego zdanie swe ostatecznie objawić. — Dotąd znakomity krytyk go nie objawił, bo zaledwie rozpoczął swoje tegoroczne sprawozdania — wątpić jednak nie można iż wydany sąd jego będzie dopełnieniem dawnego który Rodakowskiego stawia w rzędzie pierwszych malarzy paryzkich.

Portret Raczyńskiego pomiędzy stami portretów odznacza się dostojnością na którą natura wraz z sztuką się składały. Należy on do arcydzieł Rodakowskiego.

Tło obrazu stanowi komnata. Na firance z purpurowego adamaszku spadającéj w mięsiste fałdy — rysuje się delikatna postać hrabiego. Poza jego prosta: stoi z gołą głową, w zapiętym pod szyję surducie. Chociaż portret jest *de plain pied*, wzrok widza nie roztargniony niczem, prosto na twarz się zwraca — artysta bowiem z Rembrandtowską sztuką przygasił kolory, a światło zapalił tak, żeby jedynym punktem jasnym była głowa. A głowa to nie lada! Czoło Sokratesa z pod którego

Hamletowskie wyziera zadumanie... Nie wiem o czem myślał wzór kiedy go malowano, ale mnie ta twarz blada po któréj rodowa duma się błąka zniechęceniem przyćmiona — ta postać subtelna a siłą ducha silna — przywiodła na pamięć Hrabiego Henryka stojącego na okopie Świętéj Trójcy i przypomniała te jego ostatnie słowa:

„Człowiekiem być nie warto — aniołem nie warto. Pierwszy z Archaniołów po kilku wiekach jak my po kilku latach bytu, uczuł nudę w sercu swojem i zapragnął potężniejszych sił... Trzeba być Bogiem lub nicością.“ . . . .

Nadobny obrazek Kaplińskiego przedstawiający Maryą z Miecznikiem pod lipami — jest miłym wypoczynkiem dla olśnionych kolorami i zmęczonych manieryzmem oczu. Odkrywszy go pośród scen oślepiających ponsem i szafirem, wdzięczny byłem artyście iż nie dając się uwieść ponęcie łatwych efektów, ani powszedniéj chętce malowania podniesionych ku niebu oczu „rozbłąkanéj w żalu“ — tak szczęśliwie się natchnął prawdziwym duchem przedstawionéj sceny: prostotą — i „nad blasków pozory“, przeniósł „widniejsze pióra zniżonéj pokory.“

Dziewiąty rozdział poematu Marya, tak dobrze każdemu z nas znajomy, że go tu opisywać rzecz zbyteczna. Ponieważ jednak plastyka malowidła dokładniejsza być musi od poetycznéj plastyki, opowiem jak ją malarz dokompletował.

Tłem obrazu jest podwórze szlacheckiego dworku, zakończone drewnianą bramą, któréj strukturę Morawski uwiecznił w swéj *Wizycie w sąsiedztwo.* Na pierwszym planie rozłożyste konary lipy zielonym dachem ocieniają dwie pod drzewem siedzące osoby, i złocą je przesianym przez liście promieniem słońca. — Miecznik w polskim stroju siedzi na kamiennéj ławce, i „wzrok

wodzi hardy, pełen niechęci, gniewu, a może i wzgardy". Myśl ojczyzny, myśl rodziny, myśl nieprzyjaciołka sromu, wyraźnie wypisana na twarzy starca wykonanéj ze znakomitym talentem z którym pan Kapliński zwykle staropolskie twarze maluje. — Odwrócony do patrzącego Miecznik lewą rękę trzyma na szabli, a prawem ramieniem dotyka stołu na którym leży rozwarta Ewangelija.

„Przy nim młoda niewiasta nad księgą żywota
„Jak trwożna gołębica pod jasności wrota
„Wzbijała ducha wiary." . . . .

Marya stoi obok miecznika; jedną ręką obejmuje szyję ojca — drugą wskazuje jakiś paragraf pisma świętego. Odzieży jéj malarz nie mógł ślepo zastósować do przykazania poety który powiada: „Ni ją ubiór *udatny* ni ją stroją kwiaty." Kapliński popełnił tę zbrodnię przeciw majestatowi poematu, że Maryą w bardzo *udatny* zamknął staniczek. Zakończony klapkami na wzór ukraińskiej sznórówki, gorsecik ten z czarnego atłasu, prześlicznie smukłą kibić bohaterki odznacza. Piękne jéj ręce przebijają w śnieżnych fałdach białych muślinowych rękawów — krucze włosy nad jasnem czołem gładko zaczesane, spływają w tył do warkocza; czarne oczy długą osłonione rzęsą, zwraca na starca, z wyrazem niewysłowionéj słodyczy, jakby mówiła owe pamiętne słowa:

„Ojcze ja na zbyt długo w miłych myśli kole obłąkałam
się dzisiaj." . . .

Całą ozdobą téj twarzy niewieściéj, świętobliwy spokój; nie jaśnieje ona ani mleczno-poziomkową świeżością, ani skrzącymi powabami młodości — ale piękno-

ścią dziwnych, niepojętych myśli które z innego świata przychodzą...

Powtarzam, niemożna dosyć nacieszyć się tą szczytną prostotą i dosyć być wdzięcznym malarzowi że nam tę śliczną gwiazdę naszéj poezyi zdjął z nieba, i na dłoni położył.

Widziałem także akwarellę Kossaka przedstawiającą *Morsztyna* biorącego do niewoli tatarskiego wodza. Główna figura obrazku, biały koń polskiego wojaka parskający skrami, przepyszny! Idę w zakład że ten arabczyk wyścignąłby wszystkie konie znajdujące się na wystawie. Tatar którego Sarmata wlecze na arkanie, przypomniał mi z postawy Gruszczyńskiego — najpyszniejszy ustęp ze *Snu Salomei*, w którym Słowacki w obrazie zgrozy przeszedł sam siebie.

Prócz powyższego, Kossak wystawił jeszcze drugi obraz przedstawiający *Pochód Kozaków*. Z wielkim żalem moim nie mogłem go odszukać, równie jak innych utworów polskich malarzy których nazwiska widziałem w katalogu.

W tejże sali akwarel, Lanci wystawił czterdzieści illustracyj do dzieł Musseta. Jestto rzecz któréj dosyć napatrzyć się nie mogłem. Winietki przedstawiające rozmaite sceny z poematów — wielkości dłoni, jak barwne motylki, roją się przed oczyma, niosąc na swych skrzydłach wszystkie kolory i brylanty króla francuzkich poetów.

XII.

Szukając piękności nie dziur w obrazach, dałem może zbyt pochlebne pojęcie o tegorocznéj wystawie, ponieważ jednak uprzedziłem na wstępie, że szkic ten nie będzie dyssekcyą, ale prostą przechadzką po artystycznym salonie — mniemam, że jednostronności téj za złe nie weźmiesz — a może nawet wdzięczny mi będziesz iż przesuwając przed twemi oczyma widoki téj czarnoksiężkiej latarni, same piękne pokazałem ci obrazy. Zresztą jeżeli chcesz widzieć odwrotną stronę medalu, jeżeli ganić zapragniesz, weź w rękę pierwszą lepszą paryzką krytykę, a sowicie chęć swoją zaspokoisz.

Sprawozdania tutejsze są surowe, krytycy zgodzili się ostatecznie na ten smutny pewnik, że tak zwane *Wielkie Malarstwo*, to, którego zadaniem przedstawiać religijne i historyczne wypadki, a celem podnosić ludzi — znika coraz bardziej — że jeżeli kataklizm jaki nie wstrząśnie światem, wkrótce sztuka zniknie. Powyższe zdanie jest, wyjąwszy krytyki Gautiego, tłem sprawozdań z tegorocznego salonu i ich niezmienną konkluzyą.

Konkluzya ta byłaby nader smutna, gdyby była prawdziwą — ale powtarzam, na szczęście tak nie jest. W każdym razie, połowa zarzutów czynionych malarzom powinna spaść na społeczność w któréj żyją. Jeżeli rzeczywiście pędzel i dłuto mało się teraz zajmuje reprodukcyą wielkich scen historycznych i religijnych, nie jestże to winą czasu, obyczajów —powszechnego kierunku umysłów które coraz mniéj znajdują przyjemności w kontemplencyi przedmiotów wzniosłych? Czy słuszna jest potępiać skutek a przemilczać o jego przyczynie? tem

bardziéj, że na zarzut *znikczemnienia* zarówno krytykujący jak krytykowani zasługują.

Każdy widok w naturze wyda się piękny lub brzydki, wedle tego jakiem patrzymy nań okiem; wedle stanu kontemplującego ducha, będzie on martwy lub żywy — jasny lub ciemny — pełen, lub próżny. — Toż samo z obrazem. A jakimże wzrokiem patrzą na te obrazy paryzcy krytycy? Niestety — więcéj niż obojętnym — znudzonym. Patrząc na te zimne figury mające sądzić o kolorach, o życiu — czepiające się martwą, wygasłą źrenicą, wiatronogich rumaków Delacroix — zda mi się zawsze że widzę owe skielety które na Farysa z piaszczystéj poglądały kępy — że to owa „karawana, wiatrem z piasku wygrzebana, swe złowrogie szemrze jęki"... i mam ochotę zawołać „trupy z drogi!"

Cóż mogę powiedzieć o dziele sztuki, o tym wyskoku czucia i fantazyi, ludzie zużyci, pisarze od lat trzydziestu pojeni potrójną esencyą paryzkiego życia — którzy stracili nietylko świeżość wyrażeń, ale i ciepło dozwalające poczuć talent lub powołanie. Niech do tego salonu przez nich potępionego i tak prozaicznie exenterowanego, wejdzie jaki młodzieniec z żywą wyobraźnią — a zaręczam że znajdzie, i nie jeden obraz który go zachwyci i wywoła ze świeżéj jego piersi słowa admiracyi od dawna w starym słowniku ś. p. Planszów i Delecluzów zatarte.

Przypuściwszy nawet, że dawniéj ten zarzut był słuszny, to ponawianie go dziś, jest zupełnie niestósowne — bo odrodzenie francuzkiego malarstwa bije w oczy; a że malarze wielkiego niezaniedbują rodzaju, dowodem mnogie prace wykonane po kościołach i pałacach stolicy. Czyż niczem są przepyszne sufity nowego Luwru, dekoracye Ratusza i Luxemburga? — niczem wspaniałe freski w kościołach świętego Filipa, Eustachego, Seweryna i świętéj Klotyldy. Przedstawiając na tych rozlicznych murach

wzniosłe sceny historyi Delaroix, Chasserieu, Lehmann, Couture, Flandrin i Chenavard czyż nie zajmują się wyższem malarstwem? Wiem że rezultat zawsze podlega dyskusyi — ale przynajmniéj faktem jest, że artyści nie zamykają się w poziomem kółku małych kreacyi i tworzą na większe rozmiary. Jakie są te twory, o tem podobno wyrokować zawcześnie: za krótki przedział dzieli od nich krytyków — a sztuce koniecznie potrzebna perspektywa.

Co do mnie, wyznaję, choćbym miał uchodzić za nieuka, że expozycya tegoroczna wydała mi się znakomitą. Prócz że w ogóle przedmioty obrazów były podnioślejsze niż lat ubiegłych — zauważałem że malarze francuzcy mimo inwazyi szkół obcych, zachowali swoją indywidualność, co najlepiéj o talencie ich świadczy. W 1855 na wystawie powszechnéj, szkoła niemiecka, a mianowicie angielska, była celem podziwu publiczności paryzkiéj, i uderzyła nawet wyobraźnią niektórych artystów. Zagorzali zwolennicy świeżo zawartego przymierza dwóch narodów, stawiali nawet szkołę angielską na równi z francuzką. Z czasem zapał wystygł. Jednakowoż, pamiętając apoteozy szkoły brytanicznéj, można się było obawiać że znajdzie naśladowców — że Francuzi dostarczą wystawie wspomnień pp. Millais, Hunt'a i Mulready. Obawa pokazała się płonną. Żaden wpływ obcy nie dał się uczuć. Entuzyazm dla szkoły angielskiéj był widać czysto polityczny — a uwielbienie dla szkoły niemieckiéj przeminęło jak odurzenie od mocnego cygara. Francuzcy artyści nadziwiwszy się angielskim dziwolągom i duchom niemieckim, powrócili do własnych natchnień i własnego gustu, pewniejsi niż przedtem że dobrą idą drogą.

Sprawozdawcy paryzcy nie dość podnieśli ten fakt świadczący o samoistności swéj narodowéj szkoły.

Tak więc, gieniusz francuzki jest dziś przodownikiem

sztuki — a Paryż stał się Rzymem artystycznego świata. Niemoc czy omdlenie które owładnęło w naszych czasach wszystkie pędzlem władające ręce — tutaj niemniéj czuć się daje. Sławni artyści nie mrą bezdzietnie: młoda plejada malarzy, jak młode wianki odrasta co wiosna na odartym przez śmierć drzewie sztuki. Najlepszy to dowód naturalnej jego siły i zdrowia.

Rok 1830 zdetronizował Karola Xgo i szkołę Davida. Młode pokolenie które wkrótce miało nową szkołę utworzyć — zjawiło się i wyrosło pomiędzy 1830 a 1848 rokiem. Ingres, Delacroix, Decamps, Meissonier, Rousseau, Corot, Robert-Fleury, Couture, Müller, Diaz — wszystko to promienie téj jutrzenki która oświecała najpiękniejszą chwilę nowoczesnéj sztuki francuzkiéj. Wszyscy ci mistrze w 1848 roku, stanęli w pełni swego blasku — i odtąd chociaż tworzyli jeszcze dzieła stwierdzające swą sławę — jednakowoż daléj nie poszli. Wystawa powszechna dała im ostatnią sankcyę — wpisała do złotéj księgi wielkich artystów, i odtąd niejako do przeszłości należą.

Na expozycyi 1847 uważne oko mogło dostrzedz rodzące się nowe pokolenie, które rozwija tradycye mistrzów 1830 roku, i daléj pod chorągwią ich maszeruje, dzierżąc w krzepkiéj ręce broń, która już poczynała ciężyć znużonym walką dłoniom.

Salon 1850, zwrócił uwagę na wiele imion nie znanych. Salon 1852 był już maleńkiem odrodzeniem, tyle w nim nowych nazwisk dobijało się o słoneczne miejsce. Salon 1853 nie poszedł daléj — ale nie zdradzał ani znużenia, ani rejterady. Na zdobytym gruncie zastępy sztuki odpoczywały gotując się do nowych podbojów.

W 1855 na wystawie powszechnéj, młodzi malarze ustąpili z drogi mistrzom — zatarli się, że tak powiem, jak żołnierze obok wodzów w dzień bitwy. Ale skoro tylko ci odnieśli zwycięztwo, powodzenie zbudziło szla-

chetne ambicye — młoda armia krokiem podwójnym ruszyła naprzód — a dobiegłszy do salonu 1859, złożyła dowody że zdoła zastąpić mistrzów, skoro czas im pędzel z ręki wytrąci.

Tyle co do malarstwa.

Nie chcąc przedłużać tego i tak może zbyt długiego sprawozdania — pomijam sztychy, litografie i fotografie, a dodam już tylko słów parę o rzeźbie.

Ogólny pogląd na ogród zastawiony posągami, z daleka dość przyjemne czyni wyażenie, chociaż właściwie, niema w nim żadnéj grupy ani statuy *pięknéj*, w prawdziwem znaczeniu tego słowa. Mierność wymuskana— czasem ładna, oto szczyt do którego dzisiejsi rzeźbiarze dochodzą. I nic dziwnego że daléj iść nie mogą.

Rzeźba, sztuka czysto pogańska, w dzisiejszym zasznurowanym świecie pozbawiona oddechu i powietrza, więdnąć i usychać musi. Zkąd ma być posąg, kiedy nie ma wzoru? Kiedy nikt ciała ludzkiego nie widzi — kiedy społeczność zakryta więcéj niż tajemnicza Izyda, zapomniała nawet jak człowiek wygląda. Dzisiejsze najlepsze posągi są tylko kopiją starych — a czemże jest w sztuce kopia z martwego przedmiotu zdjęta: — cieniem cienia.

Surowość naszéj religii i wypływające z niéj pojęcia przyzwoitości, oponują się ciągle przedstawianiu nagości, która jest warunkiem życia sztuki rzeźbiarskiéj. Materyalne środki malarstwa dozwalają pędzlem przedstawić wiele przedmiotów nieprzystępnych dla dłuta: naśladowanie koloru, przezroczystości, i rozciągłości wszystkiego prawie co widzimy, malarz oddać może. Ztąd pochodzi, że nagość mniéj jest w układzie obrazu niż w układzie kamiennéj grupy konieczna; malarz ma różne środki zwrócenia uwagi widza — rzeźbiarz tylko kształt ciała.

To też malarstwo daleko lepiéj nadaje się do odda-

wania przedmiotów chrześciańskich niż jego siostra, a raczéj matka rzeźba. Wiedzą o tem paryzcy rzeźbiarze, i jakkolwiek dobrzy chrześcianie, obierają prawie zawsze przedmioty mitologiczne, ażeby nagość swych figur usprawiedliwić. Ale znowu chrześciańska ich dusza nie ma dość dzikiéj siły do ożywienia tych pogańskich przedmiotów.

Dwie *Safony* i *Zingara* Clessingera, ucznia szkoły romantycznéj, mają najwięcéj życia z wystawionych posągów — ale tó życie febryczne, nie życie zdròwegó organizmu — konwulsyjne rzuty kónających — nie, spokojne ruchy śmiertelnych.

Merkury Mileta, przeznaczòny na ôzdobienie pódwórza Luwru, jest wierną kopiją starożytności i dla tego miłe oku czyni wrażenie: posłaniec Bógów, bożek handlu i wymowy, wystawiony w znanéj, lekkiéj pozie, zaledwie dotykając ziemi, ma ulecieć w powietrze.

Bachus dzieckiem, pana Lescorné, takie dzięki studyowaniu pogańskich wzorów, uszedł pospolitości i do lepszych dzieł się liczy.

W dalszym przeglądzie zwróciły moją uwagę: *Medea mordująca swe dzieci*, p. Prouh; *Mojżesz wyratowany z wody*, Allasseur'a; *Helena i Parys*, Etexa; kolosalna *Andromeda* przykuta do skały, pana Franceschi; grupa: *Bożek Pan pocieszający Psychę*, utwór Berlinczyka, p. Begas; *Omfalia; Śmierć całująca dziewczynę; Zamyślenie* i *Rezygnacya*... Oto podobno wszystko co żywiéj przemawiało do widza w tym ogrodzie Elizejskim.

Były także dwie Wenery: *Złoto-włosa*, pana Arnaud, i *Agresta*, Cléra. Słyszałem chwalących te dwa posągi— mówiono w około że ładne... być może; ale żeby na ich wdziękach poprzestać, nie trzeba znać ideału nieśmiertelnéj piękności — nie trzeba znać *Venus Milo*. Na nieszczęście, czy szczęście, wyobraźnia ciągle mi go rysowała przed oczyma...

Niechaj będzie błogosławiony grecki wieśniak którego motyka odkopała boginią od dwóch tysięcy lat pogrzebaną na zbożowym łanie. Dzięki jemu świat plastyczny odzyskał swoją królowę.

Z jéj pojawieniem się, ileż runęło posągów, ile fałszywych omdlało piękności! Jak w biblijnéj świątyni, wszystkie bałwany padły twarzą na ziemię. Venus Medyceuszów, Venus Kapitolińska, Venus Arleska, wszystkie zbladły i znikły, obok téj *Zwycięzkiéj*.

Bo też oko ludzkie nigdy doskonalszéj nie widziało formy. Włosy jéj niedbale w tył zagarnięte, falują jak bałwany spokojnego morza. Pod niemi czoło rysuje się nie wysokie, nie niskie, ale takie jakiem być powinno siedlisko myśli nieśmiertelnéj. Głęboka brwi arkada, osłania oczy swym cieniem, i oślepia je ową ciemnotą bogów których wejrzenie nie widome zewnętrznemu światu, chłonie w siebie cały blask jego i roztacza go na swą istotę. Linia prosta przedziwnéj piękności, łączy nos z czołem; w pół otwarte usta tchną jednostajnym oddechem nieśmiertelnego życia. Lekki ruch uwydatnia wspaniałą okrągłość brody podniesionéj nieco, jak brzegi greckiego wazonu...

Piękność płynie w téj głowie i rozlewa się na ciało równo, jak blask słońca na płaską powierzchnię. Szyja nie ma łabędziéj wiotkości którą nadają Wenerze profany; wązkie ramiona uwydatniają kształt piersi godnéj jak pierś Heleny „być modelem czary Bogów". Tors określają linie pełne życia: prawe biodro wygięte nachyleniem ciała, przedłuża majestatyczną falistość kibici aż do osuwającéj się draperyi którą podtrzymuje podane naprzód lewe kolano, i roztacza w sute fałdy...

Jakiemiż słowami oddać powagę tego cudnego marmuru? jak wypowiedzieć powab zmięszany z trwogą, który budzi — olbrzymi ideał jaki odsłania oczom śmiertelnika? Venus ta, to nie płocha Cyprisa Anacreonta

i Owidiusza, na cześć któréj rozpustne zabijano wróble. To Venus boska, zwycięzka, zawsze pożądana a nie posiadana nigdy, czysta jak nieśmiertelne piękno które uosabia. To Venus, którą uwielbiał Plato, któréj imie dał Cezar wojskom swojem za hasło pod Pharsalą: *Venus Victrix.*

Kto jéj twórcą? mówią że Paxiteles — ale to fałsz. Paxiteles boginie swoje wedle ciał bachantek modelował — zbrudził niepokalany marmur Fidiasza: Gnidejska Venus jego, zapaliła Grecyą nieczystym ogniem. On nie mógł być jéj twórcą.

Spółczesna Partenonu, Venus Milo, urodziła się jak jego bogi i bohatery: z ideału. Niema atomu ciała w tym szczytnym marmurze.

O! bogini ledwieś chwilę świeciła ludziom w całym splendorze swéj piękności — dziś skaleczona twa postać, jeszcze piękniejsza od najpiękniejszych, odkrywa nam Eden grecki, gdzie pod promieniami pierwszego wschodu słońca, sztukmistrze z łona zimnych marmurów wydobywali bóstwa — gdzie było tysiące bogów — a ani jednego ateusza . . . .

. . . .

Zdziwi cię może ten dagierotyp zdjęty z nieobecnego w pałacu Elizejskim greckiego posągu — ale cóż byś powiedział gdybym opisując wystawę sztuki, o ideale piękna zapómniał?. . .

S. Sygma.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

PSEUDORODZAJE W LITERATURZE.

Wincenty Wilczek i pięciu jego synów.

Od czasu szkoły romantycznéj nastała wyraźna rewolucya w rodzajach literatury. Ten i ów usiłując być oryginalnym, a niemogąc inaczéj tego dopiąć, wynajdywał jaką nową formę dla swojéj nienowéj myśli, i ztądto powstały te liczne rodzaje poematów dramatycznych, romansów dramatyzowanych, liryk dydaktycznych, aż do historyi, ktora zazdroszcząc fantazyi i życia romansowi, znalazła sobie rodzaj niebędący ani historyą, ani romansem.

Ponieważ dawne rodzaje literatury, czy to od Greków i Rzymian wzięte, czy w średnich wiekach powstałe, czy pożyczone ze wschodu, mają swoje nieśmiertelne wzory, a oraz obowiązujące prawidła — nasz wiek silący się aby coś nowego stworzyć, na tem poprzestał

że te rodzaje pomięszał ze sobą, podobnie jak dziecko mięsza powy inane z kartonu drzewa, domki, krówki, góry i wody, i z nich sobie układa widoki, ale tak fantastycznie, iż z dachu wyrasta sosna, na szczycie góry widać morze i pływające okręta, a konie i woły pokazują się w obłokach. Porównanie to zbyt może jaskrawe, oddaje jednakże ten rys umysłowego lenistwa, dostrzegany w niedołęstwie formy dzisiejszych pisarzy. Jakby umyślnie ten i ów obiera sobie rodzaj, mający coś pożyczonego z kilku odrębnych rodzajów, i płodzi dzieło niekształtne, dla tego, że niechciało mu się dobrze przetrawić materyału, że żałował uronić cokolwiek z téj surowizny, jaką nagromadził. Skwapliwość do pisania książek ma w tem wielki udział; a że książka im grubsza tem pokupniejsza, więc autor pakuje w nią co się zmieści, chociażby mozajka ta niczem nietrzymała się ze sobą. Przeciwnie materyał dobrze przetrawiony, przybiera kształt jednolity, objęty w znanych już i uświęconych rodzajach literatury. I tak, jeżeli materyały nadają się do Historyi, powstanie dzieło czysto historyczne; jeżeli należą do codziennych objawów życia towarzyskiego, a przytem rozbudzają poetyczną fantazyę, powstanie poemat lub romans — jeżeli nakoniec katastrofa jakaś znajdzie się co naprowadzi na charaktery pełne i niepospolite, a przytem potrąci o idee interesujące żywotnie dzisiejszą rzeczywistość — powstanie dramat, lub trajedya. — To pewna że surowy materyał kiedy się dobrze strawi i przejdzie w organizm autora, zawsze wyda organicznie rozumne dzieło — jak znowu wszelka surowizna nieprzetrawiona, niestrawne daje wypadki. Jest obowiązkiem najświętszym krytyki upominać się o to u piszących, którzy płodząc bezkarnie przyzwyczajają czytelników do przestawania na tem fuszerstwie sztuki. Spojrzyjmy tylko na sztuki Korzeniowskiego przedstawione na scenie. Znakomity ten z wielu względ-

dów pisarz dramatyczny rzucił się w jakiś rodzaj pośredni co nie jest ani ściśle dramatycznym, ani ściśle powieściowym. W każdéj jego sztuce spotkamy się z jakiemiś ustępami nic a nic niemającemi związku dramatycznego z całością, a tylko przyczepionemi na pajęczéj nitce analogii moralnéj z główną treścią. Lecz i to mniejby wadziło, bo co niepotrzebne, łatwo daje się wyrzucić; wszakże daleko więcéj grzeszy brakiem wewnętrznego organizmu w scenach, które idą po sobie jak coraz inne obrazki zakładane w stereoskopie. Wszędzie panuje przypadkowość, a nie konieczność, ta żelazna konieczność będąca warunkiem utworu dramatycznego. Dla tego wielka część jego sztuk, jest zbiorem obrazków wybornie nieraz zdiętych ze społeczeństwa, a nie głęboko przemyślaną i przetrawioną kompozycyą dramatyczną. Fredro aczkolwiek niema świeżości Korzeniowskiego, bo czasy które przedstawiał straciły dla nas w części swą świeżość, ale zato jakiżto mistrz tak wkreśleniu charakterów i typów, jak niemniéj w tworzeniu organicznéj całości! Wszystkie sceny jak tam obmyślone, jak powiązaue ze sobą loiką konieczności; jak jedna sytuacya wypływa z drugiéj, jak każda rola zmierza do ostatecznego celu, niepozwalając sobie żadnych wyskoków na manowce, które uchodzą w powieści, ale na deskach teatralnych pobudzają widza do największéj niecierpliwości.

Z tego przynajmniéj względu, literatura nasza bynajmniéj nie jest w postępie; czuć w niéj pośpiech, chwilowość, gorączkową chęć produkcyi, a nie wytrawność długotrwałą. Publiczność przyzwyczajona już do czytania wszystkiego co się drukuje, czyta, ale nic prawie nie zatrzymuje w sobie; bo i cóż może zatrzymać, kiedy tylko jedna ciekawość bywa drażniona, a inne władze umysłu i serca niebiorą udziału. Utwory silnego organizmu, mają wyłączny ten przymiot że całkiem opa-

nowują, podbijają czytelnika; ułamkowa klejonka nigdy niezdoła tego dokazać. Ależ zato — nieraz słyszałem to tłumaczenie — ależ zato, dzisiejsi pisarze przynoszą nowe myśli, nowego ducha, nowe studia brane z natury. Nieprzeczę temu, trafiają się te nowości; cóż po tem kiedy ujęte w formy tak wątłe, kiedy taki w nich brak organizmu i harmonii, dwóch wielkich przymiotów twórczości, że się ulatniają jak para.

Rewolucya romantyczna, jak mówiłem, ułatwiła niezmiernie zawód autorski, bo go zwolniła od obowiązków kompozycyi, od pilnowania ścisłego prawideł przywiązanych do różnych rodzajów literatury. Każdy chce być swoim prawodawcą, niesłuchać innéj powagi prócz swojéj własnéj. Niepodległość ta może być bardzo zaletną, ale tylko w pewnym względzie, kiedy jéj towarzyszy rzadki jeniusz, twórczy talent; zresztą niepodległość ta bardzo chwalebna w zdaniach, w zapatrywaniu się na wypadki i ludzi, zastósowywaniu pojęć pewnych do potrzeb społeczeństwa, zgoła w tem, co płynie z nas samych, z głębin ducha, lecz nigdy w tem, co wyłącznie należy do dziedziny sztuki. Pomysłów niebrak wielu ludziom wykształconym i prostym, tak jak im niebrak uczuć najgłębszych i najsilniejszych — a dlaczegoż niewszyscy są i mogą być pisarzami? Oto dlatego, że nieposiadają tajemnicy wydania ich w takim doskonałym kształcie, aby drudzy z przyjemnością i z zapałem mogli się z ich myślami i uczuciami zespolić. A więc jest jakiś tajemniczy dar osobny, bądź z przyrodzenia dany, bądź zdobyty nauką, a najlepszy gdy łącząc jedno i drugie, każdą myśl, uczucie, całość odlewać umie w kształtach tak skończonych, tak harmonijnych, tak wyczerpujących swój obszar wyobrażeń, że nietylko czujemy się zaspokojeni ale tak podbici, tak oczarowani dziełem wysokiego kunsztu, iż zniewoleni jesteśmy przy-

znać, jako ten lub ów pomysł, niemógł znaleść szczęśliwszego wyrazu na ziemi.

Jakżeż od tych wymagań, starych jak świat, dalekim jest dzisiejsze księgoróbstwo, które napisało sobie kodex nadzwyczaj łagodny, wziąwszy za godło: *pro publico bono!* Pod tem to godłem produkować można najnudniejsze i najniestrawniejsze tomy, zawsze pełne intencyi szerzenia zdrowych, moralnych rad; zaszczepiania uczuć i wyobrażeń rodzinnych, słowem powtarzania rzeczy najoklepańszych. Trzeba jeszcze wiedzieć, że ogólna potrzeba książek popularnych, otworzyła szerokie pole gadułom wszelkiego rodzaju do nawodniania naszéj niwy literackiéj; z jakiegokolwiek rodzaju biorą kilka szczegółów, zdań, obrazów, i te rozpuściwszy w morzu słów niepotrzebnych, podają ludowi — zapominając, że lud smakuje tylko w treści, podniesionéj, ubarwionéj fantazyą, jemu właściwą, nie zaś prozaicznym nudnym morałem, o który tak łatwo.

Owa to chęć popularyzowania literatury przyczyniła się także niemało do ciosów jakie literatura ponosi. Wielu sobie wyobraża, że chcąc być popularnym, trzeba być innym jak wzorowi pisarze starożytni i nowożytni. A jakże się wziąść do tego! najłatwiéj — oto pisać od niechcenia, bez wielkiego kłopotu o plan, o wykonanie, o rozumny wybór rzeczy, krytyczny przesiew materyału nagromadzonego, o ugrupowanie szczegółów aby ważniejsze naprzód wyszły, podrzędne ustąpiły w cień — słowem nikt się nietroszczy o pożytek i przyjemność czytających, z téj przyczyny, że większość przywykła już do téj strawy, połyka ją bez korzyści, ale nic niemówi, wierząc na ślepo w kodex nowego Parnasu.

Wytknięte powyżéj niedostatki naszego piśmiennictwa odbiły się częścią w nowéj książce pseudonima: Bonawentury z Kochanowa, wydanéj pod tytułem: *Wincenty Wilczek i pięciu jego synów*, czyli: Wspomnienia z drugiéj poło-

wy ośmnastego wieku i początku dziewiętnastego stólecia. Niedostatki te są jednak mniéj rażące w tem dziele, z tego powodu, że autor usiłował mu nadać formę pamiętnikową, wielce dziś wziętą dla niezależności od żadnych prawideł; w miarę bowiem jak się cisną wspomnienia, można je spisywać, i przelatywać z jednego do drugiego przedmiotu. Wszakże zastanowiwszy się nad naturą tych wspomnień po większéj części nieosobistych, tylko wyszukanych z dokumentów i książek, można zapytać autora dlaczego nienapisał trzech osobnych utworów? I tak, jeden mógł zawierać opowiadanie potoczne i szczegółowe dziejów od początku panowania Augusta IIIgo aż do epoki upadku Napoleona— drugi, wspomnienia osobiste zdarzeń których autor był świadkiem — a nakoniec powieść z historyi Wilczka i jego pięciu synów. Tymczasem wszystko znalazło się razem zmięszane i historya wygląda na bladą powieść, a powieść i pamiętnik na niepoważną historyę. Zachowanie linii granicznéj między temi rodzajami, byłoby pracy autora użyczyło rzetelnéj wartości szczególniéj co do prawdziwéj historyi o Wilczku, która podniesiona fantazyą, rozgrzana uczuciem, dałaby przepyszny obraz starca znoszącego z religijnem poddaniem się śmierć pięciu synów. Tymczasem zdarzenie to wzięte z rzeczywistości utopione zostało w mnóstwie szczegółów z historyi naszéj, po większéj części znanych, a do tego opowiedzianych mianowicie w opisach festynów dworskich i narodowych, sposobem oficyalnéj relacyi gazeciarskiéj, z wszelką dokładnością afiszową. Jeżeli autor miał zamiar podać historyczne wspomnienia w kształcie pamiętnika, mógł był to inaczéj zrobić i miał ku temu wszelką łatwość, a to wprowadzając starego Wilczka na świadka, albo aktora zdarzeń. Téj wolności niktby mu niemiał za złe, jak za złe niemożna brać autorowi pamiętników Michałowskiego że wynalazł takiego

pana Bartłomieja i przyciął go zupełnie do miary wyobrażeń jakie chciał w nim upersonifikować. Właśnie wybornie nadawał się Wilczek ażeby w nim odbiły się wyobrażenia większości narodu: szlachetne, pełne trudu, i silnych ofiar z mienia i najdroższéj krwi. Charakter niezłamany nieszczęściami domowemi i publicznemi byłby zajaśniał w całéj wielkości i obudzał w czytających to głębokie uczucie moralne, że prawdziwa nieskalana cnota niesięga tutaj po ziemskie nagrody, ale w saméj sobie znajduje zapłatę. Wilczek pięciu synów poświęcił, umierał niewidząc owoców poświęcenia się — a jednak dusza jego czuła się spokojną; czyjeś winy okupywał tą ofiarą i spełnił powinność chrześcianina powtarzając: Boże, bądź wola twoja! za każdym ciosem, który ranił serce ojca, gdy go dolatywała wieść o śmierci którego syna.

Cała ta powieść o Wilczku rozsypana między opisami historycznemi przygniecioną została ich ogromem, i wcale zdaje się niepotrzebnie przerywać tok opowiadania. Streszczę ją w niewielu słowach. Wilczek młodym chłopcem dostał się na dwór Hieronima Wielopolskiego starosty krakowskiego, który był ożeniony z Potocką. Oddany do szkół w Krakowie, uciekł z nich i przystał do konfederatów barskich, po skończonéj zaś ruchawce wrócił znowu na dwór Wielopolskiego starosty, ożenił się i miał pięciu synów i córkę. Wszakże nad życiem jego zawisła tajemnicza przepowiednia zrobiona mu, gdy jeszcze będąc konfederatem, dawał jałmużnę jakiejś żebrzącéj cygance w Częstochowie; ona to przepowiedziała Wilczkowi: Biedny, pięciu będziesz miał synów— wszyscy od kuli polegną!

I spełniło się. Jeden z synów służący w legionach ginie od kuli murzyńskiéj na San Domingo; drugi w pruskiem wojsku pod Jeną; trzeci na polu Raszyńskiem; czwarty w przeprawie na Berezynie; a ostatni sam so-

bie życie odbiéra w Warszawie. Matka tych synów napisała wiersz w którym zamknęła ich dzieje:

Szczęśliwą jestem choć w późnéj siwiźnie
Żem pięciu synów oddała ojczyźnie,
Adam pod Jeną, Jakób w Berezynie,
Felix w Domingo, Franciszek w Raszynie
Michał czując się do hańby niezdolny
Sam się zabija......

Rozdzierający to ustęp o tym Michale. Młodo wstąpiwszy w szeregi robił kampanię hiszpańską, rosyjską i francuzką, powróciwszy z resztkami niedobitków wstąpił w nowoorganizujące się szeregi księstwa kongresowego. Surowe i dzikie postępowanie W. Księcia przechodzące zwykłe granice karności wojskowéj, niemogło się zgodzić z uczuciami mężów, dla których honor wojskowy był prawie wyznaniem; ciągłe obelgi i poniżania uzbroiły niejedną rękę, że w rozpaczy sama targnęła się na swoje życie. Z téj liczby był i ostatni syn starego Wilczka, służący w randze rotmistrza. Autor tak opowiada tę scenę: „W maju 1816 roku, poranek był piękny, świeciło słońce, na niebie pogoda, ale na ziemi gotowała się burza. Na placu saskim wojsko stało pod bronią. Uderzono w bębny, muzyka zagrała, pokazał się W. Książę z licznym sztabym; przebiegł szeregi w milczeniu, poczem stanąwszy na boku rozpoczął się defil. Z początku wszystko szło dobrze; w tem wprawne oko wodza ujrzało pomyłkę w chodzie; zatrzymał kolumny, przywołał jenerała i pułkownika, i gdy słów nieszczędząc zaczął ich łajać, a pierwszy chciał się usprawiedliwić, drugiemu łzy w oczach stanęły, jednego odepchnął, drugiego porwał za szlifę. W téj chwili spostrzegł bladą twarz stojącego na boku Wilczka, a w oczach jego upatrzywszy wyraz nienawiści, a może i groźby,

postąpił kilka kroków ku niemu i chrapliwym głosem zawołał: „Co dziś ich spotkało, to cię jutro czeka“.

„Michał Wilczek przez cały dzień w gorączkowym był stanie, wieczór z ojcem przepędził u matki: smutny, mało mówiący, na zapytanie: co mu jest? odpowiadał, że chory, że go głowa boli. Powróciwszy do domu zastał swoich kolegów, z którymi razem mieszkał, już rozebranych; oni się wnet pokładli, on zasiadł do stolika i długo w noc pisał; gdy skończył, koledzy jego oddawna spali. Nad rankiem przebudził ich strzał, i ujrzeli Wilczka całego krwią zbroczonego, leżał na ziemi, już nieżył — odebrał sobie życie!

„Przed domem w którym czyn samobójczy co tylko dokonanym został, zatrzymał się starzec, spojrzał w górę: Okiennice zamknięte, śpi — pomyślał — niechcę go budzić. I usiadł na kamieniu, a dobywszy z kieszeni różaniec po cichu zaczął odmawiać paciorki. Otworzyły się drzwi od kamienicy, wyszedł z nich młody wojskowy, poznał starca, byłby może chciał ujść niepostrzeżony, ale się z nim Wincenty Wilczek przywitał, pytając: „Czy Michaś śpi jeszcze?“ — Śpi — odpowiedział młodzieniec; serce mu się ścisnęło, podał rękę nieszczęśliwemu ojcu, poczem niemogąc więcéj wymówić słowa, oddalił się czemprędzéj. Mijały kwadranse, coraz się większy pomnażał ruch na ulicy, a w domu panowała cisza, nieodmykały się okiennice. Długiem czekaniem znużony Wilczek, wstał z miejsca i poszedł na górę.

„W niewielkim pokoju złożono trupa na łóżku, miał głowę przykrytą chustką, i w koło niego stało kilkunastu towarzyszów broni, obok łóżka klęczał starzec. Oczy jakby mgłą zaszłe; zda się iż nic niewidziały, łez w nich niebyło, bo źródło wyschło oddawna. Lekkie poruszenie ust świadczyło, że odmawiał modlitwę i siwą głowę korzył przed Panem Zastępów a kiedy po niejakim czasie powstał o własnéj sile, bo

silny jest ten, który już oderwany od ziemi, żyje tylko w Bogu: „Spełniło się przeznaczenie moje — rzekł stłumionym głosem — Boże bądź wola Twoja!“

To zdarzenie o Wilczku i jego pięciu synach wsnute w dwutomowe historyczne opowiadanie, zajmuje w niem zbyt szczupłe miejsce, zwłaszcza będąc skreślone zbyt ogólnemi rysami i dość zimno, jak gaezciarskie doniesienie. Ma jednak być podstawą całéj książki, podstawą tak mało usprawiedliwioną że i sam autor tłumaczy się w przedmowie w tych słowach: „Może niejeden zapyta dlaczego wspomnienia moje pod nazwą Wincentego Wilczka wydałem? Odpowiem, iż on mi najwięcéj do nich materyałów udzielił, a ponieważ w najważniejszych wypadkach chwalebny miał udział, czynnie do nich należał, nikt mi za złe nieweźmie, iż imie jego z ukrycia skromności utajone wydobędę i potomności oddam.“ Zapewne że nikt niemiałby za złe autorowi gdyby był pokazał nam Wilczka działającym i wmięszanym w wypadki opowiedziane w książce, jak to robią nieraz pisarze powieści lub pamiętników, wkładający w usta głównéj osoby relacyą zdarzeń w których brała udział lub była ich świadkiem, a nawet i takich o których przypuścić można że mogła wiedzieć. Lecz tu innéj metody trzymał się autor; opowiada bowiem historyę narodu tak jak ją zebrał z dokumentów i książek, mięsza własne uwagi i zdania, a zstępując niekiedy z wyżyn dziejowych, wprowadza ustępy o starościnie Wielopolskiéj i jéj dworze gdzie się z Wilczkiem spotyka. Dla tego osoba zacnego starca i jego synów znika w tym ogromie zdarzeń odnoszących się do wyższego rzeczy porządku. — Jest to zatem niemała wada w kompozycyi dzieła, gdy to, co ma być jego głównym punktem, staje się podrzędnym. Mimo tego uchybienia, część czysto pamiętnikowa mieści wiele ciekawych szczegółów zebranych przez autora bądź z opowiadań Wil-

czka, bądź z innych podań, a nawet z własnych wspomnień. Szczególniéj co do czasów pruskich i Księstwa Warszawskiego spotkać się można z zajmującemi ustępami; tego zaś powiedzieć trudno o ustępach z epoki Sasa i Stanisława Poniatowskiego, albowiem co przytacza jest tylko powtórzeniem znanych opisów w pamiętnikach, a jeżeli trafiają się jakie anegdoty nieznane, to niewydają się prawdopodobnemi jak owa o Józefie Potockim który będąc u Augusta IIIgo na balu, gdy dawano wieczerzę po północy, nieprzyjął jéj z kilkoma innymi panami mimo zaprosin królewskich. — Dlaczego ichmościowie niechcecie z nami wieczerzać? zapytał monarcha. — Naj. Panie odpowiedział Potocki — już jest po północy, piątek zaszedł, w którym to dniu kościół zakazuje mięsnych potraw używać. — Poczem ukłoniwszy się wyszli. — Nie przeczę, niepodległość i buta naszych panów była wielka, ale z drugiéj strony wiadomo jak etykieta dworu saskiego była wymagającą i ścisłą, jak wreszcie ton panujący na tym dworze, trzymał zawsze w pewnych karbach winnego poszanowania i oddalenia najzuchwalszych nawet możnowładzców. Zdaje się więc niepodobieństwem, aby króla spotkała podobna niegrzeczność połączona z reprymendą o niezachowanie postu.

W pierwszéj części bardzo zajmujący i świeży obrazek znajdujemy w opisie osób składających towarzystwo warszawskie bawiące się rozmową i rozpamiętywaniem dawnych czasów. Są tu ciekawe anegdoty o księciu Józefie, o Krasickim, o Piramowiczu, o Karpińskim, Kopczyńskim, Staszicu itd. Szczególniéj zdarzenie Piramowicza, maluje piękną duszę chrześciańskiego kapłana. Ksiądz Piramowicz będąc proboszczem w Kurowie, poszedł na przechadzkę. Zatopiony w myślach daleko gdzieś zaszedł, gdy napotkał ubogą niewiastę niosącą małe dziecko na

ręku, w tak nędznym i opłakanym stanie że mu łzy w oczach stanęły. Chciał ją do probostwa wziąść z sobą, ale pomiarkował że odległość była wielka, a wieś do któréj dążyła tuż spostrzegać się dawała. Miał kilka złotych przy sobie, te ubogiéj oddał, ale ona była prawie obnażoną, a chłód wieczora coraz się bardziéj czuć dawał. Co w takim razie począć? Poszedł w zarośla, zdjął z siebie koszulę i okrywszy nią biedną matkę; zawstydzony, jakby zły popełnił uczynek, czemprędzéj do probostwa kroki swoje obrócił. — Nieuwierzycie panowie, mówił dobrodusznie Piramowicz, w jakim byłem ambarasie, w zapiętéj sutannie nikt dorozumieć się nie mógł że pod nią koszuli niemasz, ale że jéj niemasz jakże mojéj gospodyni powiedzieć? a u niéj od wszystkiego klucze. Na szczęście spostrzegłem w koszu bieliznę świeżo przyniesioną z prania; daléj więc do niéj się skradać, a gdy nikogo niebyło w izbie, porwałem za koszulę, włożyłem na siebie i odetchnąłem. Nie koniec na tem; nazajutrz rwetes w domu; gospodymi krzyczy że jéj z kosza ukradziono koszulę, i hałas wielki, szukają złodzieja; cała rzecz wydać się musiała.

Żałować należy że autor więcéj oficyalną i buletynową pisał historyę, niż dawał rysy towarzystwa ówczesnego; historya bowiem wymagałaby czegoś więcéj jak kronikarskiego notowania faktów, lub opisywania wjazdów i ceremonii publicznych, dlatego każdy ustęp mniéj ogólnikowy a trafiający się tu i owdzie, jedyną ma wartość. W opisie zbyt powierzchownym wyprawy Napoleońskiéj na Moskwę, bardzo miłą była niespodzianką scena z rejterady. — O milę od Smorgoń — powiada autor — w bok gościńca mieszkał w dziedzicznéj wiosce szlachcic nazwiskiem Szymon Falkowski. Była pora ranna, dzień mroźny, ale pogodny, kiedy chłopskie sanie zajechały przed dwór; wysiadł z nich wojskowy, a spo-

tkawszy się na ganku z samym gospodarzem: „Jest pan Falkowski w domu?“ zapytał. — „Ja nim jestem odpowiedziano — proszę do środka — z kim mam honor mówić?“ — „Z Wąsowiczem, oficerem służbowym z orszaku Cesarza Napoleona, odrzekł na to nieznajomy — chwała Bogu że pana w domu zastaję.“ — „Niebyłbyś mię pan w domu zastał, odezwał się na to Falkowski, gdyby mi odniesione rany nieprzeszkądzały wsiąść na koń; ale proszę się rozgościć, czem mam panu służyć?“ — „Przedewszystkiem przystąpmy do rzeczy — przerwał Wąsowicz — wiem kto pan jesteś; wiem że twój ojciec zginął na Pradze; a jakim był ojciec, takim i syn być musi. Mówmy bez ogródki: niedobitki nasze cofają się, Cesarz dziś jeszcze do Wilna wyjeżdża; wielkim jednak gościńcem napchanym naszemi maroderami i napastowanym od Kozactwa niepodobna mu jechać; pan jesteś miejscowym, udaję się więc do niego abyś nam dał przewodnika, któryby Naj. Pana bocznemi drogami mógł przeprowadzić.“ — Falkowski zamyślał się trochę; poczem otworzył drzwi do drugiéj izby: Kasiu! zawołał — dajcieno wódkę i zakąskę — a wyszedłszy na ganek: „Jurek! krzyknął na całe gardło, przygotować budę i trójkę do niéj koni z duchą; pójdą dwa szpaki i gniada.“ Niebawem weszła sama pani, za nią przyniesiono tacę z wódką i zakąskami — i w czasie gdy gospodyni domu z Wąsowiczem rozmawia, gospodarz co chwila wchodzi do izby i wychodzi — aż sanki zajeżdżają przed ganek. Wtedy ukazał się Szymon Falkowski w prostym kożuchu, i czapce baraniéj, z borsuczą torbą przez plecy i rzekł do zdziwionego Wąsowicza: kolego, prosiłeś o przewodnika, w tak ważnym razie na nikogo spuścić się niemogę, sam przewiozę i na miejsce dostawię. Zerwał się Wąsowicz, ścisnął go za rękę — tymczasem żona rzuciwszy się mężowi na szyję zaczęła płakać, dzie-

ci wbiegły do izby, poczepiały się do ojca, a widząc płaczącą matkę, same się rozpłakały. Uściskawszy i pobłogosławiwszy żonę i dzieci, wybiegł na ganek: Jurek dawaj konie, zawołał siadając z przodu na sanie, ty zostaniesz ja sam powiozę. — A gdy Wąsowicz już był w budzie, gwizdnął i tęgim kłusem ku Smorgoniom pojechał.

Noc była ciemna, kiedy troje sań ujechawszy z półćwierci mili gościńcem wileńskim zwróciły się w prawo i zapuściły w gęste bory ciągnące się prawie bez przerwy, aż ku samemu Wilnowi. Ktoby je był napotkał, czyżby odgadnął, iż pod tą prostą budą okrytą rohożą znajduje się pierwszy władzca świata, — siedział w niéj jednak Napoleon mając przy sobie Duroka; Falkowski wiózł Cesarza, a obok niego na koźle Rustan Mameluk. W drugich odkrytych saniach jechał Caulincourt z hrabią de Lobau, w trzecich jenerał Lefebre Desnouettes z szefem szwadronu Wąsowiczem. Falkowski znając w lasach najmniejsze drożyny, wywijał się pomiędzy niemi jak wąż, zatrzymywał na wypoczynek w małych wioszczynach, a dobywszy nieraz z torby wódkę i kawał wędliny posilał niemi Cesarza i dwór jego. Nazajutrz niespotkawszy nikogo po drodze, wjechał do Wilna około południa przez Ostrą bramę, a przejechawszy miasto, stanął na Pohulance przed domem Frolanda, gdzie książę Bassano z jenerałem Hogendorpem oczekiwali już na Cesarza.

Gdy Napoleon wydaje rozporządzenia do armii, a przygotowują dla niego pojazdy do dalszéj podróży, Falkowski przy swoich koniach stoi na mrozie i sam niewie co daléj począć. W tem ujrzał przechodzącego przez dziedziniec Wąsowicza, zawołał nań i przypomniał że czeka dalszych rozkazów. Wąsowicz pobiegł do Cesarza i wnet potem wprowadził do niego Falkowskiego.

Napoleon kazał mu podziękować przez Wąsowicza; zapytał jak się nazywa i czy ma synów? Gdy odpowiedział że ma dwóch, Cesarz zapisawszy jego nazwisko w pularesie oświadczył mu, aby po skończonéj wojnie przyjeżdżał z synami do Paryża, a on o całéj rodzinie niezapomni i los jéj zabezpieczy. Poczem kazał mu wypłacić dziesięć napoleondorów. Falkowski przyjąć nie chciał pieniężnego daru, ale gdy mu Wąsowicz wytłumaczył że się niegodzi łaski monarszéj odmawiać, zgodził się z wolą cesarską. Oddano mu przytem kartę bezpieczeństwa aby niebył turbowany po drodze: „Zda mi się ona, ale od Francuzów, odezwał się Falkowski — co się zaś tyczy Rosyan, mam na sobie lepszą kartę bezpieczeństwa która mię od nich ochroni — a rozpiąwszy kożuch, ujrzano pod nim mundur oficera rosyjskiego z dwoma krzyżami. Trzeba bowiem wiedzieć iż Falkowski służył dawniéj w pułku tatarskim formowanym na Litwie i robił kompanię włoską pod Suwarowem a pod Friedlandem ciężko ranny, wziął dymisyę i wrócił gospodarować w domu.“

Wieleby się znalazło podobnych anegdot przechowujących się w podaniach różnych stron naszego kraju. Autor mógł był z nich więcéj korzystać, a w takim razie byłby uniknął potrzeby uciekania się do źródeł powszechnie znanych. Niemożna jednak powiedzieć żeby między dokumentami przytaczanemi przez autora nieznalazły się ciekawe kawałki — owszem bardzo dobrze są zebrane lub zestawione, lub też zachowane w przypisach — tylko, niedość wyrozumowany plan książki, odbiera im rzetelną wartość. Jeżeli czytelnik spodziewa się podług tytułu znaleść powieść, tedy się omyli, znajdując historyę — a znowu z pierwszych kart postrzegłszy że ma do czynienia z historyą, także się omyli gdy się zetknie z powieścią. — Koniec końców pomiesza-

nie wyobrażeń o rodzajach literatury, pozbawia niejeden utwór téj wartości, na jakąby zasłużył, pilnując się wprawdzie starych, trudnych ale rozumnych prawideł.

LUCYAN SIEMIEŃSKI.

POLITYKA W OBEC WOJNY.

W chwili właśnie gdy wychodził z druku ostatni zeszyt niniejszego pisma, pokoj i wojna ważyły się, na szali europejskiéj polityki. Wypadki znane są wszystkim, powtarzać ich niema potrzeby. Dość na tem, że przeważyła wojna.

Zastała ona w polityce systemat którego wyrazem były konferencye. Uważany co do swéj istoty nie był on wcale nowym. Od końca wieku zeszłego coraz więcéj wchodziło w zasady prawa publicznego, że żadna ważniejsza sprawa, tak zwana europejska, przeprowadzoną być nie mogła samowładnie, to jest przez jedno państwo, ale brały w niéj udział jeżeli nie wszystkie państwa pierwszego rzędu, to przynajmniéj niektóre. Zasada ta interwencyi zbrojnéj lub pokojowéj, stawała się coraz wyraźniejszą i ogólniejszą, zwłaszcza od czasu kongresu wiedeńskiego.

Podstawą tego systematu, były przymierza, albo racźej przymierze święte, które od roku 1815 stało się ostatecznym kierownikiem polityki europejskiéj, i naj-

wyższym rozjemcą sporów i spraw ważniejszych. Dla tego też pomimo kongresowéj formy, jaką zwykle systemat ten przybierał, pomimo pokoju, udział ów mocarstw w każdéj sprawie europejskiéj miał prawie zawsze cechę koalicyjną, a wszelkie na pozór dobrowolne układy mieściły w sobie domyślną groźbę téj potęgi, która zaprowadziła porządek rzeczy istniejący od traktatów wiedeńskich. Wszystkie kongresy i traktaty zawarte w przeciągu ostatnich lat czterdziestu nosiły tę cechę koalicyjną, a najwyraźniéj może konwencya lipcowa z roku 1841 w sprawie paszy Egipskiego. Jedne konferencye londyńskie w sprawie belgijskiéj stanowiły wyjątek i jako taki z resztą potwierdzały regułę, dowodząc tylko potęgi faktu dokonanego. Przed następstwami owéj koalicyjnéj cechy ustępowały zawsze dwa mocarstwa pierwszego rzędu które jako takie należały do kongresów, chociaż nie były w przymierzu; jedno, z powodu że zaprowadzony systemat w polityce osłabiając głównego przeciwnika wzmacniał wpływ kontynentalny tego państwa, położenie zaś jeograficzne zasłaniało je przed wszelkiem niebezpieczeństwem; drugie zaś, dla tego, że znało z doświadczenia siłę owéj koalicyi, usiłowania zaś aby ją zrównażyć nieudawały się, jak tego dowiódł najoczywiściéj projekt przymierza poczwórnego.

Systemat ów, oparty na przymierzu świętem, przetrwał burzę r. 1848, lubo widocznem było, że zwycięztwo odniesione nad rewolucyą, przez wzmocnienie idei państwa, zapomocą wprowadzenia bezwarunkowéj centralizacyi, i oddania w ręce rządów nieograniczonego kierunku całego ruchu społecznego, kroczącego na drodze niwelacyi i kosmopolityzmu, osłabić go w końcu musiało. Czerpał on bowiem główną swą potęgę, w walce, jaką wypowiedział rewolucyi i w sztandarze zachowawczym, w którego obronie stawał. To też skoro nadeszła sprawa wschodnia, zastosować się nie dał.

W sprawie téj występującéj w imieniu równowagi europejskiéj, nienaruszającéj w niczem zasad ani kwestyj objętych poprzedniemi traktatami, nie było wcale strony rewolucyjnéj, a w obronie zachowawczéj stawały właśnie mocarstwa prowadzące spór z jednym z czynników głównych św. przymierza. Wobec zawiązanego zachodniego przymierza koalicya była trudniejsza, nie było też powodu do takowéj, zwłaszcza że Europa nie chciała wojny, każde państwo życzyło sobie jéj uniknąć, a każde też było samowładniejsze niż dawniéj. Nie utrzymały też pokoju poprzednicze układy, w których każde mocarstwo na własną działało rękę. Wybuchła wojna, ani jéj nie powstrzymały konferencye wiedeńskie. Traktat dopiero paryzki położył jéj koniec.

Na kongresie w Paryżu r. 1856 przyjęto wprawdzie zasadę udziału mocarstw w rozwiązywaniu wszystkich kwestyj europejskich, nadano mu wszakże tak wielkie i bezwzględne rozmiary, iż praktyczność jego a zatem rwanie mogło się było od razu zdawać wątpliwem. Systemat oparty na teoryi, chociażby najsubtelniéj ułożony, niema wielkiéj przyszłości w polityce. Takim wydawać ię musiał każdemu bezstron⋄emu oku, systemat inaugurowany na kongresie paryzkim.

Podstawa systematu ogłoszona, wspólność zasad i solidarność interesów wszystkich państw, mogła mieć tylko pewne znaczenie w teoryi politycznéj. Wskazywała co najwięcéj dążność polityki, odpowiednią dążności ruchu społecznego w Europie. Była niejako teoretycznem zastósowaniem kosmopolityzmu i niwellacyi w polityce ogólnéj. Niezgadzała się z autonomią właściwą każdemu państwu, jaką mu nadają historya i tradycya. Znosiła te ostatnie przypisując każdemu państwu to samo opatrzne powołanie, a przeto i ten sam udział w dziejach ludzkości; inaczéj bowiem wszystkie państwa nie mogą mieć wspólne zasady, nie mogą solidarnie we wszystkich wy-

stępować sprawach. Wymagała pewnéj jednostajności, równości co do ducha i formy, któréj niema w społecznościach europejskich, jakkolwiek wszystkie ujęte są w jeden systemat polityczny, oparty na idei państwa. Każda społeczność polityczna w Europie jest państwem, ale każda jest innem państwem, i w téj jednostajnéj formie przechowuje właściwą sobie autonomię, i właściwe sobie warunki konieczne. Różnice te zatrzeć się nie dadzą żadnym systematem, bo niepozwala na to ani przeszłość któréj zniszczyć nie można, ani teraźniejszość która bądź co bądź należy do żywiołów istniejących a między sobą różnych, ani przyszłość, którą rozporządzać nie wolno, bo ta leży w ręku Boga.

To co tu w krótkości wypowiedziane, obszernie wyłożone było w piśmie niniejszem w rozbiorach szczegółowych tego systematu, którego kilkoroczne zastósowanie w praktyce porównać się dawało do obiegów błędnego koła. Wspólność zasad i solidarność interesów można było w Europie upatrzeć w jednéj sprawie, to jest w sprawie wschodniéj, i to tylko w pewnych częściowych stronach téj kwestyi olbrzymiéj. W gruncie już systemat nie miał swéj podstawy. Traktat paryzki nie sięgał gruntu, nierozwięzywał kwestyi, a jednakowoż łatwo było dowodzić że wykonanym w zupełności nigdy może nie będzie. Owa zgoda jednomyślna która była warunkiem systematu, a następstwem koniecznem zasady, mogła być zdobytą tam tylko gdzie wspólne zagrażało niebezpieczeństwo od polityki zdobywczéj. To też konferencye wykończyły tylko te strony kwestyi, które już naprzód rozstrzygnęła wojna. Inne zostają w zawieszeniu pomimo wszelkich usiłowań. Niema w nich bowiem ani wspólności zasad ani solidarności interesów. Zasady są sprzeczne, interesa przeciwne. Systemat ograniczał się na tem aby wynaleść pole na którem chwilo-

wo zatrzymaćby się można było. Był narzędziem tymczasowości politycznéj, a zatem przechodnim.

Co więcéj przyjęta w nim zasada wykluczała przymierza. Wypadało to z natury rzeczy, a dowodem tego następstwa był los jaki spotkał przymierze, którego domyślać się wolno było po zawartym traktacie z 15go kwietnia 1856. Utrzymywano zaraz że to odrębne potrójne przymierze w obec ogłoszonéj w traktacie paryskim zasady, było anomalią, obrażającą nawet inne mocarstwa które traktat podpisały. Przypominało ono wprawdzie rolę świętego przymierza w obec traktatów wiedeńskich. Ale święte przymierze miało wytknięty cel, to jest przeciwnika. W walce z rewolucyą miało wspólne zasady i przyjmowało solidarność interesów, ale tylko swoich. Ta wyłączność czyniła je silnem w praktyce. W przymierzu z 15 kwietnia ukazały się przeciwieństwa tak co do zasad jako też co do interesów, niemogło więc być ono najwyższym stróżem traktatu paryskiego. Urazy jakie wznieciło były zbyteczne: przekonała się o tem Europa nie dzisiaj ale przy trzecich konferencyach, to jest w kwestyi o Księstwach i o żegludze na Dunaju.

I to jeszcze na uwagę zasługuje w charakterystyce systematu wprowadzonego na traktacie paryzkim, że do składu kongresu przyjęto z równouprawnieniem dwa państwa, z których jedno jako muzułmańskie rażącą było anomalią w zebraniu mocarstw stanowiących o prawie publicznem chrześciańskiéj Europy; drugie zajmować mogło swoje stanowisko za pomocą tylko sztucznéj polityki, za któréj widoki wszystkie mocarstwa solidarnie ręczyć nie były w stanie. Pierwsze nie mogło bronić swych interesów, bo było jakby dziecię małoletnie między opiekunami, ani też żadnéj przyjmować w innych interesach solidarności, a tem mniéj mieć wspólne ze wszystkiemi zasady; drugie, uważając w równouprawnieniu swojem, pewną rękojmię przyszłości, pracowało

tylko w celu, aby sobie zapewnić stanowisko obecnie przypadkowo zajmowane. Przyjęcie więc do kongresu tych dwóch państw w obec ogłoszonego systematu, narażało go z jednéj strony na ciągłą trudność, z drugiéj na ciągłe niebezpieczeństwo.

Walczył też z trudnościami starając się je pokonać, dopóki nie zbliżyło się i w końcu nie nadeszło niebezpieczeństwo. Starały się konferencye prowadzić chociaż zwolna wykonanie traktatu paryzkiego, a nawet pod ich trybunał poddano i kwestyę neufchatelską. Ale łatwo było przewidzieć że systemat niedopisze skoroby tylko obie strony sporne miały całą powagę mocarstw pierwszego rzędu. Właśnie też wskazane wyżéj niebezpieczeństwo prowadziło do takiego sporu.

Skoro się tylko ukazał, wystąpiły w całéj jawności wszystkie niedostatki systematu. Pokazało się że niema wspólności zasad, że podobnie jak zasady interesa są sprzeczne. Systemat widocznie nie wystarczał: nie zasłaniał Europy przed wojną, któréj również jak przy sprawie wschodniéj niechciała. Usiłowano powrócić do pentarchii, to jest złożyć kongres z samych wielkich mocarstw; ale właśnie przyjęty poprzednio systemat stanął na zawadzie. Błędy w polityce, w jakimbądź kierunku popełnione, powetować się łatwo nie dadzą, opłacić je trzeba.

Przyszło do wojny.

W obec wojny polityka znalazła się z następstwami ostatniego systematu, to jest znalazła się bez przymierzy. A jednakowoż rzucone są na szalę aż do pewnego stopnia traktaty z 1815 r., przeto wszystkie mocarstwa są zainteresowane. Przed wybuchnięciem wojny działały osobno, każde na swoją rękę. Pośredniczyły aby Europa uniknęła wojny. Czy ich wojna połączy? Interwencya zagraża wojną powszechną — oto głos jaki podnosi przerażona opinia europejska wzdychająca za pokojem. A za-

tem neutralność — ale czy podobna ją mocarstwom wszystkim zachować do końca?...

Przewidywać jest bezwątpienia zadaniem polityki, ale przedewszystkiem korzysta ona z teraźniejszéj chwili. Tak też i w obecnych wypadkach. Mocarstwa pośredniczące przeciwne były wojnie: ale zwłaszcza przeciwne były temu *ultimatum* które wojnę przeniosło na ten teatr na jakim się dziś znajduje. Zachowują przeto neutralność i milczenie, może dopóty dopóki się na tym teatrze znajduje. Jest to korzystać z chwili i okoliczności. Wypadki są najlepszemi dla polityki skazówkami. Czeka ona więc jak się zdaje wypadków. Podobnie jak tych ostatnich, polityki odgadywać nie wypada.

Cokolwiek atoli nastąpi pozostaje dla Europy smutne doświadczenie w przekonaniu, że pomimo największych usiłowań rządów i najenergiczniejszych objawów opinii europejskiéj za utrzymaniem pokoju, w przeciągu lat niespełna pięciu po dwakroć przerwanym on został. Europa stoi pod groźbą wojny powszechnéj, kiedy żadnej nawet lokalizowanéj mieć nie chciała, kiedy wszystkie interesa wszystkich państw jak najwyraźniej domagały się pokoju, kiedy wojna najniezawodniéj z powodu rozpoczętych przedsiębiorstw, zaangażowanych kapitałów, większemi niż kiedykolwiek klęskami zagraża. Ukazała się więc słabość systematu mającego być rękojmią pokoju.

Nikt zapewne nie będzie utrzymywał aby pokój mógł być wieczny: były wojny, są i będą. Ale to nie przeszkadza aby nie nasuwała się myśl, że błędnemi są podstawy systematów politycznych, które się ukazują niedostatecznemi do powstrzymania wojny wtedy gdy jéj sobie cała Europa nie życzy. Muszą więc być przyczyny wywołujące wojnę, które są silniejsze nad wszelkie usiłowania politycznego systematu. Usunąć więc wypadałoby te przyczyny, czyli co na jedno wypada oprzeć

politykę na innych podstawach jak te na których spoczywa. Nakoniec niechaj wolno będzie powtórzyć, nieraz już na tem miejscu wyrażone zdanie, że systemat ogromnych armij tak zwanych „stojących“, mający być rękojmią pokoju, nie chroni bynajmniej od wojny, może ją nawet ułatwia, a w każdym razie daje jéj tak olbrzymie rozmiary jak te które przybiera obecna.

MAURYCY MANN.

KRONIKA.

Berlin w maju.

Nie odpowiedziałbym przeznaczeniu kroniki tego pisma, gdybym na miesiąc bieżący nie zapisał w niéj zgonu męża, którego imię głośniejszem dziś jest na kuli ziemskiéj, niż któregokolwiek innego śmiertelnika, gdybym nie zapisał zgonu Aleksandra Humboldta.

Nie mam zamiaru kreślić tu obszernego nekrologu, biorąc do niego szczegóły, wzorem większéj części publicystów prasy europejskiéj, z encyklopedyj naukowych. Nie jest także ani zamiarem ani zadaniem mojem, opierając się na licznych innych źródłach, wskazywać stanowisko jego w rzeczypospolitéj nauk, oznaczać stosunek jego do przeszłego stanu tychże, wyliczać odkrycia, podnosić rezultaty badań, oceniać pojedyncze nauki, nowo przez niego stworzone, lub przekształcone i nieskończenie zbogacone.

Do takiéj pracy zabrać się tylko wolno człowiekowi specyalnéj i niemal równie obszerniéj, jaką zmarły miał, wiedzy. A gdy wiedza taka rzadko się w jednym człowieku jednoczy; szczegółowy, gruntowny, wyższym wymaganiom naukowym odpowiedni opis żywota Aleksandra Humboldta, opis pomnikowego znaczenia, może być

tylko dziełem przyszłości, dziełem długoletniego zajęcia, nie jednego tylko, powiedziałbym pisarza, ale kilku, ale całego towarzysta uczonych.

Humboldt sam ułatwił i utorował poniekąd w głównéj i najtrudniejszéj części, w części naukowéj, drogę do takiego pomnikowego dla siebie dzieła, w swoim „Kosmosie“, będącym rzeczywiście nie nowem z gruntu dziełem, ale rezultatem wszystkich dawniejszych długoletnich prac i badań, w jednę organiczną całość cudowną twórczością ducha spojonym. To co następne pokolenia uczonych z dzieł jego wydobyć miały, on sam tego pod koniec wieku swego dokonał, jakby się lękał, żeby duchowy spadek jego nie zmalał lub nie zmarniał w rozproszeniu, podzielony na tysiące głów, nie mających może ani zdolności ani możności a nawet i woli do zniesienia i użycia całego przysposobionego materyału na wystawienie takiéj, jaką sam dźwignął, ogromnéj w rozmiarach, jednolitéj w układzie, mistrzowskiéj w wykończeniu, budowy stworzenia.

Bo jakiekolwiek o téj i o innych pracach i dziełach wielkiego nieboszczyka mogą mieć zdanie ludzie specyalnych nauk, jedyni sędziowie kompetentni, którzy przez cześć dla mistrza swego milczeli za jego życia; to pewna, że nie tak prędko, a przy coraz większem rozgałężaniu i doskonaleniu się pojedynczych dyscyplin wiedzy ludzkiéj, nigdy już może nie powstanie drugi człowiek, któryby je wszystkie w równéj mierze objął w głowie swojéj, i przy całéj scyentyficznéj gruntowności i systematyczności przedstawił w tak czarującéj artystycznéj postaci.

Wszakże wielkość i zasługa nieboszczyka nie leżą jedynie w naukowéj treści pozostałych dzieł jego. Spowite one są w równym a może większym jeszcze od téj ostatniéj stopniu w całem moralnem i duchowem usposobieniu i działaniu człowieka. Okazać i przedstawić je, będzie zadaniem przyszłego biografa. Humboldt nie zostawił po sobie żadnych pamiętników. Wielcy uczeni, filozofowie, poeci, nie zajmują się tego rodzaju pracami. Nie mają do tego ani czasu ani potrzeby. Pamiętnikami ich są dzieła ich. W podróżach Humboldta skreślona jest znaczna część jego żywota. W nich jak i w innych dziełach zapisane są tysiące myśli odnoszących się do

wszelakich kierunków duchowego i materyalnego rozwoju rodu ludzkiego. Jest to bardzo obfity materyał dla pisarza zgłębiającego etyczną stronę zasług tego wielkiego człowieka. Reszta życia jego leżała jak otwarta księga, przystępna dla ludzi całego świata, którzy chcieli w niéj czytać, wiedzeni jakiemibądź pobudkami i celami. Nikt też pewnie z śmiertelnych nie był częściéj o radę pytany, nikt pewnie tylu listów w życiu swem nie napisał. Listy te, zebrane i wydane, staną się najobfitszym i najszacowniejszym materyałem dla przyszłego biografa, wskażą nanowo obszerność i wszechstronność wiedzy wiekowego mędrca, wyświecą przeważny i różnorodny wpływ jego na oświatę i kulturę bieżącego stulecia, dadzą wreszcie wymowniejsze od dzieł samych świadectwo o moralnéj zacności, wzniosłości i szlachetności charakteru człowieka.

Uczoność Humboldta nie była oderwaną i wyłącznie na sam przedmiot traktowanéj nauki zwróconą. Miała ona owszem nieprzerwanie na widoku ostatni, praktyczny cel wiedzy, którym jest oświecenie i uszlachetnienie umysłu i ogólny cywilizacyjny postęp rodu ludzkiego. To też mało kto przed nim w równéj odnosi mierze poznanie natury do historycznego życia narodów. Rozwój, postęp, rezultaty jednego i drugiego, stoją, zdaniem jego, nietylko w ciągłym i ścisłym do siebie stosunku, ale są w większéj części od ich wzajemnego na siebie oddziaływania zawisłe. Stan badań w dziedzinie nauk przyrodzonych odpowiada zwykle stanowi moralnego, nietylko politycznego ale i religijnego, narodów ukształcenia. Prawdę tę stwierdza cały bieg dziejów starożytnego i nowszego świata.

Częstokroć stan moralnego ukształcenia zamyka wrota badaniom i odkryciom na polu nauk przyrodzonych; częstokroć badania te i odkrycia uginają się same do stanu panujących wyobrażeń umysłowych. Ale kiedy rezultaty ich potwierdzą się tysiącznemi obserwacyami i doświadczeniami, i prawda zajaśnieje jak słońce dzienne; systemy porządku moralnego, politycznego, towarzyskiego, które się stały wiarą, zmuszone są wtedy wejść w siebie, oczyścić się z uprzedzeń i przesądów, i w przymierzu z rezultatami badań przyrodzonych, wznosić, w pocie czoła a częstokroć i z rozlewem krwi, nową,

obszerniejszą, swobodniejszą, wspanialszą i doskonalszą budowę fizycznego i moralnego porządku świata.

To też i badania Humboldta i innych jemu nauką i duchem pokrewnych mężów przypadły na czas wielkich politycznych, moralnych i towarzyskich wstrząśnień i przemian na obu półkulach zamieszkałéj ziemi. Jedne i drugie nie miały na pozór żadnéj z sobą styczności; jedne i drugie osobnemi postępowały drogami. A jednak i te i tamte niesione i kierowane były ideami tegoż samego uniwersalnego postępu: tamte nienasyconą żądzą wolności badania, te niezagasłem uczuciem uprawnienia do wolności indywidualnéj i politycznéj. Więc i w rezultacie jakże blisko stanęły przy sobie, jakże silnie, nie wiedząc prawie o tem, wspomagały się nawzajem.

Francya była wtedy ogniskiem politycznych i socyalnych przeobrażeń. Mąż olbrzymiego ducha i żelaznéj woli niósł je „na wolność orząc, krwią zlewając ziemię“ na walący się w gruzy stary świat. Obok nich praktyczne, ścisłe, realne wiadomości i nauki stały w pierwszym rzędzie publicznéj czci i opieki. Z Francyi też tylko i z Paryża, bo drugiego naówczas nie było na świecie kraju i miasta, mogły wyjść na świat uniwersalne, całą naturę i ród ludzki obejmujące dzieła drugiego olbrzymiego ducha, Aleksandra Humboldta. Nie przypadkowo, ale z świadomością celu, obrał on sobie Francyą za drugą ojczyznę, w któréj najprzód stale od 1804 do 1827, potem przerywanie od 1830 do 1848 przemieszkiwał. W języku też téj nowéj ojczyzny ogłaszał dzieła swoje. Wyjątek czynią kilka pierwszych prac młodego wieku i ostatnie pomnikowe dzieło „Kosmos“, które pisane są pierwotnie po niemiecku.

Ten ogólnie cywilizacyjny charakter dzieł Humboldta i uniwersalność rozlanéj w nich wiedzy i mądrości, osnutéj z logiczną i matematyczną ścisłością na zgłębieniu realnych wszechświata rzeczy i stosunków, stawiły go na czele ruchu i rozwoju całéj tego wieku kultury, i nadały mu przydomek nowoczesnego Aristotelesa. Podobieństwo porównania leży i w zewnętrznéj postaci stosunków świata. Mędrzec starożytny miał Aleksandra, mędrzec nowożytny Napoleona współczesnym przeobrazicielem dziejowego porządku. Czyny Aleksandra znikły prawie bez śladu w realnem życiu ludzkości kilku na-

stępnych wieków, i tylko historya zapisała je na karcie swéj monumentalnemi głoskami jako wielką epokę nieprzerwanego rozwoju swego. Dzieła Aristotelesa przetrwały wieki, były dla nich powagą i źródłem nauki, i w wielu względach zachowały dotąd żywotną, nieśmiertelną wartość swoję. Podobny los w dziejach kultury mieć będą czyny Napoleona i dzieła Humboldta. Pierwsze już do nich spłynęły, z drugiemi niezadługo tożsamo się stanie. Przyjdą inni mędrcy i krytycy, obnażą człowieka z oznak zewnętrznéj czci, wytkną i własne jego słabości i wady, i to czem go ludzka pycha, próżność i pochlebstwo pod niebiosa wynosiły, i to czem go zawiść i samolubstwo ku ziemi zniżały. Pozostanie to co prawdziwie było wielkiem i nieśmiertelnem, i stanie niespożytem dobrem ludzkości.

Przytoczę tu kilka ważniejszych nie rysów ale dat dziewięćdziesięcioletniego żywota sławnego męża. Aleksander Humboldt, młodszy brat wielkiego lingwisty Wilhelma, urodził się w Berlinie w tym samym, ale o jeden miesiąc późniéj, co Napoleon roku, to jest 14 września 1769, umarł w tym samym co Napoleon miesiącu, o jeden dzień późniéj, 6go maja 1859 r. Stara szlachecka rodzina Humboldtów pochodzi z Pomorza, zkąd się przesiedliła do Marchii i zamieszkała w Tegel pod Berlinem. Ojciec Aleksandra był majorem w siedmioletniéj wojnie i szambelanem dworu Fryderyka W. Matka, z pierwszego małżeństwa baronowa Holwede, urodzona Colomb, z familii burgundzkiéj, która emigrowała do Prus w skutku zniesienia edyktu Nantes. Pierwsze początki nauk odebrał Aleksander wspólnie z bratem swoim w rodzicielskim domu. Nauczycielem ich był znany pedagog i wydwaca Robinsona, Campe, późniéj Chrystyan Kunth, a przyjaciel domu, sławny w następnych czasach lekarz Heim, uczył ich botaniki. Dalsze nauki, od r. 1783, pobierali obaj bracia pod dozorem swego nauczyciela w Berlinie, a r. 1787 udali się na uniwersytet do Frankfurtu nad Odrą. Aleksander uczęszczał na nauki kameralne. Po upływie roku powrócił do Berlina i zajmował się techniką fabryk i botaniką. W r. 1789 uczył się w Getyndze nauk przyrodzonych pod sławnym Blumenbachem, a nauk klasycznych pod równie sławnym filologiem Heynem. Tam poznał Jerze-

go Forstera, towarzysza drugiéj podróży kapitana Cooka około świata, i odbył z nim r. 1790 naukową wycieczkę nad Renem, któréj owocem było pierwsze publiczne pismo jego: „Postrzeżenia mineralogiczne nad niektóremi bazaltami nad Renem“. W tymże roku skończył się jego zawód uniwersytecki.

W następnym roku uczył się górnictwa pod sławnym Wernerem w Freibergu w Saksonii, gdzie miał towarzyszem nauk znanego późniéj zaszczytnie Leopolda Bucha. W r. 1792 wszedł jako górnik w służbę publiczną, w któréj zostawał do 1797 r. W ciągu czasu tego odbywał różne mniejsze i większe urzędowe i naukowe podróże, jako to: do Bawaryi, Salcburga, Galicyi, Wiednia, nad Wisłę, do Tyrolu, Szwajcaryi, północnych Włoch i t. d. Wyszło też wtedy dzieło jego, które na autora oczy uczonych zwróciło: „*Ueber die gereizte Muskel- und Nervenfaser.*“

W r. 1797 umarła mu matka. Odziedziczywszy spólnie z bratem swoim znaczny majątek, powziął myśl odbycia zamorskiéj podróży. Udał się wprzód do Jeny, którą wówczas pierwsze naukowe i artystyczne znakomitości czyniły ogniskiem oświaty Niemiec. Tu dojrzał plan podróży. Wojna i inne przeszkody opóźniły nieco wykonanie tego zamiaru. Dopiero r. 1799 udał się Humboldt do Paryża, gdzie poznawszy się z Bonplandem, z nim razem podróż do Ameryki odbyć postanowił. W tym samym kraju, w którym jeograficzny odkrywca Ameryki, Kolumb, znalazł także naukowy odkrywca jéj, Humboldt, środki i poparcie w swojem przedsięwzięciu—w Hiszpanii. Podróżnicy wypłynęli w czerwcu 1799 r. z Korunny, i dopiero po pięciu latach 1804 r. w sierpniu powrócili do Europy, wysiadłszy na ląd z niezmiernemi skarbami wiedzy w Bordeaux.

Nie odrazu skarby te stały się własnością publiczną. Wprzód odbył jeszcze Humboldt podróż naukową do Włoch, celem zbadania Wezuwiusza. Następnie towarzyszył księciu Wilhelmowi pruskiemu w misyi dyplomatycznéj do Paryża. Odtąd, od r. 1807, zamieszkał stale w téj stolicy świata, gdzie razem z towarzyszem podróży Bonplandem, wzywając pomocy wielu sławnych badaczy i uczonych, pomiędzy którymi byli: Arago, Gay-Lussac, Cuvier, Latreille, Klaproth, Kunth, Oltmann i in-

ni, zaczął wydawać owo olbrzymie dzieło: „*Voyage aux régions équinoxiales du Nouveau Continent*“, które wychodziło od 1809—1831 r., a którego cena, za jeden egzemplarz kompletny, wynosi około 3000 tal.

Bez względu na wypadki i zmiany polityczne, mieszkał Humboldt w Paryżu aż do 1827 r. W r. 1822 towarzyszył Fryderykowi Wilhelmowi III w podróży do Włoch. Na życzenie jego przeniósł się wreszcie na stałe mieszkanie do Berlina. Tu, jak poprzednio w Paryżu, czytał publicznie zimą w latach 1827 i 1828 kurs „fizycznego opisu świata“, z którego powstał późniejszy „Kosmos“.

W podeszłym już wieku, bo miał lat 60, odbył Humboldt, na życzenie Cesarza Mikołaja, jeszcze jednę wielką podróż do Azyi, w towarzystwie młodszych badaczów nauk przyrodzonych, Rosego i Ehrenberga. Owocem téj podróży, która trwata blisko jeden rok, były dzieła: „*Fragments de Géologie et de Climatologie asiatique* (1831)“ i drugie obszerniejsze „*Asie centrale. Recherches sur les chaines des montagnes et la climatologie comparée* (1843)“.

W następnych latach używany był Humboldt do missyj dyplomatycznych do Paryża, gdzie znów raz po raz dłuższy czas aż do r. 1848 przemieszkiwał, żyjąc w bliższych stosunkach z królem Ludwikiem Filipem i jego rodziną. W r. 1835 d. 5go kwietnia stracił brata swego Wilhelma. W r. 1841 towarzyszył królowi Fryderykowi Wilhelmowi IV w podróży do Anglii, w r. 1845 do Danii.

Ostatnie dwadzieścia lat życia swego, przez które mieszkał to w Berlinie to w Poczdamie, w bliskości dworu, którego był szambelanem, poświęcił Humboldt opracowaniu i wydaniu ostatniego swego pomnikowego dzieła „Kosmosu“. Pierwsze cztery tomy wyszły w latach 1845—1858. Piątego tomu wyszły trzy arkusze, reszta przygotowana w rękopiśmie. Gdyby wielki pisarz dłużéj był żył, dzieło to byłoby parą dalszemi tomami pomnożone.

Aleksander Humboldt miał lat blisko 90, kiedy wybiła godzina zgonu jego. Rzadko taki wiek, takie zdrowie i tyle innych okoliczności sprzyjało obdarzonemu wielkim duchem śmiertelnikowi, aby spełnił misyą swoję na ziemi. Rzadko też który spełnił ją z taką skoń-

czonością i sumiennością. Humboldt żył może za długo, duchowo i naukowo może za wiele, dla sławy drugich, pokrewnych mu powołaniem i pracą mężów. Ale nie żył za długo ani za wiele dla sławy swojéj, dla dobra ludzkości. Był on dobrym jéj jeniuszem, wskazującym jéj drogi, któremi ku przeznaczeniu swemu zdążać powinna. Jasny, głęboki, przewidujący, wolnomyślny, bezstronny, prawy, sumienny, życzliwy, a przy tem wszystkiem skromny, zewnętrznemi honorami, któremi go świat obsypał, pogardzający, dla najwyższego i dla najniższego równą uprzejmość i grzeczność i usłużność okazujący, w całem znaczeniu słowa humanitarny umysł, żył on w ostatnich latach w Berlinie otoczony czcią, jaką tylko się ma i okazuje dla najwyższéj powagi i doskonałości mężów, dla największych rodu ludzkiego dobroczyńców. Odsłaniały i uginały się głowy najmłodszych i najstarszych ludzi, gdziekolwiek mędrzec wieku pokazał się publicznie. Tak tylko Spartanie czcili starców swoich. To też i pogrzeb wielkiego męża odpowiadał temu powszechnemu uwielbieniu. Program do niego przepisany miał oficyalny charakter. Ale nieprzeliczone tłumy wszystkich klas i stanów stołecznéj publiczności, towarzysząc zwłokom, nadały obrządkowi charakter ludowy. Odbył się on dnia 10go miesiąca maja przed południem. Ciało wystawione było do wieczora w nadwornéj królewskiéj katedrze, zkąd przeprowadzono je do Tegla, dziedzicznego majątku Humboldtów, leżącego półtory mili od Berlina. Tam w grobie familijnym, osobno w pięknym parku zbudowanym, złożone było dnia następnego, obok zwłok brata Wilhelma. Lud miejscowy i liczna publiczność berlińska były świadkami tego ostatniego żałobnego obrządku. Humboldt umarł bezżennie i bezdzietnie.

Zstąpiło do ziemi ciało człowieka, ale duch który w niem mieszkał, żyć będzie nieśmiertelny dziełami swemi w rodzie ludzkim, któremu był i długo jeszcze będzie przewodnikiem na drogach prowadzących do królestwa bożego na ziemi.

Paryż w maju.

Wojna, wojna i jeszcze raz wojna! Oto jedyny przedmiot myśli, rozmów i zabiegów nietylko Paryża, nietylko Francyi, ale całej Europy. Dlatego, biorąc pióro do ręki w chwili obecnéj, każden niepolityczny korespondent wie z góry że go nikt czytać nie będzie — a w najlepszym razie przerzuci jak przeszłoroczną gazetę, myśląc tymczasem o tem, co we Włoszech się dzieje. Nie wielka to zachęta dla owego korespondenta, a talent jego znika tem bardziéj, że w miarę braku powszechnego zajęcia, i pole niepolitycznych wieści pustoszeje. Książki nie wychodzą, plotki ustają, interesa prywatne milkną w obec interesu ogólnego, wszelkie wypadki z których moralne życie społeczności złożone, wszelkie wymysły dramaturgów, stają się niegodnym wzmianki drobiazgiem obok dramatu odgrywanego obecnie na klasycznéj ziemi.

Jeżeli nie możesz opisywać scen które teraz tam przedstawia wojna — albo tych które trzęsły Paryżem, podczas przechodu śpieszących do Włoch pułków, lub podczas odjazdu Cesarza Napoleona — jeżeli nie możesz malować tych na zawsze pamiętnych obrazów, tego jedynego w swoim rodzaju widoku półtora miliona ludzi zjednoczonych jedną myślą, ożywionych jednym zapałem... jeżeli o tem wszystkiem milczeć musisz — połam lepiéj pióro biedny korespondencie, bo powtarzam, chociażbyś był mądry jak Salomon — dramatyczny jak Szekspir — dowcipny jak Heine, nikt cię czytać nie będzie.

Podziękowawszy Bogu że tak jest — że mało jeszcze na świecie filozofów, którzyby jak Goethe z księciem Nassauskim mogli podczas bitwy rozprawiać o *rozszczepianiu światła*, biorę się do pisania, bacząc na to, że *Dodatek* wyjdzie i pod rubryką Francyi pustych kartek zostawić nie powinien.

Ażeby choć w części wynagrodzić sobie moją przymusową na epizody wojenne ślepotę, zaczynam od wyprawy scyentyficznéj — wyprawy, któréj znaczenie jakkolwiek dzisiaj znika, jeżeli się powiedzie, zwróci na siebie uwagę świata.

Chcę mówić o ekspedycyi którą pan Miani z pomocą rządu francuzkiego celem wykrycia źródeł Nilu urządza. Wenecyanin ten, zamieszkały od kilkunastu lat w Kairze, czas na wygnaniu pędzony poświęcił zwiedzaniu wyższego Egiptu. Podróżując i obserwując, dołączając do własnych spostrzeżeń doświadczenia pana Lauture, który podobnéj ekspedycyi zaniechał, Miani wpadł na myśl, że Nil jak również rzeki Zangebaru muszą mieć wspólne źródło w wielkiem jeziorze leżącem pod równikiem u wulkanicznych gór Afryki środkowéj. Każdego bowiem roku podczas peryodycznych deszczów które skrapiają pas zwrotnikowy, Nil wzbiera i ogromny przypływ wód wylewa na okolice.

Ażeby dojść do źródeł Nilu, pan Miani nie będzie się trzymał dróg swoich poprzedników, którzy puszczali się tą rzeką w górę, i natrafiwszy na nieprzełamane przeszkody musieli powracać z niczem. Nowy badacz puści się jedną z rzek Zangebaru, i nią dopłynie do wielkiego jeziora które jest celem jego poszukiwań, a które, jak sądzi, odległe jest tylko o sto mil od miejsca, gdzie na statek wsiądzie. Dopłynąwszy do tego jeziora, zamierza szukać koryta Nilu i niem powrócić do Egiptu.

Stósownie do tego planu, Miani sporządził kartę Nilu i przysłał ją paryzkiemu Towarzystwu geograficznemu, które téj pracy całkowite dało uznanie, a co większa, wyjednało przedsięwzięciu materyalne poparcie.

Na przedstawienie Towarzystwa, minister spraw zagranicznych i minister wojny przyrzekli Wenecyaninowi pomoc rządu francuzkiego: arsenały państwa wydały mu broń i amunicye potrzebne dla wyprawy i eskorty, która będzie dość liczną; sto flint i trzy tysiące nabojów posłano z Tulonu do Aleksandryi (egipskiéj).

Ekspedycya wyruszy z Chartum, osady położonéj w górnym Egipcie. Miani zabiera z sobą zapas wyrobów złotniczych, oraz rozmaitych towarów europejskich na podarunki dla książąt afrykańskich i na handel; wyprawa jest zarazem naukowa i handlowa. Skrzętny Włoch nietylko z uczonymi w Paryżu traktował. Pozawierał on także umowy z tutejszymi kupcami o dostawę produktów afrykańskich wielkiéj wartości, jak słoniowéj kości, korali, indygo, futer itp. przedmiotów, których handel stolicy zbytku nader jest chciwy.

Cała ta ekspedycya prowadzoną jest roztropnie i przezornie. Członkowie wyprawy zaopatrzyli się w kirysy, metalowe maski chroniące od żądła jadowitych owadów; mają także maski tekturowe przerażających rysów i ogromnych rozmiarów, dla odstraszania dzikich Afrykanów. Żywności żadnéj z sobą nie biorą, ażeby daremnie nie obciążać statku — w tamtych bowiem stronach podobno łatwo wyżyć można z polowania. Eskorta Mianiego składa się po większéj części z negrów, wysłużonych w wojsku wicekróla Egiptu żołnierzy.

Skoro już wszystko będzie gotowe, wyprawa rozdzieli się na dwie części: jedna popłynie Nilem, dopóki nie natrafi na nieprzebyte trudności; druga pod przywództwem Mianiego przejdzie pustynię, wsiądzie na okręt w Suakim nad morzem Czerwonem, i uda się do Aden, a ztamtąd do Zanzibar. Stanąwszy na stałym lądzie Afryki, puści się jedną z rzek Zangebaru; przebędzie najprzód kraj już zwiedzany przez misyonarzy protestanckich — którzy sto mil wgłąb Afryki już zaszli — po czem, doszedłszy do stref, do których żaden jeszcze europejczyk nie dotarł, wyprawa starać się będzie dostać do jeziora, z którego, jak powiedziałem, Miani początek Nilu wywodzi. Tam doczekawszy przypływu wody, podróżni puszczą się na powrót tą rzeką i połączą się z pierwszą połową ekspedycyi, która czekac na nich będzie w najdalszym punkcie do jakiego dopłynąć zdoła.

Taki jest program podróży. Do jéj członków należy malarz Dumas, kapitan marynarki Peyhoux, który będzie obliczał szerokość i długość geograficzną, oraz prowadził statki po wielkiem podrównikowem jeziorze. Prócz nich, jedzie z panem Miani, sekretarz, lekarz, naturalista i chemik. Wszystkie te osoby przed tygodniem wyjechały z Paryża do Egiptu.

Byłaby to rzecz dziwna, żeby Wenecki wygnaniec, nie geograf, i nie uczony — rozwiązał za jednym zamachem aż dwa problemata, nad któremi uczeni przez tyle wieków daremnie głowy sobie łamią: żeby odkrył źródła Nilu i wytłómaczył fenomen peryodycznego wylewu wód téj rzeki.

Pomimo wojny, Francya nie tylko scyentyficznemi zajmuje się wyprawami, ale i wewnątrz po dawnemu

zabiegliwie gospodaruje. Roboty przedsięwzięte przez Municypalność paryzką celem przebudowywania i upiękniania miasta, idą swoją drogą, i co dzień większe przybierają rozmiary. Nie wiedzieć, co więcéj podziwiać w tem zadaniu, czy trafność pomysłów, czy ich szybkie wykonanie.

Sprężysta dzielność, która strasznym czyni żołnierza francuzkiego, prezyduje pokojowym zdobyczom robotników paryzkich. Energia ich zdumiewa. Zaledwie zakupione rzędy domów, znikają pod młotami jakby trąbą powietrzną porwane — a z tych płodnych ruin wytryskają wnet nowe ulice, nowe place, nowe jasne, czyste i pożyteczne budowle.

Nie strudzony tysiącem dzieł dokonanych po których mógłby jak Bóg po stworzeniu świata odpocząć — Paryż gotuje sobie nową tytaniczną pracę: za rok ma zwalić opasujące go mury i pochłonąć w siebie blisko 400,000 ludzi. Czekając wykonania téj roboty, która teraz na papierze się uskutecznia, budują się pomniki, ogrody, pałace, tak szybko, że ta cała transformacya wydaje się zmianą dekoracyj teatralnych. Ale zbytek i pożytek postępują tu zawsze porówno — jak dwaj żołnierze w szeregu — i dla tego najdziwniejsze wymysły pierwszego, usprawiedliwia gorliwość, z jaką jednocześnie wymogi drugiego są zaspokajane. Ochrony, szkoły, szpitale, domy przytułku i domy zdrowia, rosną społem z muzeami, pałacami, teatrami, cyrkami, ogrodami, kaskadami i całą zbytkowną architekturą.

Do rzędu budowli użytecznych przybył teraz olbrzymi zakład, tak zwany *Maison municipal de Santé*, zbudowany za 4,466,692 fr. na miejscu które niegdyś zajmował stary i brudny szpital zawiadywany przez sławnego chirurga Dubois, i od jego nazwy szpitalem *Dubois* zwany.

Nie jestto zakład dobroczynny we właściwem znaczeniu tego wyrazu, ale dom zdrowia urządzony wzorowo i zawiadywany przez administracyę miejską. Chorzy są przyjmowani za opłatą dzienną, która chociaż dość znaczna, bez porównania jednak jest niższą od kosztów jakie pociąga za sobą w domu odbyta choroba.

Ceny Municypalnego Domu zdrowia podzielone są na sześć klas — których różnicę stanowi tylko cena po-

mieszkania: usługa i jadło wszędzie jedne. Najniższa opłata jest 4 franki dziennie, a najwyższa 15. Zakład mieści trzysta łóżek. Za cztery franki chory zajmuje pokój mieszczący cztery łóżka; płacąc sześć, ma jednego towarzysza; mieszkanie osobne dostaje dopiero za 8 fr.; płacąc 15, ma cały apartament złożony z przedpokoju sypialni i salonu.

Jeżeli zważymy że tą opłatą dzienną objęte jest nie tylko mieszkanie, ale jadło, opał, lekarz, chirurg i lekarstwa wszelkiego rodzaju, kąpiele i operacye, nawet amputacye i połogi — słowem że dom ten gromadzi w sobie wszelkie środki uzdrawiania lub ulgi, wynalezione do dziś dnia przez najdaléj posuniętą medycynę — powyższa cena w porównaniu z życiem paryzkiem, nie wyda się wysoka, ale zadziwiająco nizka.

Nowy Dom Zdrowia ozdobiony trójkolorową chorągwią, wygląda jak gmach rządowy. Przód budynku zajmują bióra, sale konsultacyi, pokoje lekarzy i mieszkania urzędników. Skrzydło budowli przeznaczone dla chorych znajduje się w głębi, daleko od ulicy. Po jednéj stronie ma wielkie podwórze w którem mieszczą się kuchnie, apteki, łaźnie, zielarnie, pralnie i suszarnie — po drugiéj obszerny ogród.

Na trzech piętrach mieści się trzysta łożek — postawionych po kilka razem lub osobno. Cały zakład zajmuje przeszło piętnaście tysięcy metrów gruntu. Rozkład, porządek, czystość i cichość uderzają przychodnia na wstępie. Po bliższem rozpatrzeniu się, podziwiać musi praktyczność połączoną z elegancyą, która kierowała tak ogólnym zarysem jak najmniejszemi szczegółami.

Cienkość bielizny, usłanie łóżek, gatunek podawanych potraw, sprzęt kuchni i sprzęt łaźni, wszystko to zaleca się uczciwą dostatniością przypominającą nasze dawne domy polskie, a tak rzadką we Francyi.

Urzędnicy wyznaczeni przez Radę miejską trudnią się zarządem zakładu. Najznakomitsi lekarze paryzcy przyjęli obowiązek codziennego wizytowania *Domu zdrowia*; lekarzy mieszkających na miejscu jest dwunastu; posługaczy specyalnie zajmujących się chorymi, pięćdziesięciu, oprócz wielu innych, tak że oprócz aptekarzy, uczniów trudniących się opatrywaniem i rozdawaniem

lekarstw, zakład posiada 85 osób zajętych pielęgnowaniem chorych, których liczba nie może przechodzić trzystu.

Budując powyższy zakład, Paryż chciał dać całéj Francyi wzór *Domu zdrowia*, który przez to tylko że nie jest spekulacyą, jest dobrodziejstwem, a dobrodziejstwem nie upokarzającem nikogo, bo nie dawanem z łaski, za darmo — ale sprawiedliwie, za pieniądze.

Dom ten zbudowany na przedmieściu Saint-Denis, natychmiast zapełniony został. Chorzy mający wstręt do szpitala, i wszelkiego łaskawego chleba, tu cisną się tłumnie. Zwiedzających nową budowę ludzi, tak z Paryża jak z prowincyi i z zagranicy, mnóstwo. Słychać że nie zadługo podobny temu zakład stanie w Lyonie — w Paryżu jeszcze tego lata ma stanąć drugi Municypalny Dom zdrowia. Kiedyż nasze miasta na podobne gmachy się zdobędą?

Rzym w maju.

Kronikarz rzymski gdyby poczynał teraz swe sprawozdania od meteorologicznych spostrzeżeń jak to wielu dzisiejszych Cyceronów i Pliniuszów zwykło czynić w swojéj korespondencyi, musiałby ustawicznie wpadać w sielankę; południowa bowiem wiosna, która tu nas otacza, objawia się w całéj pełni swych wdzięków. Wszystko dokoła zieleni się i kwitnie; niesłychną i zdumiewającą jest moc kwiatów, jakie włoska ziemia wydaje z niewyczerpanego łona swego; wille i ogrody, same zwaliska Palatynu czerwienią się od róż tak iż zieloność pod kwieciem znika, a jednolity różowy kobierzec zewsząd się oku przedstawia. Poglądając z Monte Pincio na leżącą pod tym pagórkiem willę Borghese, spostrzega się jednę kwitnącą gęstwinę, z któréj upajająca woń wzbija się i zawiewa. . . .

Pośród tak rozkwitłéj natury, jakby na usprawiedliwienie jéj odświętnego stroju, zstępowało przed niewielą dniami z krużganku ś. Piotra uroczyste błogosławieństwo Następcy Piotrowego, miastu i światu udzielone. Byliśmy obecni temu nieopisanemu żadnem słowem wi-

dowisku.... Nad stutysięcznym ludem tak uciszonym, iż słychać w onéj chwili szmer wodotrysków bijących pośród placu i lot krążących pod gankiem gołębi, powstaje znagła jak apokaliptyczne widzenie postać niebieskiego Klucznika w potrójnéj koronie, w cieniu wielkich wachlarzy z białych piór naśladujących dwoje rozwianych skrzydeł.... Postać ta ukazująca się na wysokościach, niby w apoteozie, na pół wniebowzięta, otwiera swe ramiona ku ogarnięciu i przytuleniu świata całego do serca, a potem wznosi je i wyciąga ku obłokom wymawiając wyrazy powszechnego błogosławieństwa i pokoju, tak jak Mojżesz wyciągał dłonie podczas bitwy dla zjednania zwycięztwa Izraelowi..... Wtedy tysiączne tłumy gdyby jeden człowiek padają na kolana..... Rozkrzyżowany napowietrznie starzec w téj wszechwładnéj postawie, jaką boski Rafaela pendzel nadał Ojcu Przedwiecznemu, gdy wymawia: *Fiat lux!* panuje nad temi tysiącami, panuje nad siedmiorgiem pagórków, nad Kapitolem, nad Palatynem, nad pałacem Cezarów, zkąd rządził August, pod którym Chrystus się narodził, i Tyberyusz; pod którym Chrystusa umęczono, panuje nad lądami, wyspami, oceanami, nad światem całym, *orbi!*..... W téj urostystéj chwili niebieskiego urzędu błogosławienia, jaki z góry otrzymał, Pius IX mocno był wzruszony.... Z wysokości fary świata i ze szczytu swego posłannictwa obejmując okiem ziemię całą, nad którą przełożon jest od Pana, przeczuł on wypadki groźnie wzbierające jak wały morza, usłyszał krzyk boleści, nadziei i konania wyrywający się z piersi całego narodu, przejrzał ogromny rozlew krwi chrześciańskiéj, która już teraz, w kilka dni późniéj, strugami płynie po niwach pięknéj Italii rozzielonionych, rozkwitłych, oczarowanych od maju, przystrojonych od wiosny jak łoże oblubienicy na przyjęcie nowożeńca... i serce jego ojcowskie ściśnione nagle tym rozdzierającym widokiem niezdołało poskromić wzruszenia... Widzieliśmy Papieża zalanego łzami... głośne szlochanie modlitwę mu przerwało, i Ojciec ludzkości jak biblijny patryarcha zaniósł się od płaczu nad krwią ściekającą po szacie syna jego najdroższego.....

Ale poprowadźmy daléj przerwany od miesiąca ciąg odwiedzin naszych do pracowni artystów polskich za-

mieszkałych w Rzymie. Zwyczajnym nam trybem pocznijmy od rzeźbiaży:

Między tymi Sosnowski, którego wypadało nam wzmiankować na czele naszego opisu, gdybyśmy się byli trzymali jakiejkolwiek klasyfikacyi, najpierwsze a ze wszech miar zasłużone zajmuje miejsce. Od lat najmłodszych umiłował on sztukę z namiętnością kochanka, a co nierównie jest rzadszem w jego społeczeńskiem położeniu, poświęcił jéj całe życie, albowiem będąc milionowym panem, potomkiem znanego w przeszłowiecznych dziejach naszych hetmana litewskiego, usunął się od wygód i towarzystwa, stał się dobrowolnym pustelnikiem i ścieśnił widnokrąg swego żywota i towarzyskiego stanowiska do obrębu swojéj pracowni. Tam sam na sam z wzorami sztuki starożytnéj, z natchnieniami swemi, z tym duchem Sokratesa, który zwykł wodzić na ustronia ulubieńców swoich i tam im szeptać wśród ciszy rozwiązanie sfinksowych zagadek, pasował on się z trudnościami formy i stawał się jéj władcą. Sztuka niezapomniała mu też ofiar i statecznéj wierności; boska ta kochanka wdzięczniejszą jest od ludzi i wynagradza swych miłośników wyższością, jakiéj tamci dać nie mogą, jakiéj udzielić nie zdoła sama natura. Sosnowski napojony klasycznemi wzorami i pięknościami włoskiego snycerstwa, dorównał wkrótce najcelniejszym Półwyspu rzeźbiarzom. Co do klasycznéj doskonałości wykonania nikt z naszych snycerzy stanąć obok niego nie potrafi.

W Sosnowskim znać pełność nie tylko talentu, ale też nauki, pracy, wszechstronnego wykształcenia. U wielu naszych polskich artystów przy bujnéj wyobraźni i wielkich zdolnościach uderza przeciwnie niemowlęctwo formy, z którego talent ich na próżno usiłuje się wykluć jak niedorosłe pisklę z jajka. Zamiast kopiować przez lat kilka wielkie wzory starożytności, zamiast zamykać się długi czas w pracowni dla ćwiczenia się w samym rysunku i proporcyach opodal od wszelkiego oka, biorą się oni natychmiast do rzeźby i malarstwa na wielką skalę, i dają nam niedowarzone utwory, na wartości których nikt oprócz artysty samego zawieść się nie może. Nie wspominalibyśmy o tym niepochlebnym i przykrym szczególe, gdyby nas z jednéj strony nie zniewalało do tego głośne sarkanie cudzoziemców zarzuca-

jących brak studyów a nawet często nieuleczoną mierność polskim artystom, tak jak zarzucają brak wszelkiego artystycznego zmysłu i uczucia polskiemu ogółowi; a gdyby z drugiéj strony nie zachęcał nas do wystąpienia w obronie artystów i publiczności chlubny przykład Sosnowskiego, dowodzący, że i u nas są przecież wyjątki i że jest mniejszość w narodzie nie licząca się do szeroko rozrodzonego między nami rodzaju artystycznych kretów.

Z robót dających się widzieć obecnie w obu Sosnowskiego pracowniach, następne na osobliwą zasługują wzmiankę:

Olbrzymi marmurowy Chrystus siedzący na cherubinach. W lewicy trzyma krzyż, prawicę zaś wyciąga ku ludziom; uwielbiony wyraz oblicza i podnóże gwiazdami usiane dowodzą, że zmartwychwstał i wstąpił na niebiosa. Jestto wspaniałe dzieło, warte zdobić wnętrze którego z największych kraju naszego kościołów.

Najświętsza Panna Niepokalanego Poczęcia, posąg marmurowy naturalnéj wielkości. Bogarodzica z rozpuszczonemi włosami i z dłońmi złożonemi na piersiach, unosi się na księżycu depcąc piekielnego węża. Piękność twarzy, lekkość postawy, naturalność draperyi, wszystko uderza w tym utworze obstalowanym przez jednego z obywateli Ukrainy.

Tadeusz Czacki, posąg marmurowy naturalnéj wielkości. Czcigodny mąż pełen godności i powagi tem oczywistszéj w marmurze, co potęguje i uwiecznia wyraz wszystkich wielkich a beznamiętnych uczuć, opiera się jedną ręką na stosie dzieł swoich złożonych na kolumnie, w drugiéj zaś trzyma zwój pargaminowy z ustawami swego narodowego zakładu. Utwór ten przypomina nam sławny posąg Machiawela przez Bartoliniego pod portykiem degli Uffizi we Florencyi, gdzie nieśmiertelny Włoch postawą zbliża się do Czackiego i jak on opiera się prawicą o kolumnę, na któréj snycerz wyobraził połączone herby wszystkich państw włoskich, jako godło téj jedności, która przez wieków tyle była ustawicznem marzeniem wszystkich Italii jeniuszów, a między innemi i wiekopomnego a niesłusznie przez potomność potępionego florentczyka.

Anioł Zmartwychwstania trzymający trąbę sądu ostatecznego: płaskorzeźba naturalnéj wielkości. Jest ona przeznaczona do kościoła Kapucynów w Warszawie i będzie zdobiła nagrobek jednego z obywatelów naszych. Szkoda tylko, że zbytek herbowych godeł, koron i ozdób, z hiszpańską hojnością szafowanych, oszpeci nieco prostotę ślicznego pomnika. Nie jestto bynajmniéj winą artysty, albowiem w obstalowanych pracach potrzeba się nieraz stosować do najrozliczniejszych wymagań, a jedną z niepoślednich uciążliwości, jakie obarczały wielkich malarzy *del cinquecento*, były owe figury donatorów kościelnych, które musieli pomimo różnicy stroju i osobistéj wartości wprowadzać w poczet świętych i umieszczać jak np. w *Madonie z Foligno* u stóp Bogarodzicy lub świętych pańskich.

Sprawiedliwość, posąg marmurowy naturalnéj wielkości. Nie jestto Temis pogańska ze zwykłą szalą w dłoni, lecz niewiasta uosobiająca chrześciańską cnotę. Artysta ją wyobraził w fałdzistéj szacie siedzącą na sądowéj stolicy. Miecz spoczywa na jéj kolanach, a w ręku jéj widać otwartą księgę z temi słowy: *Suum cuique.*

Mojżesz kolosalny z marmuru. Od kiedy Michał Anioł zostawił na żylastem kolanie swego Prawodawcy ślad młotu, którym go uderzył, w uniesieniu wołając doń: *Parla!* wypadało wszystkim późniejszym artystom z wielką ostrożnością i religijną niemal obawą przystępować do wyobrażeń naczelnika wybranego ludu. Przedmioty raz dotknięte palcem jeniuszu to mają do siebie, iż wyszczególniają się natychmiast z ogółu innych, i odnoszą pewne kapłańskie namaszczenie niedozwalające już pierwszéj lepszéj ręce znieważać je bezkarnie świętokradzkiem piastowaniem. Sosnowski w śliskiem i niebezpiecznem zadaniu swojem potrafił nie rozbić się o straszliwy szkopuł tego mówiącego i gromowładnego marmuru, i niepopaść w naśladownictwo i w płaskość. Mojżesz jego stojący poważnie z tablicami prawa w ręku, żyje własnem samodzielnem życiem. Nie oblcka on dumnych atletycznych kształtów swoich w łachmany i okrawki jeniuszu; tem *otworzystem czołem*, które Rej poczytywał za najprzedniejszą Polaka cechę, tłómaczy on po hebrajsku znane polskie przysłowie: *Szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie.* Wspanialszym jest, po-

tężniejszym, wyższym ze wszech miar od Mojżesza, który zdobi podnóże nowéj kolumny Niepokalanego Poczęcia w Rzymie; należy on niewątpliwie do najznakomitszych płodów polskiego dłóta.

Wiktoria siedząca, marmurowy posąg naturalnéj wielkości dotąd nieskończony. W jednem ręku trzyma palmę, w drugiem wieniec laurowy. Czoło jéj jaśnieje grecką pogodą i harmonią; szata lekko na barki zarzucona spływa z nich i odsłania pierś rzadkiéj piękności. Żadnéj przesady, nic wymuszonego w tym posągu; rzekłbyś że te fałdy ułożyły się na swobodnem powietrzu Hellady i że niem tylko oddychała ta pierś nieznosząca rąbka. Sosnowski w tym utworze okazał się znakomitym i władającym formą snycerzem; cała przestrzeń świetnego artystycznego zawodu i cała wyższość prawdziwego natchnienia dzielą go od tylu niedowarzonych Fidyaszów naszych.

Wielkie malarstwo religiine można powiedzieć iż za dni naszych ustało całkiem na Półwyspie jak w reszcie Europy; szkoła tylko niemiecka usiłuje mniéj więcéj udatnie przywrócić mu czasy Perugina i brata Anioła z Fiesole; ale najczęściéj pomimo znakomitéj rysunkowéj wartości jéj płodów, pomimo czystości i poprawności linij, wieje od nich jakieś zimno, i czuć że średniowieczna forma naiwna jak legenda a nieraz jak ona pełna cudownéj poezyi, jest u niemieckich mistrzów bezdusznem naśladownictwem, jemiołą na obcym konarze wyrosłą, prostą konwencyonalnością podszywającą wszystkie myśli pod jednostajne kształty raz na zawsze pożyczone u pierwotnéj szkoły florenckiéj. Dla szkoły niemieckiéj sztuka tak wczoraj jak dzisiaj, tak dzisiaj jak jutro, obraca się między Giottem a Piotrem Vanuccim; Rafael uczeń tego ostatniego jest już po za jéj widnokręgiem; najpierwszy to dla niej *poganin* malarstwa. Nie trzeba tylko zapominać, że stokroć łatwiéj być chrześcianinem sposobem tych panów i ich dyptyków i tryptyków pozbawionych zachwytnych pociągów brata Anioła a zimnych jak bizantyńskie ikony, niżli być poganinem sposobem Rafaela i jego *Przemienienia*. Obok niemieckiéj tedy szkoły ograniczającéj się na formie, wskróś któréj pomimo najlepszych chęci malarzy przebija nie liliowa czystość średniowiecznych natchnień, ale niemie-

cka uczuciowość Novalisa umywająca się zimnemi łzami i przeżuwająca ustawicznie błękitne niezapominajki, żaden we Włoszech artysta nie podniósł za dni naszych uronionego pędzla religijnéj szkoły rzymskiéj, weneckiéj lub nawet bonońskiéj, która mimo opłakany *seicentismo*, w jaki w rychle wpadła, i mimo baroki z jakiemi graniczy, wiele nieśmiertelnych wydała utworów. Natomiast namnożyło się tak zwanych rodzajowych malarzy; liczba ich wzrosła do straszliwéj sumy. Rodzajowe malarstwo jest jak poligrafia w literaturze, eklektyzm w filozofii a kosmopolityzm w narodowości; naznacza ono sobie zakres tak szeroki, iż wszystko się w nim mieści, wszystko oprócz sztuki pojętéj w sposób wielkich mistrzów XVI wieku, oprócz ideału. Rodzajowe malarstwo zakłada sobie za cel najwyższy wierne natury naśladowanie, jest ono ostatecznym wyrazem naturalizmu w przeciwstawieniu z idealizmem mniéj więcéj trafnie pojętym ale wspólnym wszystkim wielkim szkołom włoskim. Podczas gdy starożytna Hellada ludzkość uszlachetniła i podnosiła w marmurze usiłując przez swoje *spirantia signa* oddać bogów i półbogów takimi, jakimi je wymarzył liryzm i epopeja, i zidealizowaniem znikoméj naszéj formy wyrazić i oczywistem uczynić olimpijskie ich pochodnie, podczas gdy wielkie szkoły malarstwa, poczynając od umbryjskiéj a kończąc na bonońskiéj, wychodziły z téj zasady, iż sztuka wyższą jest od natury upadłéj i grzechem skażonéj, lecz usiłującej się podnieść i wyzwolić przez nią, i że przeto głównem, ba, jedynem zadaniem sztuki jest ciągłe idealizowanie naszéj ziemskiéj powłoki, ciągłe odbijanie piękna w źródlanéj jego czystości widnéj jeszcze niekiedy w tajnikach ludzkiego ducha, lecz już zamąconéj w świecie zewnętrznym i znikłéj od dawna podobnie do téj pierwotnéj bujności roślinnego państwa, o któréj nam tyle mówią geologowie; — rodzajowe malarstwo nie zakłada sobie tak wyniosłych celów, nie stara się doścignąć przyrody ustawicznem onéj prześciganiem, i za pomocą widomych znaków rozpalić w sercach widzów zapał ku niewidomym rzeczom, pociągać ich przez oczy ku wyższym sferom jak Beatryx pociągała Danta, rozmarzać ich poetycznie i niebiańsko spokojnym blaskiem przedwiecznego nadzmysłowego bezpożądliwego piękna, jak promieniem gwiazdy

o miliony mil zdalonéj, którą lubiemy podziwiać w błękitach nocy letniéj: nieodrodne dziecię swego wieku, usiłuje ono największe skutki osięgnąć najmniejszym zabiegiem, panować spokojnie pośród widomych rzeczy bez najmniejszego kłopotania się o niewidome, o filozofią sztuki, o idealne znaczenie wielkiéj symbolistyki Stworzenia, której malarz bywał dawniéj tłómaczem. Dzisiaj Horacyuszowskie *Ut pictura poesis*, straciło swe znaczenie i dowodzi najwięcéj, że poezya winna być prostym natury i materyalnego świata wyrazem, to jest nie tem nawet idealnem echem powszechnego życia, jakie się odzywa w rytmach wielkich wieszczów, ale zwyczajnym inwentarzem przyrodzenia, odwzorowaniem martwéj jego i namacalnéj strony. Malarstwo rodzajowe wyrzekło swoje ostateczne słowo gdy nam dało wizerunek modelki lub kolorową fotografią przedmiotu; o myśl filozoficzną, o piękność idealną, jaka promieni się z oblicza Madonny *del Cardellino* lub ś. Michała Guida Reniego, nie pytaj go nawet; odpowié ci po prostu, że naturę naśladuje, a że zaś tego rodzaju piękności niemasz w naturze, że są nienaturalnemi. Taką miarą sztuka zamiast panować wszechwładnie nad materyalnym światem i środkować między rzeczywistościami widomemi a rzeczywistościami niepodpadającemi pod zmysły, staje się tylko bladą Stworzenia kopią, cieniem nieco trwalszym od tego, który za światłem się wlecze jak towarzysz żałobny. Ależ, pytam panów malarzy dzisiejszych, jeśli sztuka jest jedynie przenoszeniem na płótno bezmyślnéj rzeczywistości materyalnego świata, bez natchnienia, bez poezyi, bez westchnień do ideału, jeżeli przedmioty, które przedstawia, nie mają być niczem innem w obrazie jak tem, czem są w materyi, to czyliż nie lepiéj szukać ich w téjże naturze jak w obrazach wspomnionych panów, które ani ducha mego nie podniosą nigdy w górę, ani zdołają mię nabawić téj tęsknoty do nieskończoności, jaką zostawia po sobie wszelki objaw prawdziwego piękna? Zamiast tedy zawieszać nad stolikiem, przed którym rozmyślam, studiuję lub marzę, wyobrażenia wieśniaka, baby, pijatyki, bójki, kozy, psa, kota, wszystkiego zgoła czem gardziło wielkie, natchnione idealne malarstwo, lub co umieszczało jako dodatek na dalszym planie, a co dzisiejsi malarze

zawsze gotowi posadzić nam nad głową a jak najbliżéj, wszystkiego słowem, co mi się codziennie spotykać na ulicy przytrafia, czyliż nie będę wołał stanąć po prostu na ganku i przyglądać się temu samemu w rzeczywistości, jak zamieniać skromną szlachecką ścianę, na któréj radbym aby świeciły gwiazdy piękności lub wielkie przodków czyny, w karczmę, w okno nierządnicy, w łaźnię dziewek, w rynek lub w oborę? Godzina kontemplacyi przed nieśmiertelnemi malowidłami brata Anioła, Koredżia lub Salwatora Rozy, stanie mi za rozdział filozofii, za pieśń poematu; ale cóż skorzystałem zmarnowawszy godzinę przed konterfektem pana malarza rodzajowego? Oto chyba żem widział naturę, naturę, naturę!...

Ma się rozumieć, że powyższe uwagi są ogólnym na stan dzisiejszéj sztuki poglądem, i że nikogo osobiście nie dotykają. Rodzajowi malarze żadnéj prawie niemają w tem winy, są oni dziećmi swego wieku, ulegają pospolitéj dążności zmierzającéj ku zmateryalizowaniu wszech rzeczy. Nie można im mieć za złe, że tak sztuki nie pojmują jak ją pojmowano za Leona Xgo: czyliż się komu ma za złe, że nie był na wierzchołku Teneryfy lub że nie umié po sanskrycku, że nie jest poetą lub malarzem? Starożytne *adire Corinthum* i do dzisiejszych stosuje się artystów. Rodzajowi malarze uważani z tegoczesnego powszedniego stanowiska niezaprzeczone mają zasługi: posunęli oni bardzo daleko kunszt fotografii; nadto jeżeli za lat tysiąc obrazy ich cudem jeszcze istnieć będą, dostarczą nowemu Humboldtowi zajmujących materyi do wniosków nad stanem natury w XIX wieku.

Rodzajowe malarstwo będąc zatem na porządku dziennym, gorliwie uprawiane bywa przez rodaków naszych. Z artystów polskich w Rzymie bawiących niektórzy w niem celują; do rzędu tych należy p. Maleszewski. Odznacza się on starannem wystudyowaniem przedmiotów, smakiem, wykończeniem, śmiałością i mocą pendzla. Radzimy tylko Maleszewskiemu równie jak Brodzkiemu wystrzegać się pewnéj nieznacznéj dążności do tego, co Włosi nazywają *seicentismo*; dążność taka gdy przejdzie w nawyknienie może strącić artystę na opłakane stanowisko Berniniego, Borronima lub kawalera d'Arpino.

Z prac p. Maleszewskiego oglądaliśmy trzy pastele na tegoroczněj wystawie obrazów przy bramie *del Popolo.* Są to ładne obrazy.

Jeden z nich przedstawia miluchną dziewczynkę w czerwonym kaftaniku z niebieską na głowie zasłoną. Przypatruje się ona z uśmiechem zegarkowi, który naznacza pożądaną godzinę miłosněj schadzki.

Drugi wyobraża małą wieśniaczkę z dzbanem na głowie. Wolę go od poprzedniego. Obraz ten ma wiele zalet. Oba wybornie ozdobić mogą *budoar* ładněj kobiety lub gabinet starego kawalera.

Trzeci pastel jest mało podobnym wizerunkiem wieszcza *Zachwyconej.*

W pracowni zaś Maleszewskiego oprócz wielu szkiców i dwóch pięknych kopij Madonny Carla Dolce znajdującéj się w galeryi Borghese, tudzież Sybilli Gwidona Cagnacci, zwrócił w osobliwy sposób naszą uwagę, olejno robiony naturalněj wielkości obraz przedstawiający Rzymiankę w narodowym stroju rzucającą kwiaty z balkonu podczas karnawału. Karnawał tutejszy natchnął już znakomitą pracę Widerowi a Lehmannowi śliczny prawdziwem artystycznem pięknem jaśniejący obraz. Rzymianka p. Maleszewskiego godna stanąć w tym samym poczcie. Zgrabna, swawolna, namiętna, pełna narodowéj żywości i zapustnego szału, który jak gorączka ogarnia i wstrząsa te południowe natury, wyskoczyła ona na balkon. Jedną ręką zdejmuje maskę z uśmiechnionego oblicza by przeszyć iskrą czarněj źrenicy kogoś zapewne, co się z nią wdał w niebezpieczny na kwiaty pojedynek; drugą zaś ciska bukiet na dobitkę serca spojrzeniem już przeszytego. Walka ta wprawiła w nieład prześliczne jéj warkocze; wiatr spikniony z dziewczyną roztrząsa ich skarby i czyni zabójczy onych przegląd i wystawę w obec przeciwnika. Domino zdradzające nareszcie powierzoną sobie tajemnicę ulatuje z wiatrem odsłaniając kształtną i pulchną kibić. Gałęź latorośli winněj zdobiącéj tak często włoskie pomieszkania, powiewa nad głową czarodziejki, a wzorzysty kobierzec zarzucony na kamienną poręcz balkonu z rzadką jest oddany prawdą.

W chwili kiedy okrzyk wojenny szeroko się rozlega po polach pięknéj Italii, kiedy mężne uczucia pokryte

od dawnych lat rdzą południowéj miękkości i zniewieściałości wracają do gwelfowskiego hartu w płomieniach narodowego zapału, i świadczą, że *magna parens virum* nie została jeszcze przeklęta niepłodnością przez Stwórcę; — stary Rzym mniéj żywy udział biorący w wypadkach, z głębi swéj najeżonéj grobami pustyni, znajduje jeszcze wolne chwile na zażywaniu artystycznych wczasów i rozprawianiu o pokruszonych posągach niemal pod ostrzem miecza, który wojska i państwa obala i kruszy. I tak np. przed dziesięciu dniami przestano przez całą dobę mówić o Piemoncie i o Austryi by zająć się wyłącznie wielką nowiną, zjawieniem się nowéj Wenery odgrzebanéj blisko bramy Portese na miejscu dawnych Cezara ogrodów. Ztąd niebawem zacięte wywięzują się spory, gdy archeologowie słusznym powodowani zapałem dzielą się na przeciwne obozy i twierdzą jedni, że to stracona Wenus Skopasa, sławnego snycerza greckiego, drudzy, że to dzieło Kleomenesa, bowiem zdaje się być powtórzeniem Wenery Medycejskiéj, lubo niemasz tu dwóch kupidynków siedzących na delfinie, acz sam delfin się znajduje. Lecz cóż się z Kupidynkami stało, czy spadły z delfina, czy uleciały przeto że skrzydlate? Spory te wytaczają się przed trybunał poważnych akademij, a starożytnicy, konserwatorowie *per excellentiam*, żyjący tysiąc kilka set lat na wstecz, roztrząsają one niespracowanie w obec wrzących dziennych kwestyj.

Tymczasem ludność rzymska elektrycznie poruszona tem czarodziejskiem hasłem: *Dea, ecce dea!* spieszy tłumnie za bramę Portese dla oglądania swéj bogini ockniionéj po dwudziestu wiekach. Wszyscy bieżą ku niéj w zawody, wszyscy pragną obaczyć, przekonać się, powitać swą Anadyomenę wychodzącą z łona ziemi tak jak wyszła niegdyś z lazurowego fali tajnika.... Uskarżają się tylko żałośnie na zawistne *fata*, które ją głowy pozbawiły jak Wenerę Medycejską, któréj głowę dorobić musiano. Lecz w tem powstaje weselny okrzyk, że się głowa znalazła, i że ścięta bogini niesie takową w ręku na wzór owéj mistrzowskiéj postaci Danta rozświecającéj przed sobą drogę, oczyma zmiecionego łba jak latarnią. Jakoż cudowne czoło ukazuje się i wschodzi razem z wiosennemi kwiaty z poruszonéj skiby, rozwijając

już na podniebiu blade i harmonijne rysy swoje jak kwiat marmurowy, a rumy które przez dwa tysiące lat ciężyły na niem nie starły z niego piękności niebiańskiéj, ani rozdzierzgnęły nawet greckiego węzła z warkoczy związanego po środku głowy...... Jakim się też wydał świat dzisiejszy téj rozbudzonéj piękności? Przechodząc bezpośrednio z ogrodów Cezara, miejsca wypoczynku i rozkoszy ziemskich Romy bogów, do stacyi kolei żelaznéj, co je tamże zastąpiła, od togi i latiklawu do fraka i krynoliny, od senatu, który władał światem, do tego, który dzisiaj karnawał rzymski otwiera, — niesłychanie zaiste zdumieć się musiała!...

Jakkolwiekbądź wartość nowo odkrytego posągu jest znakomitą; należy on do liczby tych kilku najcelniejszych, jakie nam zostawiła starożytność. Odkrycie takowe jest wielkim wypadkiem w dziejach sztuki. Kształty bogini tchną tąż idealną pięknością, która cechuje Medycejską jéj siostrę i świadczą dostatecznie, że to *Venus Urania*, najszczytniejszy wykwit starożytnego ideału nieuświęconego jeszcze objawioną prawdą, matka czystéj miłości, któréj Platon był arcykapłanem u Greków. Kształty te zachwycają oko artysty; linie ich mają harmonijną falistość wód, z których wyszła złotowłosa Afrodyte. W starożytnéj nagości swojéj Wenus ta bardziéj jest dziewiczą i stokroć wstydliwszą od przysłoniętych niby figur dzisiejszych malarzy i od baletniczek tańczących na naszych scenach. Obecnym jéj właścicielem jest kaw. Guidi, przedsiębiorca archeologicznych poszukiwań; ale zwierzchność zapewne nabędzie ją do Watykańskiego muzeum, chociaż cena 10,000 szkudów rzymskich czyli przeszło 50,000 fr. żądana przez właściciela nie zupełnie jest w téj chwili na rękę rzymskiemu rządowi nadto zakłopotanemu mnóstwem żyjących niewiast zostawionych bez utrzymania przez mężów i synów, którzy poszli na wojnę, iżby jeszcze miał marmurowe niewiasty po tak wysokiéj cenie nabywać.

Jakaż nieskończona moc prześlicznych Andromed czeka teraz w samotności po wszystkich miastach włoskich, aż wrócą Perseuszowie. Wiadomość ta nie pozostanie bez zajęcia dla poczwar tak morskich jak ze słodkiéj wody.

GAZETKA LITERACKA.

Kraków. W drukarni Uniwersyteckiéj wyszła książka in 4to pod tytułem: *Biblioteka Ordynacyi Myszkowskiéj* Zapis Konstantego Świdzińskiego- r. 1859.- z ryciną na stali wyobrażającą Konstantego Świdzińskiego. Tom ten jest zapowiedzią że co roku taki wydanym będzie dla zamieszczenia w nim rzadkich rękopisów znajdujących się w bibl. Ordynacyi Myszkowskich, powiększonéj zbiorami ś. p. Świdzińskiego. Niniejszy tom oprócz dwóch rozprawek Świdzińskiego, o wykopanych numizmatach w Steblowie i o monetach Hanow Kapczaku, mieści jeszcze: *Jurium. Constitutionumque Sigismundinarum proposita a Mathia Sliwnicio discriptio, e codice antiquo adhuc ignoto opera Antonii Sigismundi Helcelii praefixo proemio nunc primum edita.* — Drugi Rocznik mający wyjść na przyszłe lato zawierać będzie listy Jana Sobieskiego i wszystko cokolwiekby się odnosiło do jego panowania, a dotąd ogłoszonem nie było, ku czemu wezwanie jest zrobione przez wydawcę. — *Biblioteka Polska* żwawo prowadzi swoją czynność — temi dniami wydała ośmnasty, dziewiętnasty i dwudziesty zeszyt *Herbów Rycerstwa* Paprockiego, — Pierwszą część *Żywotu poczciwego Człowieka*, Mikołaja Reja — oraz dwa zeszyty *Historyi narodu polskiego* Adama Naruszewicza, którym to przedrukiem wyświadcza wielką usługę publiczności; historya ta bowiem będąc zawsze kosztowną, mało stawała się dostępną i dziś może się wszędzie znaleść.

— Litografia Czasu puściła już w obieg zeszyt z pięciu arkuszy wyobrażający wszystkie sale *wystawy starożytności w Krakowie* w r. 1858. Oprócz okładki ozdobionéj emblematami starożytnych zbroi, naczyń, orężów, pomników i t. d. widzimy porządkiem idącą sień pałacową z namiotem zdobytym pod Wiedniem. — Salę z zabytkami przedchrześciańskiemi, Salę wieków średnich, zbiory przeworskie XX. Lubomirskich, nakoniec Salę rycerską najwięcéj zło-

żoną ze zbiorów kurnickich hr. Działyńskiego. — Są to ogólne widoki lecz bardzo przypominające nie tylko układ szczegółów, ale i niektóre ważniejsze szczegóły zasługujące na uwagę. W tejże samej Litografii wyjdą widoki Krakowa starannie wykonane i wzięte w punktach dotąd nieprzedstawionych w podobnych zbiorach, a w punktach interesujących pod wieloma względami historyi i archeologii.

— Zapowiedziane wydanie dzieł Długosza w oryginale i przekładzie, zbliża się do skutku — poszukiwania bowiem zrobione przez hr. Przezdzieckiego po zagranicznych i krajowych bibliotekach i archiwach, okazały najpomyślniejszy wypadek, dozwalający niebawem rozpoczęcie druku, zwłaszcza że wielu tłumaczów zgłosiło się, co mają długoszowe dzieła przepolszczać. Wydawnictwem w Krakowie ma zarządzać p. Łepkowski.

— Ksiądz E. Janota wydał w drukarni Uniwersytec.: *Śpiewnik kościelny* dla młodzieży szkolnéj. Są tu pieśni zebrane z niektórych naszych poetów jak Karpiński, X. Stanisław Grochowski, Hołowiński, Maurycy Dzieduszycki i druga połowa książeczki obejmuje pieśni kościelne po niemiecku.

Lwów. Zapowiedziane w zeszłym miesiącu dzieło p. Ludwika Skrzyńskiego, z którego wyjątki drukowane były w *Czasie*, wyszło właśnie w osobnem odbiciu i nosi tytuł: O stosunkach włościańsko-gospodarskich i o potrzebie kredytu rolniczego w Galicyi, napisał L. Skrzyński. W druk. Zakł. im. Ossolińskich 1859—8⁰ str. 225. Dzieło składa się z listów XIV i Dodatków. Autor w liście I. będącym niejako wstępem i streszczeniem myśli w dalszym ciągu dzieła zawartych, wylicza najprzód niedostatki tamujące u nas wzrost rolnictwa przemysłu i handlu, mianowicie niedokładność organizacyi gminnéj, brak dróg wodnych, asekuracyi krajowéj od ognia, zarazy na bydło i gradobicia, niedostatek kapitałów, wykazuje niski w kraju naszym w ogóle stan rolnictwa i jako środek główny zaradczy podaje zruchomienie kapitałów i rozszerzenie kredytu czysto osobistego i realno osobistego za pomocą stosownych Towarzystw kredytowych. W następujących listach zastanawia się nad ubóstwem włościan i złym w ogóle stanem gospodarstw włościańskich, jako główne przyczyny złego podaje brak oświaty u ludu, z przyczyn zaś ekonomicznéj natury wymienia potrzebę zmiany prawa dotyczącego spadków i podziału własności, a to w ten sposób ażeby działalność Towarzystw kredytowych i do posiadłości włościańskich rozszerzoną być mogła. Wykazawszy daléj znaczenie i potrzebę kredytu w ogóle, podaje w głównych zarysach wyrobiony przez siebie projekt banku rolniczego dla Galicyi, który to projekt komitetowi Towarzystwa gospodarskiego Lwowskiego do rozpoznania przedłożony został. W dodatkach wymienia autor banki podobnego rodzaju istniejące w Rosyi i w królestwie polskiem tudzież w Prusiech i w innych krajach niemieckich. W końcu załącza zarys ustaw banku rolniczego wypracowany jeszcze w roku 1836 przez wydział stanowy galicyjski. Dochód z tego dzieła przeznaczył autor na zakład Dublański.

— Aleksander Batowski drukuje ze spółczesnego rękopisu: Nieśmiertelnéj pamięci Tomasza na Zamościu Zamojskiego, Hrabi na Tarnowie, Wielkiego korony polskiéj kanclerza, jenerała Krakowskiego, Knyszyńskiego, Sokal-

skiego, Kałuskiego, Nowotarskiego, Rabsztyńskiego i t. d. i t. d. starosty, żywot i dzieła Bogu i ojczyźnie miłe, przez Stanisława Żurkowskiego, sługę domowego nieboszczykowskiego wydane. Gdzie masz oraz komisye, wota, mowy i listy nieboszczykowskie, godne, poważne i potrzebne. — Dzieło całe, wraz z przedmową i notami wydawcy, obejmie przeszło trzydzieści arkuszy druku. Opis szczegółowy żywota Zamojskiego, zaczyna się od roku 1612. w którym tenże pod wodzą Stanisława Żółkiewskiego natenczas wojewody Kijowskiego i W. Hetmana koronnego, w wojsku kwarcianem pod Dunajgrodem pierwsze odbywał pole.

— Waleryan Krzeczunowicz członek Tow. gosp. wydał: Tablice obejmujące główne prawidła hodowania drzew morwowych i prowadzenia chowu jedwabników. Arkuszy dwa — drukiem Kor. Pillera.

Bochnia. Nabożeństwo majowe czyli miesiąc Maj, poświęcony ku Czci Bogarodzicy Najświętszéj Pannie Maryi Niepokalanego Poczęcia. — Nakładem i drukiem W. Pisza. 1859.

Cieszyn. *Katedra Krakowska* powagą, świątobliwością i wspaniałością Imion arcybiskupów biskupów, senatorów, kardynałów, książąt siewierskich od r. 966 wsławiona — wydana przez X. Kassyjana Korczyńskiego Franciszkana, kaznodzieję katedralnego krakowskiego w Krakowie roku 1764 — a teraz na nowo przedrukowana (w Cieszynie r. 1859). Staraniem nakładem i drukiem Karola Prochaski. Jestto dziełko wielkiéj rzadkości — od swego pierwszego wyjścia — nigdzie prawie nie wspominane. Wydanie nadzwyczaj piękne co do czcionek i papieru tak że u nas pod tym względem o pierwszeństwo walczy — a przytem co do tekstu poprawnem — w formacie wspaniałym, bo w 8ce wielkiéj.

Poznań. Nakładem i czcionkami N. Kamińskiego i Spółki, wyszedł: „Rys dziejów piśmiennictwa polskiego Lesława Łukaszewicza“. Jestto już 7 czy 8 wydanie zgasłego przed czasem zdolnego autora. Kiedy się w początkach Rys ten dziejów piśmiennictwa pokazał, dla braku tego rodziaju dziełek podręcznych, rozchwycony został wprędce. Autor zaledwie zdążył wydanie powtórzyć, gdy śmierć wytrąciła mu pióro. Odtąd co lat kilka wychodziły nowe wydania, przerabiane, pomnażane i skracane nawet. W r. 1858 w Krakowie w drukarni Józefa Czecha wyszło nowe a staranne wydanie téj pracy, doprowadzone do r. 1857. W r. b. ogłoszono edycyą, o któréj mówimy, z dodaniem na karcie tytułowéj nadpisu: „Wydanie większe, uzupełnione i doprowadzone do roku 1857“. Jakoż maleńki pierwotny rys Łukaszewicza przybrał blizko sześć razy większe rozmiary, bo wydanie poznańskie liczy około 500 stronnic bitego druku. Zasługuje obrobieniem starannem na bliższy rozbiór, w którymby równie zalety jak usterki wykazane były. Książka to zawsze pożądana, bo dostępnością ceny może się upowszechnić, a będąc w ręku szerszego koła czytelników, rozszerzyć wiadomość o literaturze tak dawniéj, jako i teraźniejszéj.

— Stanisław Zawadzki, referent Komisyi Rządowéj Sprawiedliwości, przygotował obszerne dzieło do druku p. n. „Systematyczny zbiór praw w Królestwie Polskiem obowiązujących, (wyjąwszy kryminalnego). Aby dać wyobrażenie o ważności téj pracy, która równie obchodzi tak prawnika polskiego jak i obywatela Królestwa

Polskiego, wyliczymy wszystkie działy z których się składa: 1. Kodex cywilny, 2. Kodex postępowania sądowo-cywilnego, 3. Kodex handlowy, 4. Organizacya notaryatu, 5. Prawo o Towarzystwie Kredytowem Ziemskiem, 6. Organizacya sądownictwa cywilnego, 7. Przepisy o dyetach i kosztach sądowych, 8. Rozmaite oddzielne postępowania i postępowania sądowe, lub z takowemi związek mające, 9. Chronologiczny skorowidz z wszystkich powyższych rozporządzeń i praw, 10. Skorowidz wyrazowy tychże rozporządzeń i praw. Dodamy tu uwagę, że autor, jakkolwiek nie dotyka prawa kryminalnego, tak z Kodexu kar głównych i poprawczych, jak z Ustawy celnéj powołał te artykuły. które bezpośredni związek mają z rozporządzeniami prawnemi w jego zbiorze umieszczonemi. Całe dzieło składać się będzie z 2ch obszernych tomów.

— Nakładem Gustawa Sennewalda księgarza, w piątéj edycyi wyszły: „Zasady muzyki na pianoforte przez Karola Kurpińskiego (w kroju arkuszowym str. 110: odbijane w Lipsku u Karola Schultze). Wydanie to, przejrzane i pomnożone zostało przez Józefa Nowakowskiego. Dodatek dołączony tego artysty do pracy Kurpińskiego, zaczyna się od str. 83 do 110.

— Pani Seweryna z Żochowskich Pruszakowa wykończa libretto z Wiesława Brodzińskiego, dla jednego z naszych kompozytorów. Szanując pamięć zgasłego poety, wszystkie śpiewki jego zachowała, a w wielu scenach i własne ustępy Brodzińskiego, o ile się dały pogodzić z wymaganiem libretta.

— Żupańskiego nakładem wyszła w pięknéj edycyi książka: *Wincenty Wilczek* i pięciu jego synów. Wspomnienia z drugiéj połowy ośmnastego i początku dziewiętnastego stulecia przez *Bonawenturę* z *Kochanowa*, znanego z kilku dziełek, jak Wspomnienie o Kownie, Dwaj Bracia Artyści, Szkice życia towarzyskiego miasta Warszawy i t. d. — Znany tłumacz dzieł Platona p. Ant. Bronikowski przełożył wierszem miarowym *Odysseą Homera*. Zeszyt pierwszy zawierający cztery pierwsze Rapsodye wyszedł już ną widok publiczny.

Warszawa. *Majowy Zeszyt Bibl. Warszawskiéj* zawiera następujące artykuły:

O pismach Kazimierza Brodzińskiego. Charakterystyka i dążność poety.

Przegląd krytyczny rozporządzeń tak zwanego Statutu Wiślickiego, podług przedmiotów ułożony, z uwzględnieniem poprawnéj wersyi, w dziele pana Z. A Helcla podanéj, i z ocenieniem zdobyczy naukowych, przez jego badania osiągniętych. Napisał Alexander hr. Stadnicki.

Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. Herkulanum Opera Dawida we czterech aktach. Un beau Mariage, pięcioaktowa Komedya Augiego. — Przyjęcie pana Laprade do Akademii. — Przedmowa Franciszka Hugo do przekładu Snu nocy letniéj Szekspira.— Niebieskie i czarne róże, Karr'a. — Wiadomości literackie.

Kobiety chrześciańskie. (Wyjątek z przekładu Cywilizacyi w V wieku, Ozanama, Bolesława Wiktora).

Studya nad podaniami ludu naszego, przez Józefa Grajnerta.

Prostszy dowód — pewnego sposobu wymierzania linii, zewsząd nieprzystępnéj przez A. F.

Poezye. Królewicz Marko Narodowe pieśni serbskie przełożone przez Romana Zmorskiego. 374. Piosnka Bérangera. (Z rękopismów

pośmiertnych. Krzew róży, przekład W. Korotyńskiego).

Kronika literacka. Biała góra, powieść poetyczna Fulhama, tłumaczył z angielskiego Felix Jezierski. Warszawa. 1859. — Kochankowie nieba, dramat Kalderona, tłumaczył z hiszpańskiego Karol Baliński. — Pozaań. 1858. Przez Kaźmierza Kaszewskiego. 519 — Wycieczka na księżyc, przez Juliana Zaborowskiego. Poznań 1858. Przez J. B. Przewodnik do rozbioru chemicznego przez Dra Henryka W. U. Przetłumaczył z czwartego niemieckiego wydania Karol Lilpop. Warszawa. 1859.

Rozmaitości. Ustęp z historycznego opisu miasta Kalisza. Przyczynek do rozprawy: O. Jezuici w Kaliszu.

Wiadomości z Nauk. Liczba osób zabitych od pioruna w Polsce.

Chemia przez J. B. . . ę.— Ornitologia.

Korespondencya. Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj od A. E. Odyńca.

Kronika bibliograficzna.

Wiadomości literackie.

Dostrzeżenia meteorologiczne za m. marzec r. b.

Z wiadomości literackich podajemy ważniejsze:

Nakładem Karola Bernsteina księgarza wyszedł tom VI i VII Biblioteki popularnéj nauk przyrodzonych, podług niemieckiego oryginału A. Bernsteina, przełożył Stanisław Löwenhard. Tom VIty obejmuje: 1. O rozwoju zwierzęcego życia. 2. Pożytki i ważność tłuszczu w organizm e ludzkim. 3. Postęp ludzkiego ducha. Tom VII. 1. Przekształcenia i ruchy w przyrodzie. 2. Szybkość światła 3. Kąpiele i ich skutki. Tłumaczenie ma zaletę stylu jasnego i pięknego języka.

Żytomierz. Trzech obywateli zamieszkałych w Żytomierzu: Dr Karol Kaczkowski. Leon Lipkowski i Alexander Groza, pragnąc przyczynić się do postępu oświaty przez zniżenie cen książek, zawiązali spółkę na mocy ustaw handlowych i otwierają dom handlowy, dla wydawania nowych i przedrukowywania już wydanych w rozmaitych językach dzieł pożytecznych, oraz ich rozprzedawania. Ten handlowy dom, zapisawszy się w giełdę kupiecką, przyjął firmę Kaczkowski, Lipkowski i Groza. Główniejsza organizacya jego zasadza się na tem, ze gdy prawo dozwala przyjęcia wspólników (zwanych wkładczyki) takowych przyjęli i przyjmują w sumie 500 rs. w czterech ratach, w ciągu lat czterech wypłacać się mającéj. Przyjęli już udział w tem przedsięwzięciu: Karol Mikulicz marszałek gubernii wołyńskiéj, Alex. hr. Rzyszczewski, Dr Ludwik Koch, Władysław Podhorodeński, J. K. Głębocki, Lud. Rudnicki, hr. Marcin Tarnowski, książę Roman Sanguszko. hr. Alfred Potocki, Witold Mogielnicki, Władysław Górski. hr. Romuald Leduchowski, hr. Szembek, Henryk Lipkowski. Władysław Kołyszko i t. d. Z tych trzech pierwsi na mocy prawa są wybrani zastępcami w przypadku śmierci któregokolwiek z członków stanowiących firmę, a wszyscy w ogóle są wspólnikami domu handlowego i bilety im wydawane noszą nazwę udziałowych. Przedsiębiorstwo, mając jeszcze zaszczupłe środki w miarę nakładów, jakie koniecznie być muszą, stara się wesprzeć rozprzedawaniem prenumeracyjnych biletów na przyszłe swe publikacye po 100 i 50 rsr. Bilety udziałowe otrzymają swój procent książkami wydawnictwa, a zaś w kapitale przycho-

dzą stosunkowo po latach dziesięciu do dywidendy ze wszelkiéj wydownictwa własności; bilety zaś prenumeracyjne 100 rs. wybierają książkami tegoż wydawnictwa kapitał z procentami w ciągu lat dziesięciu, a 50 rs. w ciągu lat pięciu. Obecnie spółka ta żytomierska nabyła dwie księgarnie Teofila Glücksberga w Wilnie i Kijowie; zamierza wszystkie dzieła, które się w obu znajdują, za znacznie obniżoną cenę sprzedawać.

— J. I. Kraszewski napisał komedyą w 4 aktach prozą p. n. „Stare dzieje"; komedya ta ma być przedstawioną na scenie naszéj. W Kronice wiadomości krajowych i zagranicznych ukończono druk powieści tegoż autora: „Resztki życia". Na końcu czytamy wyliczone wszystkie miejsca gdzie ją zaczął pisać, gdzie rozwijał i skończył: Żytomierz, Wenecya, Rzym, Paryż, Drezno, Żytomierz 1858 roku.

— Maxymilian Fajans przygotował dwa nowe zeszyty Wizerunków polskich, XII i XIII. Obejmują wizerunki: Adama Mickiewicza jeden z najpodobniejszych, Alexandra Grozy, Gustawa Zielińskiego, A. E. Odyńca, Deotymy i zmarłego artysty dramatycznego Józefa Komorowskiego. Pozostaje do ukończenia całéj publikacyi jeszcze dwa zeszyty i te w r. b. wydanemi zostaną. Wszystkie wizerunki odznaczają się wielkiem podobieństwem i artystycznem wykonaniem.

— Wincenty Korotyński, w obszernéj rozprawie p. n. „Słówko o kaleczeniu języka", umieszczonéj w Gazecie Warszawskiéj, okazawszy dowodami, że wychodzący u nas Dykcyonarz wyrazów i wyrazeń z obcych języków p. Amszejewicza, jest tylko przedrukiem i to nie zawsze dokładnym słownika wileńskiego M. Orgelbranda, zamieszcza żal wydawców tegoż słownika do Bronisława Trentowskiego. „P. Trentowski, (pisze Korotyński) zgodził się określić wyrazy filozoficzne dla słownika nieinaczéj, jak pod warunkiem, że przyjęta zostanie i jego terminologia, w stosunku do rozmiarów słownika zbyt obszerna i zanadto zajmująca się heraldyką i genealogią bogów. Wydawca widząc w przyjęciu tego warunku tylko trochę własnéj straty, poświęcenie więcéj kilku arkuszy druku i pewnéj kwoty honoraryum, zgodził się na propozycyą, byle mieć wyrazy filozoficzne. Tymczasem p. Trentowski zamiast całéj terminologii filozoficznéj, dał tylko swoję własną, tak, że nawet pominął prace Kremera i Libelta. Ile to narobiło nowego kłopotu, gdy się po czasie spostrzeżono, nie potrzebuję tu mówić".

— Bronisław Trentowski przygotował w rękopiśmie 12 tomów historyi religii.

— Alexander Przezdziecki w czasie kilkotygodniowego pobytu w Rzymie, uczynił nader ważne historyczne odkrycia, mianowicie co do historyi hymnu, przypisywanego św. Kazimierzowi.

— W drukarni Gazety Codziennéj rozpoczął się druk poematu Deotymy p. n. Lech. Rozpoczyna on seryą poematów, w których Piast jest najobszerniejszym w rozmiarach.

— Gawędy naukowe zmarłego zbyt wcześnie z powszechnym żalem Apolinarego Zagórskiego, zawierające wiadomości z nauk przyrodzonych, już są pod prasą i wkrótce wyjdą na widok publiczny. Dzieło to składające się z 2 tomów, około 22 arkuszy druku w 16ce, ozdobione będzie portretem zmarłego autora i życiorysem skreślonym przez J. I. Kraszewskiego. Cena ustanowioną zo-

stała na dwa ruble, a fundusz przeznaczony na korzyść trzech osierociałych siostrzeńców autora, których był szczególnym opiekunem.

— Znany typograf Józef Unger wkrótce zacznie wydawać Tygodnik Warszawski illustrowany. Oddawna czuć się dawała potrzeba tego rodzaju pisma. Szkoła sztuk pięknych w Warszawie dostarczyła nam wybornych rysowników, a zakłady drzeworytnicze w naszem mieście potrafią dostarczyć potrzebną ilość drzeworytów. Idzie tylko o zdolnych preserów, ażeby starannie, artystycznie wyrobione drzeworyty, umiano dokładnie odbijać: próby bowiem dotychczasowe nie odpowiedziały bynajmniéj oczekiwaniu, a niektóre zakłady drukarskie, przez niezręczność i brak wprawy nieumiejętnych preserów, psuły najlepiéj wykonane drzeworyty. Pressera zdolnego do tego potrzeba dopiero sprowadzić z zagranicy.

— Znany z talentu pod pseudonymem Tadeusza Padalicy, pisarz ukraiński Zenon Fisz bawiący obecnie we Włoszech, którego stan był zatrważający, odzyskał zdrowie pod łagodnym klimatem, i na nowo rozpoczął prace literackie. Gazeta Warszawska rozpoczęła nowy szereg listów jego z podróży.

— W drukarni J. Ungra ukończono Historyi Literatury polskiéj w zarysach K. Wł. wojcickiego Tom 1 (w drugiem poprawnem i powiększonem wydaniu) i rozpoczęto druk tomu 2go.

— Nowa księgarnia Michała Glücksberga, wydała z kompozycyj muzycznych: Józefa Nowakowskiego, Papillon: Etude trille, Grand valse: i Życzenia, śpiew z towarzyszeniem fortepianu słowa Maurycego Gosławskiego; Krzyżanowskiego: Trois Nocturnes. Śpiew Gosławskiego tak zawcześnie zgasłego poety, godzień był odżywienia w pamięci dzisiejszego pokolenia.

— Karol Bayer archeolog i właściciel najznakomitszego u nas zakładu fotograficznego, rozpoczął wydawnictwo: Album fotograficznego miasta Warszawy, i dotąd cztery tablice ogłosił. Odznaczają się one bardzo czystem odbiciem. Wkrótce z tegoż zakładu otrzymamy przepyszne album wystawy archeologicznéj krakowskiéj: będzie w niem tablic około 50, przedstawiających najważniejsze pamiątki historyczne téj pamiętnéj wystawy.

— Nakładem księgarza Alexandra Nowoleckiego, wyjdą wkrótce nowe publikacye: Poezye J. Chęcińskiego, Dzierzkowskiego powieści w 2 tomach, i Romana Zmorskiego Rapsod, tłumaczony z serbskiego.

— Ignacy Badeni przygotował do druku: Próby poetyczne, między któremi jest scena dramatyczna Józefa Korzeniowskiego Gentile Belini z wiersza bezrymowego, przerobiona na wiersz rymowy. Czy utwór ten zyskał na tym przystroju rymowym, pokażą próby poetyczne, które zapewne niedługo ujrzymy pod prasą.

— Wkrótce wyjdą z pod prasy drukarskiéj: „Szpargały wiosenne humorystyczno-artystyczne zbierane przez Bocianów polskich. Dzieło ozdobione licznemi drzeworytami pod dawniejszą redakcyą J. K. Gregorowicza i H. Lewestama.

Paryż. Słownik muzyków polkich Wojciecha Sowińskiego, wyszedł już w drugiem wydaniu. Nowe dzieło „Śpiewy religijne polskie“ w teksoie francuzkim i polskim, zalecił biskup Poitiers. Obejmują 30 pieśni nowych tak kościelnych, jak kantyczkowych, zaczynające od Boga-Rodzica, aż do Święty Boże. Francuzi wszyscy

znajdują wiele piękności w naszych pieśniach, i chętnie z nich korzystają. Pieśni te są już wyśpiewywane w zakładach naukowych paryzkich i innych. Sowiński ogłaszając dzieła swe po francuzku, oddaje rzetelną i podwójną usługę.

Czytamy zapowiedziane w prospekcie tłumaczenie wierszem Michała Chodźki dwóch prematów Lorda Bayrona: *Manfred* i *Mazepa*. W miesiącu lipcu druk ich ma być ukończony. Aczkolwiek dołączona do prospektu próba przekładu korzystnie pozwala sądzić o pracy tłumacza i o zdolnościach jego, jednakowoż publiczność nasza zna już w części te poemata z pięknego tłumaczenia jenerała Franciszka Morawskiego. Dla tego dziwimy się dla czego p. Michał Chodźko niewziął się do innych poematów lub dramatów tego poety, nietłumaczonych jeszcze, lub źle tłumaczonych.

Znany rytownik Ant. Oleszczyński wykonał wspaniałą rycinę wyobrażającą popiersie Jana Zamojskiego kanclerza i hetmana.— Otoczył ją czterma postaciami historycznemi z czasów Zamojskiego jak: Wybranowski, Ostroróg, Gołubek i Karliński. — Utwor ten przypisany hr. Andrzejowi Zamojskiemu który doznaje tak żywego dziś uwielbienia za cnoty prawdziwie obywatelski,e robiące go godnym potomkiem wielkiego Jana. U spodu widać popiersie And. Zamojskie wykonane podług medalu. Rycina ta należy do najlepszych prac Oleszczyńskiego, szczególniéj z powodu że sobie niepozwolił tak zmienić wizerunku jak to w Koperniku uczynił, który mimo piękności wykonania niema zalety podobieństwa ze znanemi portretami naszego astronoma.

Sprawa włościańska na sejmie roku 1831. W księgarni polskiéj. Rzecz napisana przez p. Henryka Nakwaskiego.

Ant. Kłobukowski Redaktor odpow. — Ant. Rother rządca druk.